

ISSN 0023-5148

017007 21 4-0013901

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/408

1981



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

SOLIDARNOŚĆ

ST. KISIELEWSKI : **W PODWARSZAWSKIM LESIE**

M. BROŃSKI : **UMILKNIĘCIE «WIADOMOŚCI»**

KONWERSATORIUM «DOŚWIADCZENIE I PRZYSZŁOŚĆ» :
SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE PO SIERPNIU 1981

SPIS RZECZY

N.N. z Warszawy:	<i>Czego chcą Polacy?</i>	3
—	<i>Solidarność</i>	9
Stefan Kisielewski:	<i>W podwarszawskim lesie</i>	14
WIERSZE		
Natalia Gorbaniewska:	<i>Z nowych wierszy</i>	23
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	25
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli i z Paryża</i>	31
—	<i>Rezolucja Izby Reprezentantów w sprawie Polski</i>	39
SPRAWY I TROSKI		
Zdzisław Bau:	<i>W New York Athletic Club (Rozmowa z Edwardem G. Piszkiem)</i>	40
K R A J		
Anatol Marek Lipiec:	<i>Co nowego w ekologii?</i>	46
Andrzej Mietkowski:	<i>Konferencja Studentów w Wiedniu</i> ..	49
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	55
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	62
CI, CO ODESZLI		
Dr Gotthold Rhode:	<i>Zwolennik pojednania</i>	68
KRONIKA KULTURALNA		
M. Broński:	<i>Umilknięcie „Wiadomości”</i>	71
WIDZIANE INACZEJ		
Kisiel:	<i>Stary świat w nowej skórze</i>	74
KSIĄŻKI		
Stanisław Barańczak:	<i>Cztery Czerwce</i>	80
Janina Katz Hewetson:	<i>Oficyna Poetów i Malarzy</i>	86
Adam Kruczek:	<i>Przewodnik po łąkach i więzieniach</i> ..	95
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	97
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	100
◆		
S. K. Burda, T. M. Janowski, T. Kempa, A. Litwin, A. Mieczysławska, A. Mietkowski, A. Nasielski, Wł. Nowik:	<i>Listy do Redakcji</i>	108
—	<i>Sprostowanie Redakcji</i>	113
DOKUMENTY		
Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”:	<i>Raport trzeci: Społeczeństwo polskie po sierpniu 1980</i>	114

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Wrzesień - Septembre** **1981**

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 28-my — \$ 30,00	F. 171,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 52-gi — \$ 100,00	F. 570,00
Romana Buch, Libertyville, Ill. (USA), po raz 4-ty — \$ 8,00	F. 45,60
Danuta i Andrzej Cisek, Carmel, N.Y. (USA), po raz 6-ty — \$ 48,00	F. 273,60
Dla uczczenia pamięci Mariana Pogody ze Słonaw (Polska), zmarłego w lipcu br. — Barbara Komarnicka, siostrzenica z Chicago — \$ 25,00 i Marian Kurowski, przyjaciel z ławy szkolnej — \$ 25,00 — razem: \$ 50,00	F. 285,55
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 11-ty	F. 100,00
Dr Franciszek Kałuża, Pretoria (Afryka Południowa), po raz 5-ty	F. 100,00
Leszek Kołakowski, Oxford (Wielka Brytania) — pamięci Stefana Strelcyña — £ 25,00	F. 270,00
Alfred Kołodziej, Londyn, po raz 3-ci — £ 10,00	F. 109,00
Anka Kowalska (Polska) — \$ 12,00	F. 68,50
Prof. Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 6-ty	F. 250,00
Józef Lichten, Rzym — zamiast kwiatów na grób Marii Czapskiej	F. 180,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja) — zamiast kwiatów na grób śp. Szymona Konarskiego	F. 500,00
Józef Ziobron, Brazzaville (Congo)	F. 100,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria) — F.S. 50,00	F. 130,00
Bezimiennie z RFN	F. 100,00
Bezimiennie z USA, po raz 13-ty	F. 4.014,44
Józef Polak, Spanga (Szwecja)	F. 400,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Albuquerque N.M. (USA) — \$ 20 i DM 20,00	F. 160,00
Bezimiennie z Grenoble	F. 100,00
Maria Bielczyńska, Kopenhaga	F. 45,00
Krystyna Kucharska, Wiedeń — Sh A. 350,00	F. 118,30
Andrzej Maszkowski, Tilburg (Holandia)	F. 50,00

WPLATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z RFN — na pomoc dla opozycji w Kraju miesięczna składka à F. 100,00 — za m-ce kwiecień-wrzesień 1981 r.	F. 600,00
Bezimiennie z Trois-Rivières, Que., (Kanada) — \$ c. 200,00	F. 920,00
Bezimiennie z Grenoble	F. 100,00
Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA) — zamiast kwiatów na grób brata Henryka — \$ 50,00	F. 285,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Irena Thurein, Tucson, ARI (USA) — \$ 15,00	F. 85,50
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja)	F. 100,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 176)

Czego chcą Polacy?

Czego chcą Polacy? — pytali wielu z nas znajomi i nieznanymi ludźmi radzieccy, ze szczerą ciekawością, ze zdumieniem, a czasem jakby z odcieniem żalu.

Także ci, którzy odwiedzali mnie w Polsce lub pisali (zazwyczaj przez okazję) listy, i ci, których ja odwiedzałem na Białorusi, w Moskwie i Leningradzie, prawie wszyscy w jeden głos: czego chcą Polacy? A niektórzy: przecież i tak mają dobrze.

Znaczyło to: Polakom się wydaje, że cierpią biedę, a tymczasem w ich sklepach jest ciągle więcej towarów niż w naszych, w ich mieszkaniach stoją ładniejsze meble, kobiety są modniej ubrane, na straganach jest więcej warzyw (i nie takich brudnych i wymiętych jak u nas), więcej ludzi jeździ własnymi samochodami, polski chłop nie wegetuje tak nędznie jak radziecki kołchoźnik, polski profesor i student wyjeżdża za granicę, w Polsce można przeczytać więcej ciekawych książek i czasopism, w kinach i telewizji obejrzeć więcej zachodnich filmów, a nawet — jeśli komuś na tym zależy — wygłosić więcej ryzykownych opinii bez strachu, że to się źle skończy; czego jeszcze brakuje Polakom?

Niekiedy znaczyło to również: tkwimy wszyscy w jednym worku, Rosjanie, Polacy, Łotysze, Czesi, NRD-owcy, Bułgarzy, wpakowało nas przeznaczenie, siła wyższa, historia, nie ma co się szarpać, nie ma co wierzczać, trzeba ulec, przyjąć swój los, to się i tak nie zmieni, tak musi być, każdy na swoją rękę niech próbuje się w tym jakoś urządzać, żeby miał trochę wygodniej, trochę dostatniej, niech urwie kasek, jak się nadarzy sposobność — ale bunt, przewrót, negacja? Więcej pokory, panowie, zrozumienia praw historii, poczucia wspólnej doli z nami, którzy w tym tkwimy, dłużej od was, ciałniej stłoczeni, i nie buntujemy

się bez potrzeby, godzimy się z tym, co rzeczywiste, zatem nieuchronne — i tylko wy, dufni Polacy, chcecie się wyłamać, chcecie być lepsi?

Za pytaniem, które stawiali ludzie radzieccy (nie wszyscy, naturalnie — byli i tacy, którzy nie pytając dodawali nam otuchy jakimś jednym życzliwym słowem albo bez słów ścisłali nam dłonie), za pytaniem tym kryła się więc po pierwsze potrzeba informacji, chęć zrozumienia, o co chodzi w owym niecodziennym wzburzeniu sąsiedzkiego narodu, w jego próbie odmienienia swojego losu, ale kryła się także — określona wizja tego co jest i co być może, filozofia zbiorowego i jednostkowego istnienia w znajomym obszarze, kodeks tego, do czego wolno i do czego nie wolno aspirować mieszkańcom tej części świata.

Wtedy, na początku, kiedy toczyliśmy te rozmowy, nie umiałem (i chyba mało kto umiał) odpowiedzieć w sposób, który by dotykał sedna zjawiska i ogarniał je w całości, mogłem co najwyżej opowiedzieć o tej porywającej lawinie, która pociągnęła mnie także i tylu bliskich mi ludzi, i tylu niebliskich, czyniąc ich nieoczekiwanie bliskimi, o tym, jak coś rośnie i pulsowało, jak ludzie rzucali się w to i przypadali do tego niczym spragnieni do źródła, jakby całe życie na to czekali — na znak, na hasło, na wykwitnięcie spod gałęzi tego żywego pędu, który opłota, obrosną sobą; mogłem opowiedzieć, jak w ludzi coś wstępowało, w tych wielu porządnych ludzi, z którymi zdarzało mi się przedtem zetknąć i znać ich z jakiegoś jednego rzuconego słowa, gestu, nieśmiałej próby zrobienia czegoś dobrego albo nieuczestniczenia w złym, albo zaledwie z uśmiechu, spojrzenia, zachnięcia się na dźwięk kłamliwego frazesu, i którzy przez lata całe, nieraz od młodości po starość, tak niewiele mogli, a teraz jednoczyli się, przejęci, w czymś, co odczuwali jako ogromne i czemu w pewnej chwili nadali nazwę *Solidarności*; o młodych ludziach (sam nie jestem już taki młody), którym przypatrywałem się zaskoczony, ponieważ zdążyłem się przyzwyczaić do ich rezerwy i ironii w stosunku do wszystkiego, co „społeczne”, do demonstrowanej przez nich niewiary, że działalność publiczna może mieć sens i skutek, do programowego wycofania się w prywatność, w załatwianie swoich spraw, w wąski krąg zawodowy i rodzinny — i oto nie poznawałem ich, czyżby to byli ci sami, którzy teraz z zapałem i samozaparciem, a także z nie wiadomo skąd zaczerpniętą umiejętnością tworzyli ruch, stawiali się jego główną siłą, długie godziny trawili na wspólnym samookreślaniu się i organizowaniu, obejmowali przywództwo lub godzili się powierzyć je innym, równie młodym jak oni? Mogłem opowiedzieć o robotnikach, kierowcach autobusów, pielęgniarkach, nauczycielach, o wszystkich, wśród któ-

rych i z którymi byłem w tych najjaskrawszych dniach mego życia, w dniach braterstwa i świątecznej podniosłości, i naporu — o sprzedawcy w kiosku, który pierwszy raz strajkował w obronie kogoś nigdy nie widzianego i powtarzał wzruszony: „klienci są dziś tacy wyrozumiali, nie mają nam za złe”, i o tej pani, która przyszła do młodszego o ćwierć wieku kolegi po fachu: „niech mi pan pomoże, chcę zrobić coś pożytecznego zanim odejdę i postanowiłam założyć związek w naszym zakładzie, ale nie wiem, jak się do tego zabrać...”.

To zwykłe i zużyte słowo związek na nowo nabrało wtedy znaczenia, przestało określać jakąś formę jedynie, jakiś rejestr formalnej przynależności, zaczęło znaczyć przywróconą więź między ludźmi, ich wzajemne przywiązanie do siebie i do tej dobrej myśli, która ich związała, i wywiązanie się z czegoś co większe od nas, i zawiązanie się, jak w naturze, nowego życia, które będzie się rozwijało i wkraczało w coraz dojrzsze stadia, i mocne, jak w dziele cieśli i ogrodnika, żywe wiązanie, i tak rozświetlając się nowym blaskiem słowo to kojarzyło się z zapomnianym, staroświeckim: związek dusz, związek bratni...

Ale mogłem też — i musiałem, skoro chciałem trzymać się prawdy — opowiedzieć o ciemnościach, o okrucieństwie, o fałszu, o tym wszystkim, co znów podpełzało i osaczało, usiłując zdławić, zagrozić, okpić, oplwać, okroić, unieważnić, utrudnić, zamącić, zniechęcić, złamać; a czyniło tak ze swej istoty i z przyzwyczajenia, ze strachu i z wierności doktrynie, z instynktu i z powziętego planu, z własnego interesu i z odebranego rozkazu; ileż dałoby się przytoczyć tych nikczemności, w małej i wielkiej skali, tych postępków zacietrzewionych, tchórzliwych, niskich, a bywało że groźnych; tak się jednak działo, że każda zniewaga i prowokacja bardziej jeszcze jednoczyła ludzi, skłaniała ich do trwania przy swoim, do niecofania się (za plecami — przepaść), do usilniejszego wiązania się z tym właśnie ruchem, z tą nadzieją, z tym związkiem...

Tyle mogłem opowiedzieć o swoim kraju, o lecie i jesieni 1980, o swoim narodzie, którego chwałką nigdy nie byłem i nie kwapiłem się nim zostać i teraz, ale z którego może po raz pierwszy w życiu czułem się tak dumny; i może w opowieści już kryła się odpowiedź, ale ja jej jeszcze nie umiałem wydobyć i wielokrotnie pytałem sam siebie i innych, i upływającego czasu, i pamięci o czasie nieco dawniejszym, zanim spod przypadkowych nawarstwień i różnych masek dnia dzisiejszego wyłoniło się proste zdanie: *Polacy chcą być.*

Jeżeli przyjmiemy za współczesnymi filozofami i moralistami

ten elementarny podział sposobów istnienia w świecie, urzeczywistnienia swojego losu, pojmowania wartości, wokół których osnuwa się egzystencję — na mieć i być — i jeżeli stanie przed nami w całej okazałości obraz społeczeństw zwanych socjalistycznymi, społeczeństw „realnego socjalizmu”, to dostrzeżemy, że wbrew częstym poglądom na naturę nieszczęścia, jakie spotyka ich poddanych, nie jest to głównie ekspropriacja materialna, lecz ekspropriacja duchowa; to, czego realny socjalizm (wbrew marzeniom i obietnicom swoich antenatów) zdecydowanie odmawia ludziom, z czego ich z całą bezwzględnością wyzuwa, nie tak mieści się w kategorii mieć (w niej także, ale nie do końca, nie dla wszystkich, nie zawsze, zdarzają się okresy, kiedy z morza nędzy wynurzają się jednostki i grupy, którym wolno mieć, i na przykład w Polsce ekipa rządząca lat 70-tych z szansy posiadania uczyniła zachętę, pułapkę i narzędzie deprawacji dla całej warstwy, na której się opierała), jak w kategorii być. Nie można autentycznie być, jeżeli jest się członkiem narodu, któremu odebrano całe fragmenty historii — bohaterów i zdrajców, zwycięstwa i klęski, światło reformy i zgubne manewry kunktatorów, zbiorowe uniesienia i groby zbiorowe. Nie można być w chwiejnej, jakby somnambulicznej przestrzeni, w której niewidzialna ręka wymazuje z mapy nazwy wsi i miasteczek i wpisuje inne, niezdarne wymyślane przez lizusa i biurokrata, w której ojczyste krajobrazy zapadają się w nicłość ustępując miejsca lichym i obrażającym wzrok dekoracjom, w której żadnego miejsca niepodobna obrać za swą siedzibę, bo z każdego można zostać w każdej chwili wygnanym. Nie można być, jeżeli należąc do klasy pracowników dzień w dzień doświadczają się bezsensu pracy zmierzającej nie do wytworzenia tego co potrzebne, lecz do wykonania planu, potwierdzenia hasła, zrealizowania nakazu, i przez lata całe uczestniczy się w jałowej krzątaniu i fikcji, dawno skwitowanej przez gorzki dowcip warszawski: my udajemy, że pracujemy, a oni udają, że nam płacą. Nie można być, jeżeli jako ojciec rodziny nie potrafi się — nie z własnej nieudolności — zapewnić żonie i dzieciom utrzymania, mieszkania i jakiej takiej przyszłości. Nie można być, jeżeli jest się rolnikiem nękanym przez urzędy pilnujące aby jego ziemia jak najmniej rodziła i dybiące na moment, w którym ostatecznie go z niej wywłaszczą. Nie można być, jeżeli jest się nauczycielem i na pytanie ucznia nie ma się prawa odpowiedzieć tego, co się wie i uważa; ani jeżeli jest się uczniem i przestało się już zadawać pytania, bo wiadomo, że odpowiedź będzie wykrętna lub żadna. Nie można być, jeżeli jest się człowiekiem pióra, któremu zagładają przez ramię do rę-

kopisu i którego chwytają za rękę niezliczeni cenzorzy. Nie można być, jeżeli nosi się wiarę w sercu i, choć nie wypierając się jej, ma się sto powodów, aby się z nią również nie afiszować. Nie można być, kiedy wszystko dokoła kłamie: głos z głośnika i głos w okienku, litery w gazecie i litery na transparencie, kiedy łączy statystyka i konstytucja, prawo i pieniądz, herb i hymn, nazwa przedmiotu i nazwa idei, całusy z dubeltówki i pobrzękiwanie szabelką, rytuał wyborów i rytuał wieców potępiających, dzień powszedni i święto.

Polacy chcą być — i chcieli tego również wówczas, kiedy im samym i wszystkim patrzącym na nich wydawało się, że chcą tylko mieć; kiedy wychodzili na ulicę przeciwko ubóstwu, przeciwko ograbianiu ich z ostatnich okrucichów, przrzucaniu na ich zgarbione barki kosztów „dynamicznego i harmonijnego rozwoju”, kiedy dawali się masakrować „za kiełbasę”, jak szydzili krytycy wad publicznych, sami na ogół syci; już wtedy, w 1956, w 1970, w 1976 roku, z rozgorączkowanego tłumu podnosiły się i inne pieśni, i inne wołania, w które mało kto się wsłuchiwał; i kiedy wracali pobici, oszukani, z desperacji oddający się w ręce kolejnym zbawcom i demagogom, na rubaszne „pomożecie?” odhukujący „pomożemy!”, wtedy też chcieli być, chcieli wspólnie ratować sens swego życia, sens dalszej pracy; aż za którymś razem, w rozprażone i parne lato 1976, wrócili odmienieni — nie spodziewający się niczego po t a m t y c h, lecz tworzący rozmaite formy samoobrony, wyłaniający własnych, poza oficjalnym systemem, działaczy i przywódców, własnych techników i poetów, organizatorów i wykładowców, autorów idei i kodeksów postępowania, własnych kapłanów i obrońców sądowych, a wreszcie — ludzi protestu i poświęcenia, więźniów politycznych i uczestników głodówek; wyłaniający cały nowy świat wolności wśród zniewolenia, autentycznego życia wśród atrap i manekinów; jakby ze smrodliwego grzęzawiska podnosiły się wysepki stałego lądu, coraz liczniejsze, coraz rozleglejsze; nie mam zamiaru ani możliwości opisywać tutaj wydarzeń tego niezwykłego czterolecia przygotowań (o których nie przeczuwało się nawet, że są przygotowaniem, lecz myślało się, że są po prostu życiem, jedynym sensownym dla tych, którzy takie obrali — i czyż nie było tak rzeczywiście?); i zaledwie napomknę o owym momencie, w czerwcu roku 1979, kiedy podczas pielgrzymki papieża-Polaka do kraju ojczystego wielomilionowy tłum zgromadzony na polu co zwie się P o l s k ą spojrzął po sobie i raptem poczuł, cały jednocześnie, że jest silny, że jest wolny, że jest sobą, że jest naprawdę, a tamci są nijacy i nieprawdziwi; a to wszystko było już t o . . .

Kiedy zaś latem 1980 roku zaczęły się strajki w różnych

miastach i poszło znowu — ach, jak przyziemnie! — o mięso i o pieniądze, właściciele Polski Ludowej uwierzyli, że chodzi tylko o mięso i o pieniądze, tylko o mieć, i próbowali przekupić po kolei każdą strajkującą załogę; nie idealizują moich rodaków i ani mi w głowie wstydzić się za nich; ludziom biednym (a choćby gdzie indziej byli biedniejsi — robotnicy polscy dosyć braków cierpieli, żeby czuć się biednymi) ma prawo chodzić o to, co włożą do garnka i co dostaną do ręki w dniu wypłaty; ale oto już wybuchł strajk o przywrócenie do pracy usuniętej „za politykę” koleżanki; oto zakład, którego żądania spełniono, dalej strajkował, żeby wesprzeć inne zakłady — i na murach po raz pierwszy pojawiło się słowo: **solidarność**, strajk solidarnościowy; oto w postulatach robotniczych wysunięto (podobnie jak dziesięć lat wcześniej) prawo do niecenzurowanej prawdy; oto w pertraktacjach z wicepremierem zgodzono się na ograniczenie żądań ekonomicznych, ale trwano przy żądaniu wolnego związku; i toczyło się to przez cały kraj, i niemal w każdym miejscu z osobna wydzielano to, co zostało już przyznane gdzie indziej, bo władza ciągle liczyła, że zlokalizuje zarazę; a nie można jej było zlokalizować właśnie dlatego, że chodziło nie tylko o mieć, ale również i przede wszystkim o być; inaczej mówiąc — o **autentyczność** wszystkiego: więzi międzyludzkich, przedstawicielstw, praw, instytucji; o to żeby po dwóch stronach stołu pertraktowali ze sobą autentyczni reprezentanci odmiennych racji; żeby pracodawca mówił głosem pracodawcy, a związek zawodowy głosem pracującego; żeby każdy był w pełni sobą: wierzący wierzącym, socjalista socjalistą, rolnik rolnikiem, poseł posem, ojciec rodziny ojcem rodziny — i żeby wszystko było sobą: praca, zapłata zapłatą, informacja informacją, szkoła szkołą, sprawiedliwość sprawiedliwością; „żeby Polska była Polską”, jak się śpiewa w piosence, ułożonej kilka lat temu, ale właśnie w tym okresie podchwyczonej przez ludzi, słuchanej z rozjaśnionymi oczyma...

Rzeczywiście: czego chcą Polacy?

N.N. Z WARSZAWY

Lipiec 1981

Solidarność

Od chwili swojego powstania rok temu Solidarność znajduje się w centrum uwagi całej Polski. I jest Solidarność na ustach świata. Nie było w bogatych przecież dziejach naszego kraju ruchu społecznego tej skali i tego znaczenia. Ruchu, który budziłby tyle nadziei — i tyle obaw. Ruchu, który wedle publicznych oczekiwań spełniać musi tyle funkcji.

Nic dziwnego, że wywołuje też liczne nieporozumienia i żale, pretensje i rozczarowania — zwłaszcza u tych, którzy patrzą nań z daleka. Warto więc, w rocznicę powstania Solidarności, zadać sobie parę prostych pytań, zastanowić się nad istotą tego niebywałego fenomenu, a przede wszystkim nad szansami i warunkami spełnienia przez Solidarność tych wszystkich ról i zadań, które przed nią stoją.

Zacznijmy od stwierdzeń najprostszych. Solidarność, skupiająca około dziesięciu milionów członków, czyli przeszło połowę Polaków w tzw. wieku produkcyjnym, jest związkiem zawodowym o liczebności i strukturze, jakiego nie było dotychczas nigdy i nigdzie. Połączenie w ramach jednego związku ludzi, pracujących w zupełnie różnych zawodach i w warunkach, ludzi o różnych kwalifikacjach, poziomach życia, potrzebach i przyzwyczajeniach życiowych — musi sprawiać, że dla utrzymania jedności organizacyjnej i jakiejś takiej spójności form działania potrzebne są bardzo silne motywacje jednoczące, które stanowiłyby przeciwwagę dla licznych odmienności postaw i rozbieżności interesów.

Te jednoczące, integrujące motywacje miały od początku charakter przede wszystkim moralny a szerzej duchowy. Przyciągał ludzi do Solidarności i skupiał w jej obrębie protest przeciwko poniżaniu, ogłupianiu i oszukiwaniu, dążenie do ludzkiej god-

ności, do prawdy, sprawiedliwości, swobody przekonań i wiary. Pobudki ekonomiczne oddziaływały i oddziaływały nadal potężnie, ale nie są do tego stopnia integrujące, bo i poziom życia członków Solidarności jest bardzo różny, i stopień zrozumienia problematyki gospodarczej, a co za tym idzie hierarchia ważności żądań w tym zakresie, są bardzo rozmaite. Dlatego też do najbardziej niezwykłych cech Solidarności jako związku zawodowego należy rola wspólnoty duchowej w utrzymywaniu względnej choćby spistości organizacji.

Solidarność powstała i istnieje jako ruch *obrony* interesów pracowniczych, a także obywatelskich. Jest więc w zasadzie, z założenia, z samej swojej istoty ruchem defensywnym. Okazało się jednak, że istniejące struktury polityczne i gospodarcze, czyli mówiąc po prostu system ekonomiczny i ustrój polityczny PRL, przeciwko którym Solidarność miała bronić swoich członków, są tak słabe, tak przeżarte nieudolnością, bezsenssem, korupcją, do tego stopnia oparte na lekceważeniu uczuć, nadziei i potrzeb społeczeństwa polskiego — że rozpadają się same, okazując swoją całkowitą niewydolność. To z tego powodu, nie w wyniku działań „sił antysocjalistycznych”, spisków, imperialistycznych intryg czy też czichkolwiek świadomych usiłowań istniejący w Polsce system społeczno-gospodarczy i polityczny sypie się w oczach. Powstanie ruchu obronnego, jakim jest Solidarność, tylko ten rozpad przyspiesza, ale nie jest jego przyczyną.

I oto Solidarność musi — wobec praktycznego nieistnienia innych możliwości — przejąć na siebie rolę twórczą i kształtującą, przede wszystkim rolę pomocnika a nawet wyręczyciela organów administracji państwowej i najrozmaitszych instytucji społecznych. Musi walczyć o wolność słowa i religii, domagać się rzetelności informacji, przeciwdziałać marnotrawstwu, żądać przeprowadzenia reformy systemu gospodarki narodowej (a nawet projektować zasady i sposoby jej przeprowadzenia) a także reformy administracji państwowej i terenowej, dbać o wymiar sprawiedliwości tak w zakresie obrony niewinnych jak i karania winnych, musi zajmować się ochroną zdrowia i środowiska naturalnego, oświatą, kulturą, powstrzymywaniem plagi alkoholizmu, itd. itd. — sprawami, którymi w społeczeństwach demokratycznych zajmują się liczne ciała, specjalnie do tych celów powołane.

Trzeba to powiedzieć bardzo wyraźnie: Solidarność wcale nie pchała się do podejmowania odpowiedzialności za te liczne dziedziny i aspekty życia społecznego, gospodarczego, państwowego i kulturalnego, którą jej sytuacja lata 1980 i późniejsze wydarzenia narzuciły. Solidarność nigdy nie przypisywała sobie ani „kierowniczej roli” w PRL, ani nie chciała decydować o treści

i metodach przeprowadzenia licznych reform gospodarczych i administracyjnych. Zarzucając Solidarności, że nie spełniła takich czy innych zadań, że zawiodła takie czy inne nadzieje — trzeba pamiętać, że owe zadania zostały ruchowi związkowemu narzucone przez okoliczności, a nadzieje wiązano z nim nie dlatego, że wiele obiecywał, ale dlatego, że inne struktury zawiodły.

Władze PRL, które wielokrotnie i usilnie apelowały do Solidarności o „poparcie programu odnowy”, pomoc i współodpowiedzialność — z jeszcze większą usilnością przeszkadzają niezależnym siłom społecznym w Polsce w rzeczywistej odbudowie i niezbędnej przebudowie systemu zarządzania i gospodarowania.

Trochę tylko rzecz upraszczając powiedzieć można, że partia i rząd są zbyt słabe i nieudolne, aby wypełniać obowiązki, które same na siebie przyjęły — ba, które sobie uzurpowały. Wiedząc, że zdaje sobie z tego sprawę cały naród, apelują o wsparcie do Solidarności (i do Kościoła) — ale zarazem, broniąc swojego zakresu władzy (czy jej pozorów), nie dopuszczają do rzeczywistego partnerstwa. (Aby dobrotliwie sparafrazować Lenina: władza nie może już rządzić po staremu — a po nowemu nie potrafi).

Najbardziej uderzającą i znamioną ilustracją tego stanu rzeczy jest fakt, że Solidarność, pragnąc przyczynić się do ratowania gospodarki polskiej od ostatecznego upadku, inicjuje i popiera ruch samorządów pracowniczych — zdając sobie sprawę, że w ten sposób stwarza sobie oponenta. Samorząd taki bowiem ma za cel główny wyłonienie zarządu przedsiębiorstwa a następnie nowej struktury administracyjnej. Będzie więc reprezentował interesy nie pracowników, ale zakładów pracy. Będzie musiał dbać przede wszystkim o efektywność produkcji, a nie o dobrobyt pracowników. Jak to zwięźle wyraził przewodniczący Solidarności regionu Mazowsze, Zbigniew Bujak: „Oczywiście tworzący się samorząd będzie... naszym przeciwnikiem, co więcej musi być przeciwnikiem... Kiedy przyjdzie do wypracowywania programu dla przedsiębiorstwa, samorząd będzie zasiadał po drugiej stronie stołu”. W tym absurdalnym układzie rzeczy Solidarność musi więc zadbać o reprezentowanie dwu stron, których interesy są często, a zwłaszcza w okresach kryzysów gospodarczych, sprzeczne. I znowu: podejmuje to zadanie, bo nikt inny podjąć go nie potrafi, nie chce, nie odważa się. Nikt inny zresztą nie rozporządza niezbędnym kapitałem zaufania.

Skoro społeczeństwo nie ma zaufania do władzy, a do kierownictwa gospodarczego w szczególności, a zrujnowana gospodarka wymaga wyrzeczeń, pracy bez odpowiedzialnej płacy i apro wizacji oraz obniżenia stopy życiowej — Solidarności przypada w udziale rola jeszcze bardziej dziwaczna: namawianie robotników, aby pracowali ciężiej, aby szafowali swoimi siłami i zdro-

wiem, aby — subiektywnie biorąc — dawali się wyzyskiwać. Związek obrony pracowników ma się stać ich naganiaczem. I tej roli Solidarność nie chce — ale jest w nią wpędzana. Wpędzana nie tylko przez władze, tyleż nieudolne co chytre. Wpędzana jest również przez tę prawidłowość socjo-psychologiczną, że Polacy potrafią znakomicie pracować zespołowo, ale tylko wówczas, kiedy czują na sobie oczy zbiorowości i mają świadomość sensu swojego wspólnego wysiłku; nie mają zaś wdrożonego, zinternalizowanego poczucia obowiązku dobrej roboty, którą trzeba wykonywać niezależnie od tego, czy ktoś na nas patrzy, czy nie — tego poczucia obowiązku, który każe np. Niemcom pracować pilnie nawet wówczas, gdy dokoła wałęsa się wszystkie ustalone struktury. W gospodarce polskiej, poza rolnictwem indywidualnym, poczucie sensu zbiorowego wysiłku zostało niemal doszczętnie poderwane. I musi je odtwarzać, o ironio, związek zawodowy...

Być może wielostronne usiłowania Solidarności są tylko porywaniem się z motyką na słońce. Ale pamiętajmy: motykę Solidarności w ręce wciśnięto. I nie na „słońce” się porywa, ale aby załatwić sprawy najzupełniej podstawowe, niezbędne — nie jakieś tam społeczne czy ideologiczne luksusy, lecz sprawy, bez których załatwienia społeczeństwo nasze po prostu nie może przetrwać.

Główną przeszkodą w wykonywaniu przez Solidarność zadań, które postawił przed nią polski los i które jej wyznaczyły aspiracje naszego społeczeństwa, jest brak narzędzi wykonawczych. Pozbawiona egzekutywy, nie posiadająca przedstawicielstwa w oficjalnych organach władzy, spychana do roli opozycji (a jednocześnie wzywana do współodpowiedzialności) — Solidarność rozporządza jako środkiem nacisku, sposobem wywierania praktycznego wpływu na decyzje i postępowanie władz tylko strajkiem. Strajk natomiast jest typowym orężem defensywnym. Nadaje się dobrze do obrony interesów pracowniczych — ale źle do wszystkich innych zadań i celów. Ponieważ zaś, jak powiedzieliśmy, stawia się ciągle przed Solidarnością zadania o charakterze ofensywnym i twórczym, wpycha się cały ruch w położenie paradoksalne, by nie powiedzieć (biorąc pod uwagę rozpaczliwą sytuację kraju) tragiczne.

Czy musimy tedy dojść do wniosku, że Solidarność stoi przed zadaniami niemożliwymi do wykonania? Niewykluczone, że tak. Nie powinniśmy jednak tego stwierdzenia uważać za pewne, choć przemawiają za nim silne argumenty. Co *jest* natomiast pewne, to że aby Solidarność zdobyła jakiegokolwiek szanse sukcesu — konieczne jest szukanie rozwiązań i sposobów zupełnie nowych, podziałów ról nigdy dotychczas nie praktykowanych, form orga-

nizacyjnych i więzi społecznych nigdy na tę skalę nie uruchamianych. Trzeba będzie tak często i tak skutecznie sięgać do uczuć i idei jednoczących większość społeczeństwa, jak to się dotychczas zdarzało tylko w krótkich okresach wielkich wydarzeń ogólnonarodowych (jak rok 1920). Ale Solidarność, powtórzmy, jest zjawiskiem, jakiego nie było w dziejach Polski ani w dziejach świata: sama jej nazwa jest wyzwaniem, rzuconym wszystkim teoriom o nieuchronności społecznych konfliktów i podziałów. Wszystko, co się jej dotychczas udało, udało się po raz pierwszy.

NAKŁADEM BIBLIOTEKI POMOSTU

ukazała się reedycja dwunastego numeru almanachu „Punkt”, wydanego w Gdańsku.

Ten zbiór dokumentów zatytułowany

POLSKI SIERPIEŃ 1981

wydany w formie książki o ponad 300 stronach, zawiera teksty, stenogramy, ulotki, wiersze, eseje i zdjęcia dotyczące wypadków sierpniowych w 1980 roku i jest poniekąd zapisem tamtych historycznych chwil, przeżytych przez całe społeczeństwo polskie.

Cena książki \$12,50.

Do nabycia:

**POMOST, 3242 N. Pulaski Road,
Chicago, Illinois 60641, U.S.A.**

W podwarszawskim lesie

Dzień szarozłotawy, prześwietlona, jesienna mgiełka. Dolenc wstał wcześniej, zafrasowany trochę ale i podniecony: coś się zaczęło, coś się dzieje, nawet dużo. Historia z kawą, bardzo ciekawa, aż za bardzo: może to komedia, dla niego odegrana, ale po co? Faktem jest, że Mariola puściła farbę, nie ukrywa już, że coś ukrywa. To u niej nowe, jeśli się zaczęło — będzie trwało. Muszą porozmawiać — dwa dni jej nie było, tyle, że dziś się nie uda, jest niedziela, krótki warszawski weekend, trzeba jechać do Michalaka na daczę. Nowe słowo ta dacza, ale ludzie używają — co im za różnica?

Dolenc jedzie elektrycznym pociągiem z dworca Śródmiejskiego, spod białej kopy Pałacu Kultury. Ciągłe jeszcze wie tu wszystko na pamięć, tunel, wyjazd na nasyp koło Smolnej, most kolejowy — kawał przestrzeni zorganizowany po staremu i kwitający w nim na zawsze, obwoził go ze sobą po świecie. Chociaż jest różnica, na przykład nowy przystanek „Powiśle” u wylotu tunelu, zawieszony pod wiaduktem Mostu Poniatowskiego. Zmieniło się tutaj sporo, są teraz schody, mostek, stacyjny taras. I nagle przypomnienie: tam na dole, między domami, których

Prezentujemy Czytelnikom rozdział przygotowywanej dla Instytutu Literackiego powieści Stefana Kisielewskiego „Podróż w czasie”. Utwór, jak to się już zdarzało Autorowi, utrzymany jest w konwencji powieści sensacyjno-szpiegowskiej. Franciszek Dolenc, podczas okupacji i później szef komórki kontrwywiadu podziemnej armii, zbiegł w roku 1951 do USA. Po 25 latach odwiedza jako obywatel amerykański Warszawę i zamieszkuje w hotelu „Forum”, mając od tajemniczego Murchisona z Pentagonu zlecenie rozszyfrowania stosunków w wojsku PRL. W hotelu nawiązuje znajomość z niejaką Mariolą, która dosypuje mu raz do kawy proszku nasennego, ostrzegając go jednak w ostatniej chwili. A oto jego wizyta na podwarszawskiej „daczce” u dawnego podwładnego z okupacyjnego kontrwywiadu, Henka Michalaka.

nie ma, był kiedyś welodrom, gdzie się mały Franek uczył jeździć na rowerze. Kiedy? Bagatela, przed wojną, ze czterdzieści lat temu. Nagle nakłada mu się na to wojna, okupacja, powstanie, meksykańskie pustkowia z kaktusami, upał, w końcu Georgetown i Pennsylvania Avenue, Waszyngton i Diana. Cóż za dzwactwo to wszystko, razem złożone!

Jedzie już linią Otwocką, patrzy chciwie przez okno, myśl ma zajęta czym innym, ale oczy spragnione są lasu mazowieckiego, podwarszawskiego. Jednakże coś długo trzeba na niego czekać, tutaj jednak za dużo się zmieniło. Jakieś liszajowate, niskie budynki bez okien wyparły las, tu znów cementowe dziedzińce, kominy, głuchy magazyn. No tak, przemysł, ten ich komunistyczny, rozpełzły przemysł, jakiś przy ziemi, bez rozmachu, bez fasonu, ale nachalny. Mijają stacje, jedna, druga, trzecia, odzywają w pamięci nazwy, jakby się jakaś kurtyna w głowie podnosiła. I wreszcie są lasy, podwarszawskie lasy, blade, słońce pada z ukosa na rudawe pnie sosen i białawe, nakrapiane brzozowe. No i w końcu to, na co czekał: podstołeczny busz, skłębione, karłowate sosenki na piaszczystych wzgórkach, ani to smutne ani wesołe, tylko swoje, w sobie zaczajone. Nie musi się nikomu podobać, po prostu jest i powinno być. Nie zawiodło Dolenca: to tutaj pozostało niezniszczalne.

Ale tylko przez chwilę mógł się owym „tym” cieszyć, ledwie przebiegło mu koło świadomości, uspokajając, że się nie zawiódł, gdy znów wróciło Tamto. Tamto, czyli napięcie, bo Dolenc jest dziś spięty wewnątrz, jak zawsze, gdy czegoś nie rozumie. A nie rozumie — siebie samego. Oto naraz, od dwóch dni Mariola zrobiła mu się bliska, brak mu jej, chciałby ją zobaczyć jak najprędzej. Z ciekawości? Nie — z czułości. Dotąd spał z nią, ale jej nie czuł — czuł siebie, swoją ekscytację, po prostu ich wieczory, to jakby zaspakajał pragnienie w upalny dzień. Rzecz ludzka, znana, ale jakoś dotąd osobna — robił to dla siebie, pozostał samotny. A tu nagle Mariola jest mu ni stąd ni zowąd bliska. Po tej historii z kawą stała się kimś, to ciekawe i niespodziewane. W dodatku Dolenc nie wie, jak rzecz się łączy ze sprawą bladego faceta od Mostowskich, którego przyłapał parę dni temu przy windach. Łączy się na pewno, trzeba sprawę wyjaśnić jak najprędzej, zanim...

Z brzozowego gaiku wyłania się maleńka stacyjka z kolumnkami, a po peronie przechadza się starszy człowiek dziwnie znajomy, choć obcy. Uśmiecha się — ależ to Henio Michalak. Czeką na Dolenca, więc to już. Trzeba odgonić tamte myśli, zaczyna się dzień inny, trzeba mieć wolną głowę. Mariola mu nie ucieknie, ma ją w sobie, poza myślami. A w ogóle można by sądzić, że się na nowo zdomowił w Warszawie: wysiada

na peron, ściska Michalaka, zupełnie jakby był u siebie. To nie sen, to dziwaczna jawa.

Dzień na dacy źle zorganizowany, chaotyczny, jak i tam, w mieszkaniu Henka nad jeziorkiem. Rodzina się płacze po dwóch pokoikach, obitych od góry do dołu kilimami, dacza niby wygodna, ale nie bardzo — córka z dziećmi, zięć, podobno poszedł na spacer do lasu, przed domkiem jakieś auto — dziwaczne. Henek zautomatyzowany, wciąż pokrzykuje swoje „Franek, rany boskie, ty tutaj”, ale nic z tego nie wynika, także na okrzyk „musimy się napić!” nikt nie reaguje, co i lepiej, Dolenc odwykł od polskiego picia pospiesznie i do upadłego, uprawiał wszakże przez lata amerykańskie sączenie w nieskończoność jednego drinka. W dodatku dzieci, czyli wnuki puszczają naraz jakiś gramofon — piekło. — Chodźmy do lasu — mówi Dolenc. — Pójdziemy, jak przyjedzie Wacek — upiera się gospodarz. Ale w końcu na trochę idą. Poważne sosny, kokieteryjne, dziewczęce brzozy, uroczo romantyczna ścieżka, ale cóż z tego, kiedy tuż zaraz śmietnik, jakieś wysypisko, barak i pół zrujnowane, cementowy chodnik do nikąd, urwany w pół drogi. Ależ bałagan i to obok paradnej, jak myśli Henek, daczy. Logiki w tym ani odrobiny, niechlujstwo straszliwe. — Kiedyś miała tu być huta szkła — mruży Henek usprawiedliwiająco — ale zaniechali, wyleciało z planu. — Znamy, znamy — Dolenc nie ma litości — państwowe to i niczyje, któżby się troszczył! Ale Michalak podejmuje obronę. — Daj spokój, Franek, nie zaczynaj. Dużo jest zrobione, Warszawa stoi, praca dla wszystkich, przemyśl — widziałeś po drodze. Wzięliśmy się do roboty, bez tego nikt nam nic nie da, ta wasza Ameryka też nie. Naród chłopski przerobić na przemysłowy, to nie łatwo, są zaległości, historia nas nie gładkała, sam wiesz. Ale teraz...

— Gadasz, jakbyś był w partii.

— Bo i jestem. Mówiłem ci przecież.

— Co?! Acha, prawda, mówiłeś.

Dolenc aż się potknął o jakąś gałąź. Brnęli teraz po piasku wśród krzaków jałowca, zmieszanych z karłowatą sosną, gdzie-niedzie wdzierają się cieniutkie białe brzożki. Henek w partii?! Toć ze sześć lat w więzieniu siedział. — Siedem — prostuje tamten dla dokładności. — Ale co z tego?! To były — uważasz — stalinowskie wypaczenia, trudno, koszty historii. Zrehabilitowali mnie po Październiku, mam prawa kombatanckie, w „Zbawidzie” wszystko mi uznali! — Wszystko?! — Dolenc jest sceptyczny — grupę w komórce „N” także? — Ma się rozumieć — Henek się nie daje. — Nie znasz tych spraw, teraz się na to inaczej patrzy. Mam pochodzenie robotnicze, chłopie, proletaria-

riusz, nie w kij dmuchał (próbuję żartować), a walczyłem o wolność jak inni, bez rozróżnień!

— W kontrwywiadzie?! Coś to nie bardzo jak inni.

— A dlaczego nie?! Małomśmy faszystom dali w kość? A „Za Kotarą”, pamiętasz? Zła była robota, nie dla Polski?!

Tu cię wiedli. A akurat „Za Kotarą” to mogła być robota zła, na emigracji sporo o tym w pewnym okresie gadano, tam a nie tutaj znawcy okupacji i KA-owskiej historii rozszczepiali każdy dawny włos na czworo. To był lokal kontrwywiadu Wehrmachtu, „Abwehry”, szkopy mieli rozpracować tutaj plany Powstania, o którym coś wiedzieli. Tylko te wiadomości ich interesowały, nic więcej, nie chcieli nikogo brać ani aresztować, Żyd Staszauer dawny filmowiec jako kierownik też ich nie interesował, i to w październiku 43, kiedy żywego Żyda na świetle, na powietrzu nie było już w Warszawie ani śladu, ani popiołu. Brunetów na ulicach zatrzymywano, czy nie obrzezani, a tu Józef Staszauer królował wśród Szkopów na sali i za bufetem, wyglądał przy tym „jak Czech” (to znaczyło jak TRZECH Żydów). Ale tych z Abwehry nic to nie obchodziło, im więcej było w lokalu podejrzanych ptaszków, dziwnych interesów polsko-żydowsko-niemieckich, bo bronią też tam handlowali, czort wie czym — tym dla nich było lepiej. I nagle „Kwaśny” dostał rozkaz: wykosić wszystkich o tej i o tej godzinie, Polaków i Niemców, bez różnicy. Norcio nadał akcję, zaciekawiony bardzo, czy zabiją też Żyda („sprawiedliwie”). Zabili prawie wszystkich, 10 osób, jedna, nie dobita, wykitowała w szpitalu. Henek na skwerku, na placu Napoleona koło klozetu krył odwrót z rozpylaczem, rozbił jeszcze jakiś szkopski patrol. Istna to była bitwa, a u nich ani draśnięcia. „Bez strat własnych” — ładne sformułowanie.

Ale potem do Dolenca aż w Meksyku napisała jakaś zwariowana hrabina, podobno z wywiadu alianckiego, że źle się stało, bo tam w owym „Za Kotarą” spotykali się ludzie z dowództwa KA z oficerami Wehrmachtu, którzy byli przeciw Hitlerowi, że to był jedyny punkt styku. I że, jakby niemieccy sztabowcy zabili Hitlera potem, w zamachu Stauffenberga, to by może i Powstania nie było i Warszawa by ocalała. Kto do tego lokalu chodził z KA? — dobrze nie wiadomo. Pewien konspiracyjny dziennikarz, który wywiął stamtąd ze swym towarzystwem tuż przed strzelaniną, bo wyczuł pismo nosem, wydał po trzydziestu prawie latach w Londynie wspomnienia, gdzie po trochu potwierdził tę wersję, nie przecząc jednak, że się tam jakieś niebieskie ptaki schodziły. Ale to jeszcze nie był grzech! Więc wykosili niewinnych?! Przecież rozkaz mieli wyraźny.

Wdał się na ten temat w rozmowę z Henkiem, tamten się

ożywił, to lepsze niż polityka. Brnęli teraz po piasku z powrotem, słońce się schowało, wilgotna mgła schodziła, czasem czubki sosen lekko zaszumią, ale busz, którym się przepychali, trwa nie-ruchomy. Dolenc gada o okupacji, zarazem jednak myśli, jak się Henek zmienił. Widać to po drobiazgach choćby. Mówi: „daliśmy w kość faszystom” — tak się o hitlerowcach nie mówiło, to dzisiejsza mowa komuchów. I to rzekome robotnicze pochodzenie: toć ojciec Henka miał fabryczkę kół na Woli i zarabiał więcej niż stary Dolenc, który był kasjerem w państwowym banku!

Ale już wrócili do domku, czyli „daczy”: stoi on w trochę niechlujnym, sosenkowato-brzozowym lasku („Wszystko tu niechlujne, nawet las, jak oni to robią?” — to niesformułowana refleksja Dolenca), z wierzchu niepozorna, brzydko otynkowana, w środku dość przytulna, choć z kilimami to trochę przesada. Objawiła się teraz gospodyni, tęgawa pani Maria, na stoliku wreszcie wódka i kanapki. Za zdrowie Amerykanina, KA-owca i komórki „N” proponuje wypić Michalak — na szczęście wnuki gdzieś się zgubiły. Dolenc wie, że po pierwszym dużym kielichu przychodzi euforia, „przestrzenna”, jak to sobie nazywa — że jesteś sobą w przestrzeni, czyli w swego rodzaju niebycie. Prze-strzeń między Meksykiem, Georgetown i podwarszawskim laskiem, to przestrzeń wcale niezła, można się czuć jak w samolocie, Franek bardzo lubi jazdy samolotem, zaznał ich dopiero po ucieczce z Polski. Pierwszy kielich idzie doskonale, Henek wydaje mu się obecnie bardzo sympatyczny, mimo swych politycznych, państwowotwórczych deklaracji. „Państwowotwórczy”, to przedwojenne słówko z epoki Sanacji, ale i dzisiaj doskonale tu pasuje, swoją drogą zabawna ta Polska, taka zmienna a niezmienna...

Za oknem jakiś samochodowy jazgot, porykiwanie i cichnące rżenie motoru: tak oni tu jeżdżą, bez tłumików, też jakoś niechlujnie. — Ocho, Wacek przyjechał! — Henek jest zaczerwieniony od wódki, głowa mu zesłabła widać. Za chwilę w drzwiach staje młody Major, wysmukły, przystojny, w eleganckim, oliwkowym mundurze, z krawatem. Dolenc ma jeszcze swoją euforię z pierwszego kielicha, wie, że po drugim czy trzecim będzie już gorzej, trzeba wyzyskać moment, poczarować Majora póki czas, może się wszakże przydać właśnie do „tego” — wizja Muzyczka-Murchisona na tle pancерnej szafy przebiega gdzieś po utajonym, niematerialnym ekranie. Jednocześnie Dolenc oblicza szybko, że ów młody Michalak lat ma 35 lub 34. Zajmował się tą rodziną trochę, jak Henek poszedł do ciupy, po powrocie z Niemiec — nawiązał kontakt z panią Marią, przynosił jej jakieś londyńskie pieniądze na dzieci, córka się urodziła pod Warszawą po Powstaniu, kiedy Henka jeszcze w kraju nie było.

Nigdy Dolenc o tym nie myślał, teraz nagle wszystko powraca. Odzyskuje po trochu własne życie, warto było przyjechać. Bardzo by się na to wściekła Diana, ona nie znosiła Dolencowej przeszłości, dla niej to była jakaś chamranina wariatów w zwariowanej Europie. Mocno i solidnie wbudowana w swoje życie prywatne, jak wszyscy Amerykanie, wpadła z tym Dolencem całkiem, ale dopiero po latach to zrozumiała. Dobrze przynajmniej, że się nie pobrali...

Myśli to wszystko, a jednocześnie rozmawia z majorem Wackiem na tutejsze tematy. Major nie pije, bo prowadzi auto, za to oni dwaj są już nieźle podłani. Pani Maria przynosi bigos, Henek coś tam entuzjastycznego pokrzykuje, Dolenc pyta rzeczowo — Jakie to wasze wojsko? — Nieźle chyba, nowoczesne — Major jest skąpy w słowach. — A z kim właściwie będziecie się bili? — Z każdym, aby o Polskę. Dobra odpowiedź, sympatyczny chłopak!

Podпиты Henek wtrąca, że Dolenc na pewno nie ma zaufania do komunistycznej armii. — Myśmy byli w prawdziwym polskim wojsku, choć bez mundurów, w KA, w Grupie, w Sekcji. I jak nam za to zapłacili? Ja siedem lat w pierdłu, on też by siedział, jakby nie zwał do Meksyku czy Ameryki. Polska Ludowa, sobacza jej mać!

Dolenc jest zdumiony, Henek po wódce zmienił front, a może po prostu chce mu się przypodobać? Major czyli syn trochę się nastroszył, ale przyzwyczajony widać do wspomniania rodzinnych historii, nie podejmuje tematu. Oczy ma siwe, polskie, legionowe, jak myśli Dolenc. No cóż — pokolenie za pokoleniem, pokolenie za pokoleniem, pokolenie...

Ale temat jednak draży widać majora, zwłaszcza przy świadku, opromienionym pewnie rodzinną legendą. Mówi coś, że były czasy Stalina, wszyscy wtedy ucierpieli, Rosjanie też. Ale teraz czasy inne, przecież i Ojciec jest w partii... I w wojsku teraz inaczej, po polsku rzecz wygląda.

— Ale Ruscy dowodzą! Ten Henek jest jednak zabawny, wręcz wchodzi w rolę Dolenca, zastępuje go. Toć rozmowa wywiadowcza, jak dla niego stworzona.

— Nie, wiesz przecież, że nie, nie byłbym w takim wojsku oficerem. I w ogóle bym nie był!

Chłopak się zaperzył, poczerwienił. Dolenc zaczyna mitygować, tłumaczyć, że sytuacja armii jest pewno taka, jak w Królestwie Kongresowym, że owszem, Polacy, i nawet generałowie polscy, ale przecież najwyższe dowództwo i w ogóle cele ewentualnej przyszłej wojny, to...

— Myli się pan — Major mówi teraz chłodno — tak by się

mogło wydawać, tak pewno myślą Rosjanie, ale polskie wojsko jest polskim wojskiem i polskim zostanie.

— Możliwe, z ducha pan myśli, zgoda. Tylko, że nowoczesna armia to sprzęt, maszyny, fachowcy, i także nowe bronie, tajne bronie, to przecież Rosjanie wam...

— Znów się pan myli, to z daleka tak może wygląda. A my mamy wszystko, i fachowców własnych i autonomię. Manewry Paktu są wspólne, ale broń jest nasza.

— Lotnictwo, rakiety?!

— Lotnictwo, rakiety. I ludzie. Ludzie najważniejsi. Przyjedzie pan do nas, na poligon, na zebranie — zobaczy pan.

— A wolno? Jeszcze mnie tam zamkną.

— Ale skąd. Przyjedzie pan jako gość, do sztabu jednostki. Generała pan pozna, chwyci pan atmosferę i zmieni pan zdanie. Przyjedzie pan?

— Przyjadę, chętnie. Ale dokąd?

— Umówimy się, powiem panu wtedy. Załatwione.

— Wacek, zwariowałeś, imperialistycznego szpiega do naszej jednostki raketowej chcesz sprowadzić?! — woła stary Michalak, całkiem już pijany. Syn karcni go niezbyt życzliwym spojrzeniem i to jest ostatni akcent tej osobliwej rozmowy, rozmowy wszakże wyczerpują się i milkną, wszystko na świecie w końcu milknie. Swoją drogą niespodziewana i znakomita z tego wyszła szansa. Dla Dolenca? Raczej chyba dla Muzyczka vel Murchisona, urzędującego nad cmentarzem Arlington.

Już prawie noc, dzień skrócił się im pospiesznie a bezsensownie, jak zawsze po wódce — cóż to za lekkomyślność wyzbywać się w ten sposób chwil życia, którego i tak niewiele pozostało. Major Wacek odwozi Dolenca do Warszawy, Henrykowie zostali na dacy do rana, chyba z wnukami i całym kramem. Jest noc, dość ciepła lecz bez gwiazd. Samochód pędzi asfaltową taśmą wśród sosen, podwarszawskich sosen, ale Dolenc nie ma z tego już przyjemności, przeciwnie, czuje się zagubiony i pogębiony. Wiedział przecież, że to nastąpi, ów nieunikniony refleks poalkoholowy, negatyw tamtego stanu. Czuje się, owszem, w przestrzeni, ale jednocześnie jakby był poza sobą samym, zmęczonym i zniechęconym. Obserwuje owego samego siebie z daleka i wie, że na ten stan rozdwojenia nic już dzisiaj nie poradzi, trzeba go przespać, zawiesić życie na parę godzin, aby znów harmonijnie wejść w swe własne wnętrze. Tymczasem musi z wysiłkiem rozmawiać z majorem Wackiem, siedząc koło niego, a także, z nałogu, rejestrować w świadomości mijane miejsca oraz ich nazwy. Wreszcie długi nasyp, skręt w lewo i teraz już wjazd do Warszawy przez dziwne, szerokie ulice — bulwary,

jakich nigdy tu nie było: oto Płowiecka, Ostrobramska, Stanów Zjednoczonych (tak!), oto Trasa Łazienkowska i nowy most. Za Wisłą, nad Warszawą, nasianą dziwacznymi wieżycami, teraz w półciemności, błyskającymi tysiącami okien, trwa na niebie ciemna również poświata. Ciemne światło — osobliwa tego miasta specjalność!

Wieczór też osobliwy, męczący, kończy się również niezwykajnie. Wchodzą razem od strony piętrowych garaży do hotelowego westybulu, Wacek, aby kupić papierosy. I nagle Mariola — objawia się pośrodku hallu, zdążając w stronę szatni i kiosku z kwiatami. No właśnie, na tę okazję Dolenc przecież czeka, przepraszając Wacka zdąża w jej stronę. Dojrzała go, waha się chwilę, i nagle zastyga, wpatrzona w coś ponad Dolencową głowę. Dolenc odwraca się i widzi Majora, równie skamieniałego, wpatrzonego w nią, jak w Najświętszy Sakrament. Chwilę trwa scena osobliwa, wreszcie ona odwraca oczy. — Mariola — głos Dolenca chrypi z lekka — chciałem cię zobaczyć, mam do porozmawiania. — Ona, już odczarowana, kiwa lekko głową, zapewnia, że jutro przyjdzie — o zwykłej porze i skwapliwie znika gdzieś w wyjściu, choć przecież jest bez płaszcza. Ki licho — nieoczekiwane to zaskoczenie powiększa jeszcze owa dotkliwość i dolegliwość przynoszona przez poczucie nienormalności, przez ów niemiły stan irrealizmu, którym alkohol bierze swój rewanż — od paru wszakże godzin. Przykra wizja świata utrzyma się już widać przez cały wieczór.

Dolenc wraca do Majora, ten już się opanował, lecz wyraz twarzy ma zmieniony, najwyraźniej oboje są w coś wprzęgnięci.

— Nie panują nad sobą ci młodzi ludzie — myśli sobie Dolenc — niechby tak pożyli w czasach okupacji. Ale cóż — nie pożyją. Każde pokolenie ma swoje sprawy, swoją skalę odczuć, doznań, wytrzymałości. Nie ma co kłuć ich w oczy tym, co było, to nieskuteczny a zawistny masochizm starszych. Nienawidziła tego Diana i Dolenc się odczyzył — raz na zawsze i wszędzie.

Nie będzie też w ogóle mówił z Majorem o dziwnej scenie, jaką widział. Uda, że mu się zdawało, albo przeciwnie, że mu się nic nie zdawało. Major rad z tego wyraźnie, już się uspokoił, nabrał zwykłego, zdawkowo rzeczowego sposobu bycia. Umawiają się krótko na telefon, celem odwiedzenia jednostki. Dolenc którymś dalekim zmysłem wyczuwa, że nic już z tego nie będzie, udaje jednak dobrą wiarę. Major szybko znika, nie kupiwszy wcale papierosów, po które przyszedł. A Mariola?

Marioli też nigdzie już nie widać, choć Dolenc zagląda do obu restauracji, śledzi też od niechcenia płaszcze w szatni, czy

nie ma tego jednego, fioletowego. Ale szatniarz go zna, jego i ten płaszcz, pewno domyśla się wielu rzeczy, trzeba uważać. Jest już późno, w hallu się przeredziło, tylko parę zagłębionych w fotelach osób śledzi telewizję. Nie ma tu czego szukać, po cóż być łowcą złudzeń? Ale to nie było złudzenie: ci z grupy „N”, ze szkoły niezapomnianego, rozstrzelanego „Kaira” tak łatwo się nie mylą.

Stefan KISIELEWSKI

Wiersze

Natalia GORBANIEWSKA

Z NOWYCH WIERSZY

**

*I wtedy pokochałam te wiersze obce,
których dźwięk różnym uszom zgrzytał i trzeszczał,
i z tego wzięły się moje liczne nieszczęścia
i szczęścia. Więc odtąd jestem zawodowcem,*

*przysięgłym tłumaczem, który nocami
zapomnianym słowem rosyjskim ów szczebiot
próbuję, szeleszcząc Dala stronicami
i mamrocząc jak nad księgą wróżebną.*

*Ale dzięki za to (komu ja dziękuję? —
sobie samej, przypadkowi, Tobie, dobry Boże?),
iż gdy w mrok zaokienny paryski wszęptuje
nowy przekład — jak nowicjusz się trwożę.*

*Sobie, Bogu, powołaniu, wyzwaniu?
Językowi, co zawierzył miłosnemu wyznaniu.*

STILL AM MEER

*Cisza na morzu i fala nie dyszy,
a poruszone od niechcenia wiosto
do wody samo siebie nie doniosło,
by nie zakłócić tej niezmiernej ciszy.*

*A ty w tej ciszy wymiarach niewielu
leżysz, kolebka twa — z desek sklecona,
a ty do samej siebie obrócona
twarzą — do żagla, co zwisa bez celu.*

*Rozmawiaj tedy z ciszy cichym życiem,
nie poruszając słonymi wargami,
i z niegasnącym na górze księżycem,
z niewidzialnymi rozmawiaj brzegami.*

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 333 — PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)
(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

Tom I-szy str. 240.

Cena I/II F. 170,00.

Tom II-gi str. 432.

„Historię” można nabywać tylko w całości.

*Na srebrnych ścieżkach nie znanego ładu
zwisają żagle, wiosło nie wzlatuje
i tynk z księżycą się nie osypuje,
nic najłżejszego nie zostawia śladu.*

*I jeśli właśnie tak, milcząc wypowiesz
to dawne, co od zawsze cię przenika,
to może jednak zostawisz po sobie
nie ślad, lecz migot, światełko świetlika.*

*
**

*Gdy kres swój przekroczyś, zakres, granicę —
nie straszno ci, że nie będzie powrotu?
zostaniesz, wyrwconą na nice,
na lodzie, z pustymi rękami, z niczym?...
Ach, ja się obudzić boję po prostu
z tą samą skórą i z tą figurą,
nie o to chodzi, że nie dość nadobną,
lecz do wczorajszej nazbyt podobną.*

*I nawet nie o to, że nazbyt podobną,
lecz, że nie bez skóry — ze skórą! —
wewnątrz granic dość znoszonego
ciała, ciągle niemożonego.*

*Znoszonych nie do zniesienia myśli
i całej tej bieganiny mysiej,
tych kłopotów, prac, interesów,
wewnątrz ustalonego zakresu.*

*Wewnątrz siebie, a nie na zewnątrz —
nieodmiennie z tą samą, ze mną.
Tak przeraża mnie to przeznaczenie,
że drętwieję i lodowacieję.*

*I tak drętwieję i lodowacieję,
że tkwię nieruchomo, w tym swoim ciecie,
nie umiem za burtę siebie wyskoczyć,
nie umiem zburzonych granic przekroczyć.*

Natalia GORBANIEWSKA

(Przełożył z rosyjskiego Wiktor Woroszyński)

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

Watykan w czasie choroby Papieża

Kiedy numer ten dotrze do rąk czytelników, Papież będzie przebywać na rekonwalescencji w Castel Gandolfo. Ponowne unieruchomienie w klinice na skutek infekcji wirusowej opóźniło o co najmniej sześć tygodni odzyskanie przez Niego pełni sił. *Blackout* informacyjny w Watykanie, w czasie kiedy ciężko zachorował, przyczynił się do szerzenia się w prasie światowej różnych sensacyjnych hipotez i niesprawdzonych wersji na temat źródła zakażenia. W Watykanie starano się ukrywać lub minimalizować prawdziwy stan rzeczy, a nawet wręcz zaprzeczać, jakoby istniały powody do niepokoju. W tych warunkach uaktywniły się nieoficjalne kanały informacyjne, nie zawsze wiarygodne. Pewni dygnitarze w Kurii Rzymskiej z niezadowolaniem przyjęli fakt, iż otoczono Papieża „barierą ochronną”, nie dopuszczając do poznania prawdy. Lekarze nieprędko jednak doszli do właściwej diagnozy, a od chwili ponownej hospitalizacji stali się bardzo przezorni i nader powściągliwi w stawianiu prognoz. Wielu obserwatorów (jak np. P. Nichols w londyńskim *Times*) słusznie zauważyło, że aparat watykański nie był przygotowany — ani w kategoriach psychologicznych ani organizacyjnych — do stawiania czoła trudnościom związanym z długotrwałą chorobą Papieża, która uniemożliwiła mu sprawowanie urzędu. Pius XII zaniemógł ciężko w 1954 roku, Jan XXIII musiał zredukować bardzo poważnie aktywność od grudnia 1962 roku aż do śmierci 3 czerwca 1963 roku, Paweł VI przerwał normalne zajęcia w listopadzie 1967 roku na 3 tygodnie w związku z usunięciem prostaty (zabiegu dokonano w Watykanie), a latem 1976 roku w obawie o przemęczenie (miał lat 79), odradzano mu wyjazd do Filadelfii na Kongres Eucharystyczny. We wszystkich tych przypadkach aparat watykański wykazał sprawność. Były to inne czasy i inne style rządów papieskich. Zamieszanie i niedociągnięcia, które

ujawniły się w maju i czerwcu br., wynikały nie tylko z zaskoczenia przez bezprecedensowy w dziejach zamach. Niepewność w Watykanie okazała się tym większa, że kule zamachowca, a potem infekcja wirusowa, dotknęły papieża niezwykle żywotnego i dynamicznego, znajdującego się od przeszło dwóch lat w centrum uwagi międzynarodowych mass mediów.

Reakcje na chorobę Papieża świadczyły często o nieznaności funkcjonowania centralnych struktur Kościoła. Niektórzy pisali o ewentualnej dymisji Papieża, inni o możliwości „delegowania” części atrybutów władzy papieskiej na grupę kardynałów. Bzdury. Papież jest absolutnym, choć elektywnym suwerenem i jako Namiestnik Chrystusa zachowuje pełnię personalnej władzy aż do śmierci. Konstytucja *Romano Pontifici Eligendo* Pawła VI z 1975 roku nie przewiduje *impedimento* papieża (przeszkód w sprawowaniu jego urzędu). Papież, tak jak prezydenci republik, nie ma zastępcy. Sekretarz Stanu — ekwiwalent premiera — jako jego najbliższy współpracownik ma mu pomagać zarówno w kierowaniu Kościołem, jak i w stosunkach z dykasteriami Kurii Rzymskiej (według reformy Pawła VI z 1967 roku). Dzięki temu aparat watykański mógł kontynuować normalną działalność *di ordinaria amministrazione*, podczas kiedy wstrzymana była „działalność nadzwyczajna” związana z papieskim *Magisterium*. Jan Paweł II kontynuował w klinice, chociaż w zwolnionym rytmie, swe zadania duszpasterskie. „Samotność”, o której wspominał, zwracając się do polskich pielgrzymów 26 lipca, była więc raczej samotnością pozorną, aczkolwiek mającą na pewno znaną Mu cenę, okupioną cierpieniem i wykorzystaną — jak twierdzą wtajemniczeni — na medytację odnoszącą się do wytyczenia dalszych szlaków pontyfikatu (podobno opracował projekt nowej encykliki, czy też raczej dokumentu, na tematy społeczne). Pozorną także, bo prasa światowa informowała obszernie o jego stanie zdrowia. Domagała się tego opinia publiczna, miliony ludzi chciały nabrać pewności, że Papież „wróci taki jak przedtem”. W prasie przewija się jednak pytanie: czy zmieni się lub jak się zmieni styl tego Papieża? W Kurii Rzymskiej niektórzy twierdzą, że postać Papieża, „naznaczona tak dramatycznie przemocą”, psychicznie będzie odmieniona, że będzie zmuszony więcej czasu poświęcić problemom Kurii, a zredukować akcję *ad extra*, tzn. że „z ekstrawersyjnego stanie się bardziej introwersyjny, bardziej rzymski”. Nie podzielam tego poglądu, wynikającego z nieprzemyślanej do końca analizy osobowości Papieża i poniekąd również z obaw o nadmierną koncentrację władzy w rękach Sekretarza Stanu, co jest nieporozumieniem. Kardynał Casaroli nie ma bowiem ambicji w tym zakresie, jest lojalnym wykonawcą i doradcą Papieża, doskonale przystosowującym się do zamysłów i stylu Jana Pawła II. Nie zgadzam się jednak głównie dlatego, że tzw. optyka rzymska — której nie należy lekceważyć, zwłaszcza tam gdzie idzie o pewne normy, „reguły gry” (których Polacy nie potrafią czasem respektować) — ulega dziś redukcji. Nabiera w czasie tego pontyfikatu jedynie pomocni-

czego charakteru. Zmieniała się bowiem perspektywa historyczna i kulturotwórcza, w której obraca się Kościół Powszechny.

Zamach na Papieża ujawnił fakt, że Kościół nie jest obszarem wydzielonym i neutralnym w toczących się na świecie konfliktach. Uderzenie w autorytet Papieża może dziś zachwiać równowagę międzynarodową. Kościół Powszechny — nie tak jak w przeszłości — odgrywa rolę w układach sił, w których elementy moralne i polityczne przenikają się. W dawnych, wielkich konfliktach europejskich wystarczała dyplomatyczna neutralność papieżstwa. Już jednak w czasie drugiej wojny światowej neutralność Stolicy Apostolskiej była kwestionowana. Dzisiaj autorytet Papieża znajduje się w samym centrum wielkich zmagani. Wystarczy przytoczyć interwencje Papieża na rzecz procesu odnowy w Polsce. Po zamachu zwiększony jeszcze jego autorytet będzie potrzebny dla sprawy głęboko tkwiącej w jego zamysłach: zwyciężenia podziału Europy. „Eksperyment polski” stanowi w swych dalekosiężnych implikacjach jedyną konkretną alternatywę dla tego złowrogiego podziału. Kardynał Casaroli w kazaniu 7 czerwca br. zrobił subtelną aluzję do możliwości, że zamachowiec nie działał sam („nieprzyjazne serce — lub też są to serca — które ubroїło rękę wroga”).

Podróże apostolskie, stanowiące tak istotną cechę wyróżniającą obecny pontyfikat, będą na pewno kontynuowane. Już mówi się o tym, że niezależnie od podróży do Szwajcarii i Hiszpanii, które w tym roku wypadły z kalendarza, Papież uda się do Polski i tak jak było przewidziane do Anglii. Czynniki rządowe w krajach, które będą gościć Papieża, będą musiały uwzględnić bardziej niż dotąd złożone i pilne kwestie związane z bezpieczeństwem. I dlatego byłoby tak ważne zrozumieć, dlaczego dokonano zamachu na jego życie. *Cui prodest?* Komu na tym zależało? Jakie „mroczne i utajone siły” sprzysiężyły się i wynajęły *killer'a*-fanatyka? Pytania te są nadal zawieszane. W pośpiesznie odbytym procesie trwającym zaledwie dwa i pół dnia nie próbowano nawet udzielić na nie odpowiedzi.

Prymas Polski w Rzymie

W ostatniej dekadzie lipca aż do 7 sierpnia przebywał w Wiecznym Mieście abp Józef Glemp, Prymas Polski. Wizyta miała charakter prywatny. Będzie tu ponownie w październiku, czyli po swym uroczystym ingresie na stolicę w Gnieźnie i Warszawie. Odwiedził kilkakrotnie Papieża w klinice, odprawił mszę i wygłosił kazanie w kościele św. Stanisława, spotkał się z miejscową kolonią polską oraz w Domu Polskim z młodzieżą z kraju. Był ponadto obecny 29 lipca na placu św. Piotra w czasie modlitw polskich pątników, które ks. K. Przydatek, kierownik ośrodka duszpasterskiego dla pielgrzymów z kraju i emigracji, organizuje w każdą środę (dzień cotygodniowych audiencji generalnych) na miejscu zamachu, by odpowiedzieć „miłością na nienawiść i zło”.

Ks. Przydatek nadmienił, że te „nasze modły nie podobają się pewnym osobom, które chciałyby je przenieść do bazyliki”. Faktycznie wywołały zastrzeżenia w Kurii Rzymskiej, a nawet interwencję wysokiego dygnitarza, kiedy w czerwcu Papież miał silną gorączkę i obawiano się, że te przejawy zbiorowej emocji sprokują Go do wstania z łóżka i pokazania się w otwartym oknie. Uznano, że stanowi to wyłamywanie się Polaków z reguł koniecznej dyscypliny.

Arcybiskup Glemp wykazał gotowość do rozmów z przedstawicielami poważnych środowisk emigracyjnych. Podobnie jak w kraju, nie stronił od dziennikarzy. Redaktor *L'Osservatore Romano* zorganizował spotkanie prasowe w Polskim Instytucie Kościelnym. Szkoda jednak, że z prasy włoskiej wykluczono wielkie gazety informacyjne i prasę lewicową, co spowodowało skargi skierowane do Sekretariatu Stanu. Fakt, że nie uczestniczyli w tym spotkaniu wystawnicy największych organów prasowych, jak również organu partii komunistycznej *Unità*, zredukował poważnie oddźwięk wypowiedzi Prymasa w środkach masowego przekazu. Uratowała sytuację krótka relacja w dzienniku telewizyjnym. Jeszcze raz więc niestety okazało się, jak często niedoświadczeni pośrednicy i wykonawcy psują dobre zamiary arcybiskupów.

Arcybiskup Glemp położył nacisk na negatywne skutki moralne społecznego nieładu i dezorganizacji dystrybucji artykułów pierwszej potrzeby. W ocenie procesu odnowy był powściągliwy — jeszcze na to za wcześnie. Chodzi o to, by ta „odnowa była trwała, a nie tylko pozorna”. Wszystko wskazuje — jego zdaniem — że ewolucja zmierza „ku bardziej rzetelnej demokracji, większemu poszanowaniu praw człowieka i większej sprawiedliwości”. Kościół ma zadania pasterskie, „powinien służyć wszystkim, wierzącym i niewierzącym, nawoływać do cierpliwości, bo tylko w ten sposób przezwyciężymy kryzys gospodarczy i społeczny”. I tylko w ten sposób Kościół może wywierać pośrednio wpływ również na życie polityczne. Nie ulega wątpliwości, że następca kardynała Wyszyńskiego widzi potrzebę uwolnienia Kościoła od zastępczej funkcji polityczno-operacyjnej, jaką musiał i nadal musi spełniać w warunkach ostrych napięć i w obliczu załamania się autorytetu władzy partii. Wraz z upływem czasu — jak mi się wydaje — wyznacza Episkopatowi i duchowieństwu rolę duchowego inspiratora i nauczyciela etyki społecznej, co winno znaleźć wyraz w stosunkach z „Solidarnością” (wynika to *nota bene* z wywiadu w *Tygodniku Powszechnym* z 21 czerwca br.). Widzi pozytywne oznaki w stanowisku władz państwowych wobec misji i postulatów Kościoła. Sprawa formalnego uznania prawnopublicznej osobowości Kościoła? Nie stanowi to problemu — oświadczył — faktycznie jest już bowiem uznawana. Nie wyklucza, że postępy w pracach Komisji Wspólnej Episkopatu i rządu doprowadzą do „zadowolającego rozwiązania” sprawy stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Stolicą Apostolską. Dał ponadto wyraz przekonaniu, że Papież przyjedzie w przysz-

łym roku do kraju na jubileuszowe obchody na Jasnej Górze. Arcybiskup Glemp odpowiadał na stawiane pytania. Podobnie jak tutejsi obserwatorzy, łącznie z *L'Osservatore Romano*, wyraził rozczarowanie, że proces przeciw Ali Agca nie doprowadził do wyjaśnienia tła zamachu i wykrycia czynników, które działały za plecami zamachowca. Szkoda, że nikt nie zainteresował się innymi sprawami. Gdyby spytano o nie abpa Glempa, dowiedzieliby się, że — jego zdaniem — Kościół (również w Polsce) winien przełożyć na język faktów soborowy nakaz otwarcia ku światu zewnętrznemu, a więc uwrażliwienia na wartościowy wkład do chrześcijaństwa nurtów i ludzi spoza Kościoła, że musi reagować na problemy społeczne i polityczne współczesnego świata, znaleźć odpowiedzi na pytania stawiane przez te odłamy społeczeństwa, które oddaliły się od chrześcijaństwa.

W swej ostatniej wypowiedzi, opublikowanej przez Biuro Prasowe Episkopatu, kardynał Wyszyński tłumaczył, że nie pozostawia testamentu, ponieważ „nadchodzą nowe czasy, potrzebni są nowi ludzie”. Można sądzić, że Prymas Polski na łożu śmierci, a zapewne i dużo wcześniej, doskonale zdawał sobie sprawę, kto zasługuje na to, by przejąć z jego rąk ster nawy Kościoła. Papież w swej decyzji powołującej ordynariusza warmińskiego na najwyższy urząd w Kościele polskim uszanował wolę umierającego Ks. Prymasa. A mając pełne rozeznanie sytuacji i „znaków czasu”, powierzył sukcesję biskupowi „nowemu” i względnie młodemu, który gwarantuje ciągłość pasterskiej i narodowej misji realizowanej przez wielkiego Prymasa. W rozmowie z pewnym wybitnym europejskim mężem stanu Jan Paweł II nazwał kardynała Wyszyńskiego „największym Polakiem XX wieku”. Jego następcą reprezentuje formację pasterską i kulturalną odpowiadającą wymogom nowych czasów...

Dominik MORAWSKI

Pisane 6 sierpnia 1981 r.

LIST PATRIARCHY PIMENA

W ukraińskiej prasie emigracyjnej, ale również w niektórych gazetach zachodnich, zwłaszcza niemieckich, duże wrażenie wywarło opublikowanie w czerwcu bież. roku listu patriarchy Pimena do Jana Pawła II i odpowiedzi Papieża. Tekst tej korespondencji ujawnił *Żurnal Moskowskiej Patriarchiji* w nr. 4 (kwiecień). Pimen wyraża „niepokój i rozgoryczenie” z powodu uroczystej Deklaracji Synodu biskupów ukraińskich (anulującej jako „niebyły” i „kanonicznie nieważny” tzw. Synod Lwowski z 1946 roku — por. moją korespondencję w *Kulturze* nr 1/2, 1981). Stwierdza on, że deklaracja ta „może przekreślić wszystkie zdobycze w zakresie zbliżenia naszych dwóch Kościołów... stwarza bardzo niebezpieczne napięcie w stosunkach pomiędzy Kościołem Rzymsko-Katolickim i Rosyjskim Kościołem Prawosławnym”. Jego zdaniem „treść i duch tej deklaracji są obce duchowi braterstwa ekumenicznego”. Posuwa się do tego, że uznaje ten dokument za „próbę zrewidowania i wprowadzenia zamętu w obecną strukturę Rosyjskiej Cerkwi”. Wyraża nadzieję, że „znajdzie się możliwość rozwiązania nie-

bezpiecznej sytuacji jaka powstała w naszych wzajemnych stosunkach". Powołuje się na rozmowy przeprowadzone w grudniu ub. roku przez metropolitę Juvenalija, przewodniczącego departamentu d/s zagranicznych, z kardynałem Rubinem i współpracownikami Sekretariatu dla Jedności Chrześcijan, którzy mieli oświadczyć, że w/w. deklaracja synodalna „jest pozbawiona ważności prawnej”. Pimen wyraźnie uzależnia dalszy postęp w dialogu teologicznym katolicko-prawosławnym od rozwiązania tej sprawy, aby „nie dopuścić do tego, by nasze stosunki miały cofnąć się do smutnego stanu, w jakim znajdowały się aż do pontyfikatu Jana XXIII”. Pimen apeluje do Papieża, by „nie zachęcał katolickich biskupów ukraińskich na obranej drodze”.

Na list Pimena, datowany w Moskwie 22 grudnia 1980 roku, Jan Paweł II odpowiedział 24 stycznia br. Papież stwierdza, że biskupi ukraińscy zebrali się w Rzymie „w celu przedłożenia kandydatów na wakujące stolice episkopalne i omówienia rozmaitych aspektów działalności pasterskiej wśród wiernych rozproszonych w różnych częściach świata”. Oświadcza dalej, że konkluzje Synodu miały mu być przedłożone do aprobaty. Zanim jednak doszło do „uprzedniej konsultacji”, przekazano je do prasy. Stolica Apostolska — brzmi dalej odpowiedź papieska — zajmując nadal nieugięte stanowisko, które zawsze zajmowała, w sprawie praw katolików ukraińskich, wyraża ubolewanie, że doszło do tej publikacji zanim miałem sposobność przestudiowania dokumentów, które są pozbawione charakteru oficjalnego”. Papież wyraża nadzieję, że to wyjaśnienie „usunie niepokój” (na wstępie używa terminu „nieporozumienie”), i robi aluzję do anulowania „synodu” we Lwowie w uroczystej Deklaracji Synodu ukraińskiego z 2 grudnia 1980 roku: „przeszłość nie powinna zagrażać temu, co Bóg zrządził w naszych Kościołach począwszy od Soboru Vaticano II”. Choć jest sformułowana zbyt dyplomatycznie i ostrożnie, odpowiedź papieska nie powinna nikogo wprowadzać w błąd co do rzeczywistych intencji Papieża.

Kardynał Slipyj w deklaracji z 8 czerwca br., skierowanej do wiernych, odpowiada na lawinę pytań dotyczących ujawnionej w Moskwie „do tej pory tajnej korespondencji”. Przypominając, że „katolików ukraińskich zmuszono terrorem, groźbami i przemocą do podporządkowania się Patriarchatowi Moskwy i wyrzeczenia się unii ze Stolicą Apostolską”, wyraża zadowolenie, że „Ojciec Święty w swej odpowiedzi potwierdził, iż Stolica Apostolska zajmuje nieugięte stanowisko odnośnie praw katolików ukraińskich”. I dodaje: „Z naszej strony dołożymy wszelkich wysiłków dla popierania szczerego i uczciwego (podkreślenia w oryginale) dialogu ekumenicznego, który zakłada uznanie i pełne poszanowanie naszych praw i prawdy”. Nikt więc nie kwestionuje „struktury Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego”, co Pimen imputuje katolickim biskupom ukraińskim. Rosyjscy przywódcy prawosławni nie mogą jednak mieć pretensji, że katolicy ukraińscy nie akceptowali w milczeniu wykreślenia ich z dziejów „Świętej Rusi”. Kardynał Slipyj oświadcza ponadto, że „w duchu synowskiego oddania łączącego nas z Ojcem Świętym i mając na uwadze ciężką odpowiedzialność, która Go obarcza, zabiegamy o uzyskanie koniecznych wyjaśnień ze strony Stolicy Apostolskiej. Jak tylko to będzie możliwe, poruszymy tę sprawę z samym Ojcem Świętym”.

Niezależnie od w istocie drugorzędnej kwestii przekazania prasy tekstu uroczystej deklaracji synodalnej przed aprobatą Papieża, który mógł wprowadzić do niej pewne korektury (miarodajne źródła ukraińskie tłumaczą się, że o niemożności publicznego ujawnienia uchwał Synodu dowiedziano się dopiero 20 grudnia), sedno sprawy tkwi oczywiście w samej treści tego dokumentu. Z kanonicznego punktu widzenia nieprawomocność tzw. „synodu lwowskiego” jest bezsprzeczna. Interpelowane przeze mnie kompetentne czynniki watykańskie potwierdziły to w sposób jednoznaczny. Pimen

używa argumentu „głębokich napięć”, jakie uchwała ta rzekomo spowodowała, jako środka nacisku, niemal szantażu, obciążając dalsze postępy „dialogu ekumenicznego” hipoteką sprawy ukraińskiej. Wygrywa zapewne znany mu fakt, że w watykańskim Sekretariacie dla Jedności Chrześcijan (na czele którego stoi kardynał Willebrands) panuje przekonanie lub przynajmniej obawy, iż traktowanej priorytetowo sprawie dialogu ekumenicznego z rosyjskim prawosławiem przeszkadza cierań unicko-ukraiński. Stąd stanowisko tego Sekretariatu wobec katolików ukraińskich jest dwuznaczne, jeśli nie wręcz nieprzychylnie.

„Szczerzy i rzetelny dialog”, jak podkreśla słusznie kardynał Slipyj w swej deklaracji, nie może być prowadzony kosztem prawdy i z uszczerbkiem dla niezbywalnych praw katolickiej wspólnoty ukraińskiej. W diasporze (np. w USA i Kanadzie) podejmowane są różne formy dialogu z prawosławnymi. Na Ukrainie natomiast, nawet gdyby założyć, że obecność unitów zostałaby zalegalizowana, nie mieliby partnera, bo autokefalię (autonomię) Cerkwi ukraińskiej zniesiono i wcielono ją przymusowo po drugiej wojnie światowej do Patriarchatu Moskwy i Całej Rosji. Ukraińscy katolicy w diasporze, których cierpliwość była przez wiele lat wystawiona na bardzo ciężką próbę, mają jednak w gruncie rzeczy powody do satysfakcji. Dzięki Janowi Pawłowi II uzyskali prawo zwołania „pierwszego synodu zwyczajnego” pomyślnego załatwienia ważnych kwestii duszpasterskich, kanonicznych i administracyjnych. *Placet* papieski umożliwia im nie tylko przeżycie obecnego etapu w znacznie łatwiejszych warunkach niż przed 1978 rokiem, lecz i rozwoju własnej organizacji kościelnej oraz tak pożytecznych — również dla obrony tożsamości narodowej — placówek społecznych i naukowych, powołanych do życia w wolnym świecie pod patronatem kardynała Slipyja, powszechnie uznawanego jako Patriarcha (tytuł ten uznawany jest również przez Watykan w odniesieniu do liturgii). Uznanie przez Stolicę Apostolską instytucji patriarchatu w Katolickim Kościele Ukraińskim, jak również kanonicznie autonomicznej organizacji synodalnej (na zasadach przysługujących innym Kościołom Wschodnim wyposażonym w jurysdykcję terytorialną) może nastąpić w dalszej przyszłości, jeśli ewolucja sytuacji międzynarodowej stworzy ku temu sprzyjające warunki.

Dominik MORAWSKI

Widziane z Brukseli i z Paryża

Między cuglami a wozem

P. Artur Hartmann — mimo tego, że jeszcze w przeddzień wyborów francuskich zapowiadał zwycięstwo Giscarda d'Estaing — pozostał jednym z najlepszych dyplomatów amerykańskich. Nikt się więc nie zdziwił, kiedy Reagan desygnował go na ambasadora w Moskwie, gdzie jego poprzednik, p. Watson, były właściciel IBM, nie pozostawił po sobie niezapomnianych wspomnień. Kiedy jednak wygrał nie Giscard a Mitterand, Waszyngton zmienił zdanie i pozostawił Hartmanna w Paryżu. „Co prawda po-

mylił się w prognozie — powiedziano w Białym Domu — ale sprawy francuskie zna, niech więc popilnuje czerwonych w pałacach władzy we Francji”.

Błąd. Znajomość spraw francuskich przydałaby się Hartmannowi bardziej w Moskwie niż w Paryżu. Tak jak kiedyś na wszystkich kontynentach cierpiano z powodu „francuskiej choroby”, tak i dziś oba super-mocarstwa mają — z podobnych zresztą powodów — takie same francuskie zmartwienia: nie cieszy ich ani zwycięstwo socjalistów, ani obecność komunistów w rządzie Mitteranda.

Moskwa, trzeba to przyznać, zawsze i konsekwentnie skreślała Mitteranda. Przy trzech kolejnych okazjach Kreml głosował na jego przeciwników. W listopadzie 1965 roku, za pośrednictwem TASS'a — na de Gaulle'a, w maju 1974 roku — na kandydata Giscarda kiedy to p. ambasador Czerwonienko — „dyplomata” znany z Pragi 1968 — odwiedził ówczesnego ministra finansów Giscarda, *comme par hasard*, w przeddzień decydującej tury. Po raz trzeci Moskwa otworzyła swe serce w marcu 1981. Organ *Prawda* wysoko ocenił wtedy kandydata Giscarda jako „polityka o wysokim autorytecie na arenie międzynarodowej”, podczas kiedy kandydat Mitterand został napiętnowany jako „polityk bez programu” ślizgający się w prawo i w stronę Atlantyku, co, naturalnie, nie mogło nie wywołać „głębokiej nieufności społeczeństwa francuskiego”.

Jak już wiemy, Kreml się nieco mylił co do głębokiej nieufności Francuzów wobec Mitteranda, natomiast — o czym się za chwilę dowiemy — nie mylił w swej własnej nieufności wobec socjalistycznego kandydata i prezydenta. Wyniki wyborów potwierdziły najbardziej czarne prognozy. Socjalistyczna róża zajęła wszystkie grządki w parlamentarnym ogrodzie Bourbonów. Francuska partia komunistyczna — najwierniejszy batalion socjalizmu na Zachodzie — straciła jedną czwartą głosów, oraz, co ważniejsze, połowę miejsc w parlamencie. Grupa poselska FPK jest najmniej liczna w parlamencie, prawie wszyscy członkowie politbiura przepadli na rzecz socjalistów, często nieznanym.

Wejście czterech ministrów komunistycznych na salony rządu Mitteranda nie przywróciło uśmiechu na zatroskanym obliczu Breżniewa. Dziwne, można powiedzieć. Obecność tow. Fitermana, syna polskich emigrantów (w każdej francuskiej ekipie u władzy musi być jakiś polski potomek: był Poniatowski, jest Fiterman, był pseudo-książe, jest pseudo-robotnik, była szara eminencja liberałów, jest szara eminencja komunistów), oraz jego trzech kolegów z kompartii raz na tydzień w Pałacu Elizejskim oraz cały tydzień na czele czterech ministerstw ma przecież ewidentnie dobre strony z punktu widzenia Moskwy.

Nawet jeżeli pominąć, niesprawiedliwe może, podejrzenia, że pewne tajemnice mocarstwa francuskiego przestaną być tajemnicami dla mocarstwa sowieckiego (także bez komunistów nie było zazwyczaj prawdziwych tajemnic w czasie plenarnych środowych

posiedzeń rządu), to pozostają innego typu korzyści dla Kremla. Skompromitowana i agenturalna partia francuska odzyskuje polityczne dzwiewiectwo, wchodzi — po raz pierwszy od 35 lat — do rządu w państwie atlantyckim i w ramy demokratycznej koalicji. Stanowić to może przykład dla Włochów lub dla Portugalii, gdzie ciągle partia jest wierna Stalinowi.

Glejt dla komunistów ułatwia amnezję i zerwanie z przeszłością. Po co wspominać niechęć Breżniewa do Mitteranda, skoro wziął on do rządu jeszcze bardziej niechętnych mu, własnych komunistów. Moskwa może również spodziewać się hamowania przez komunistów ewentualnych atlantyckich zapałów Mitteranda. Jest to także znakomity argument dla... krnąbrnego narodu polskiego. Czegóż się tym Polakom zachciewa, wdychając w Moskwie, mówią, że mają dość komunistów, a przecież demokratyczny Mitterand wziął ich do siebie z własnej nieprzymuszonej woli, bez armii czerwonej czy listów Breżniewa.

Francuska premiera

Udział komunistów w rządach burżuazyjnych stanowił zawsze dla Moskwy operację delikatną i precyzyjną. Tuż po wojnie, w pojałtańskiej Europie, strategia Moskwy była prosta. Komuniści wchodzili na sowieckich bagnietach do rządów, aby je przejąć. Wystarczy przypomnieć epizod polski czy czeskosłowacki (aresztowanie PPS lub pucz praski 1948) aby stwierdzić, że wszędzie na Wschodzie partie komunistyczne wyeliminowały przez „zjednoczenie” czyli uduszenie, przy pośredniej lub bezpośredniej pomocy armii czerwonej (z wyjątkiem Jugosławii), większościowe i autentyczne partie socjalistyczne.

Z krajów nie zachodnich lub nie jałtańskich, komuniści weszli i są w rządach dwóch państw nie zsowietyzowanych: w Finlandii, co do której ciągle nie wiadomo dlaczego Stalin nie zamienił jej na republikę sowiecką (może dlatego, że się bili), komuniści, zresztą rozbici, są w rządzie jako strażnicy neutralizmu i... fiandyzacji. W Islandii, komuniści już dawno zerwali z Moskwą.

We Francji w roku 1981 teoretycznie nic nie stało na przeszkodzie aby komuniści weszli do rządu, ale nic też nie zmuszało Mitteranda — mającego absolutną większość w parlamencie — do wejścia do historii w charakterze pierwszego zachodniego prezydenta otwierającego przed komunistami drzwi do udziału we władzy. Odwrotnie, wszystko na pozór powinno go było od tego kroku odrzucać.

Jego decyzja jest bez precedensu nawet w tak pełnej zawiąsów historii partii socjaldemokratycznych. Nigdy, żadna partia socjalistyczna, dysponująca sama bezwzględna większością sejmową, nie zawarła koalicji z komunistami. Nawet były i przyszły premier Szwecji, Olaf Palme, najbardziej lewicowy i nieobliczalny (obok starzejącego się i mesjanizującego Brandta) socjalista na Zachodzie, kiedy koniecznie potrzebował poparcia komunistów w parlamencie, nie zapłacił za to teką ministerialną.

Niektórzy przypominają w tym miejscu, że zrobił tak de Gaulle w 1944 roku. Cóż za nieporozumienie, nie ma żadnego porównania. W 1944 roku świat wychodził z wojny z Hitlerem, Rosja była sojusznikiem, nikt nie znał prawdy o gułagu, intelektualści zachodni piętnowali kalumnie Krawczenki, byli zafascynowani i sławili łagodność, mądrość i wspańiałość Stalina, Francuzki szydełkowały dla niego pończochy na zimę. W 1944 roku francuscy komuniści wychodzili z trzech lat ruchu oporu przeciw Hitlerowi, byli prawdziwą potęgą, zbierali 26-28 % głosów w demokratycznych wyborach, dysponowali własnym aparatem policyjnym — „milicją patriotyczną”. Europa i Francja chciały pokoju, stabilizacji, dobrobytu. No i de Gaulle nie był socjalistą, uznawanym niezmiennie, w ukryciu czy na jawie, za głównego wroga komunizmu.

W 1981 sytuacja jest jednak nieco inna. Sowiety stanowią groźną chmurę wiszącą nad całym światem, i Francją także, stosunki Wschód-Zachód są w stanie faktycznej zimnej wojny, SS XX stale wycelowane są na kilkaset „objektów” — w tym i na wieżę Eiffla, komuniści wychodzą z trzech lat ruchu oporu przeciwko Mitterandowi i ruchu pomocy Giscardowi, a obecny minister Stanu, p. Fiterman, przedstawiał jeszcze rok temu swego obecnego prezydenta jako sojusznika prawicy i zdrajcę klasy robotniczej. Kiedy Mitterand określił poparcie Kremla dla Giscarda jako „zapłatę za Warszawę” (aluzja do fatalnego spotkania z Breżniewem), Fiterman nazwał prezydenta, a wówczas kandydata, agentem USA. Ojcem duchowym Mitteranda jest, jak wiadomo, Mendès France. Otóż kiedy w latach 50-tych Mendès tworzył swój własny rząd — odmówił liczenia głosów komunistycznych w głosowaniu nad inwestyturą.

W 1944 roku komuniści jawili się jako „partia powieszonych”. Nikt nie pamiętał ich poparcia dla paktu Hitler-Stalin, ani dezercji Thoreza. W 1981 roku wszyscy pamiętają poparcie FPK dla inwazji Węgier, faktyczne milczenie wobec pacyfikacji Czechosłowacji, obronę ludobójstwa w Kambodży, Wietnamie, czy Etiopii, zachwyty nad ekspansją Kuby. Dla FPK w Afganistanie nie doszło do krwawej inwazji a chodzi tylko o braterską interwencję w celu odebrania miejscowym feudałom „prawa pierwszej nocy”. FPK rozsądziła pierwsze nieśmiałe próby eurokomunizmu, ciągle upiera się przy swej oryginalnej tezie o „bilansie globalnie pozytywnym” krajów socjalistycznych z ZSSR na czele, chociaż polski przykład powinien być ją skłonić do rewizji tego poglądu.

FPK broni przede wszystkim interesów ZSSR, nawet wbrew interesom państwa, w którego rządzie obecnie zasiada. Konferencja „rozbrojeniowa” jaką FPK, przy współpracy... PZPR (która jak widać nie miała innych zmartwień) zorganizowała w ub. roku w Paryżu na temat euromisji była tak wulgarnie i agenturalnie jednostronnie prosowiecka, że komuniści z Włoch, Hiszpanii, Jugosławii, a nawet Rumunii odmówili w niej udziału. No i w końcu, w tym pobieżnym inwentarzu z natury nie należy pominąć

jednego małego detalu: poza portugalską FPK jest jedyną liczącą się partią komunistyczną na Zachodzie, która nie wyraziła zastrzeżenia wobec listu Breżniewa do Kani ani też wobec innych przejawów brutalnej presji sowieckiej na Polskę.

Chociaż zaproszenie do pałacu Elizejskiego dało im szansę prowizorycznej choćby zmiany szat i manier, FPK, już po wejściu do rządu, zlikwidowała od jednego podejścia jedenastu swych dysydentów, winnych różnicy zdań z kierownictwem i prawidłowej prognozy katastrofy wyborczej. Prezydent Mitterand nazwał swój gabinet „socjalistycznym rządem praw człowieka” po czym wpuścił tam przedstawicieli i obrońców systemu, który gdziekolwiek zapanował — od Kuby do Wietnamu — wszędzie dokładnie te prawa zlikwidował.

Jeżeli ugrupowanie o takim „palmaresie” wchodzi do demokratycznego rządu — chociaż nie zachodzi po temu żadna parlamentarna ani inna konieczność — to powinno to, naturalnie, stanowić dla tej partii, oraz dla jej przyjaciół w kraju i za granicą — kolosalny sukces. A jednak...

„Korupcja na ziemi”

A jednak fanfary nie zagrały w Moskwie. Skromność Kremla, który nie waha się w normalnych warunkach odnotować najmniejszego sukcesu komunistów w Pernambuco czy Westfalii, zaskoczyła świat cały. Niesłusznie. Rację ma Kreml. Breżniew wie, że Mitterand wzięty w ramiona Fitermana a nie Supermana, nie dlatego, że Fiterman jest silny, a dlatego że jest słaby. FPK musiała przyjąć warunki Mitteranda, bo nie miała wobec jego „oferty-ultimatum” dobrej riposty.

Gdyby FPK odmówiła udziału w rządzie lewicowym, skazałaby się na getto polityczne. Biorąc udział w rządzie naraża się na całkowitą dominację przez socjalistów, na korozję ideologiczną. Kończąc przetargi z socjalistami na temat warunków udziału komunistów w rządzie, jej przywódca i główny autor katastrofy, p. Marchais, powiedział z uśmiechem przez łzy: „Teraz pozostaje nam tylko wstać do partii socjalistycznej”, na co Jospin, sekretarz generalny partii socjalistycznej: „A nie, to nie takie proste, tam są znacznie większe wymagania”.

Z punktu widzenia prestiżowego wejście FPK do rządu to istotnie prawdziwa klęska. Nowy minister stosunków zewnętrznych (tradycja republikańska odrzuciła burżujskie pojęcie spraw zagranicznych) p. Chaysson, poprzednio komisarz EWG w Brukseli, znany na tym rynku z gaf językowych, określił swych nowych komunistycznych kolegów jako „chłopców na posyłki”, nie mających dostępu do naprawdę ważnych czy tajnych *dossiers*. Pierwszorzędnie robiona goszystowska *Libération* napisała, że komuniści „weszli do rządu na kolanach”.

W istocie jednak, nie chodzi o prestiż czy honor — nie są to jak wiadomo cnoty najbardziej cenione przez ruch komunistycz-

ny — a o politykę i wpływy. Moskwa wie, że w bardzo trudnym momencie międzynarodowym traci na jakiś czas najbardziej skuteczny instrument swego oddziaływania na Zachodzie. Z punktu widzenia Rosji FPK, wchodząc do burżuazyjnego rządu, jest skazana — jakby to określił Chomeini — na „korupcję na ziemi”, zobowiązuje się bowiem do respektowania ugody klasowej z burżuazją, do reformistycznej próby wyciągania z kryzysu kapitalistycznego państwa. Udział FPK w rządzie oznacza m.in. faktyczną neutralizację potężnej centrali związkowej CGT i innych przybudówek kontrolowanych przez partię. Panowie Seguy i Krasucki (ten francuski), członkowie politbiura i szefowie CGT, wiją się rozdierani między „czasem łaski” obiecanym rządowi przez komunistów, a rewindykacjami klasy robotniczej, której sytuacja nie ulega obiecanej poprawie. W 1946 roku Thorez powiedział, że „trzeba umieć przerwać strajk” kładąc kres potężnemu ruchowi górników. W 1981 roku jedną z pierwszych misji komunistycznego ministra transportu Fitermana było zmuszenie francuskich kontrolerów powietrznych do natychmiastowego przerwania strajku solidarnościowego z kontrolerami amerykańskimi.

Drugą misją Fitermana, autora sloganu o „bilansie globalnie pozytywnym” było koordynowanie transportu pilnej pomocy dla Polski, wyjącej z głodu z powodu tegoż bilansu. Tak czujna do niedawna i bezkompromisowa wobec atlantyzmu Mitteranda *L'Humanité* po szczycie w Ottawie zauważyła jedynie, że ograniczono się tam do powtórzenia „ograniczonej hasła antysowieckiego” i nie zauważyła nawet, iż brał w tym udział prezydent Francji, który jest zresztą najbardziej gorącym zwolennikiem modernizacji arsenału nuklearnego NATO, może dlatego, iż sam nie będzie za to płacił.

Nadrobić 60 lat

W skrócie mówiąc Moskwa zna stawkę o jaką chodzi Mitterandowi, choćby z lektury francuskiej prasy. Wspomniana już *Libération* określiła Mitteranda jako „florenyńskiego antykomunistę”, który chce zagłaskać FPK na śmierć. Mitterand nigdy zresztą tego nie tał. Od kongresu w Epiney, gdzie powstał właściwie kształt obecnej partii socjalistycznej, aż do wejścia do Elysée w 1981 roku, Mitterand powtarzał, że komunistów należy sprowadzić do 5 % masy wyborczej i że on tego dokona.

W wywiadzie dla pisma *Le Monde* Mitterand powiedział, że jego zamiarem jest „odzyskanie całego terenu utraconego od kongresu w Tours”, to znaczy od rozłamu 60 lat temu na socjalistów i komunistów, od chwili rozvodu między „marksyzmem-leninizmem a naszym socjalizmem”.

Jean Daniel, redaktor *Le Nouvel Observateur*, podstawowego pisma francuskiej lewicy niekomunistycznej, które czasem mętnie, ale zawsze konsekwentnie popierało Mitteranda, streścić intencje prezydenta w bardziej przystępny sposób. Drobnostka:

Mitterand chce po prostu „zdebolszewizować” FPK, „wyrwać z niego leninizm”, wyswobodzić ją z „pancerza solidarności z państwami totalitarnymi”, to znaczy z blokiem sowieckim, sprzężyć „dojście przywódców FPK do godności i honorów z upadkiem samej partii”.

Bardzo ładny program. No, ale jeżeli — jak mógłby spytać Lejzorek Rojtszwaniec — kombinacja się nie uda i króliki zamiast wyginąć rozmnożą się? Jeżeli się okaże, że Macchiavelli nie wszystko przewidział, albo że wprost znajdował się w obozie przeciwnym, że, jak to już nieraz bywało w przeszłości, komuniści francuscy nie dadzą się zlikwidować, nie dadzą się — jak to ktoś obrazowo choć niedelikatnie określił — wykastrować?

Jeżeli np. tak jak za de Gaulle'a, komuniści skorzystają z obecności w rządzie dla budowy czy odbudowy swych pozycji w aparacie państwowym, dla spenetrowania systemu, utworzenia ponownie lub rozbudowy swej sieci tajnych komórek złożonych z ukrytych komunistów na najbardziej dyskretnych szczeblach maszyny administracyjnej? De Gaulle, taki sprytny, chwalił się że „wierzgająca, ale ujęta w dyszle partia komunistyczna, będzie teraz także ciągnąć ten ciężki wóz (odbudowy państwa — dopisek Brukselczyka), ale ja będę trzymał cugle”. A tymczasem, jak wynika ze wspomnień tych co wówczas ciągnęli, nie tylko oni byli w cuglach. Byli ministrowie komunistyczni, obecni renegaci partii, opowiadają, że ciągnęli wóz ale partyjni, i że cugle trzymał Thorez, a nie de Gaulle. Przed każdym posiedzeniem rządu odbywało się posiedzenie politbiura, instrukcje brali tam, a nie u premiera. W 1946 roku de Gaulle odszedł, ale komuniści zostali. Duclos, ówczesny numer 2 w partii powiedział wtedy, że na nowego premiera — bo tego wymaga interes FPK — „trzeba desygnować najstarszego socjalistę”. I tak się stało.

A przecież i dziś, nie jest to zresztą tajemnicą, wiadomo, że ministrami komunistycznymi nie kieruje solidarność rządowa a solidarność partyjna, nie lojalność wobec prezydenta, a lojalność wobec ideologii, której Mekka i Watykan leżą poza granicami Francji.

Jak zachowa się Mitterand, kiedy FPK, wprost czy pośrednio, postanowi — wbrew obietnicom — dolać oliwy do socjalnego ognia we Francji, kiedy pchać będzie i prowokować rząd — i tak uwikłany w czystki personalne i polowania na czarownice, a przede wszystkim w bardzo ryzykowne kombinacje gospodarcze — do dalszego zaostrzenia konfliktów z przemysłem krajowym i zagranicznym, do preferowania partnera sowieckiego kosztem amerykańskiego (co mieści się logicznie w niezdemontowanej filozofii partii), kiedy nagle, ot tak, *par coincidence*, w jakimś bardzo delikatnym momencie, okaże się, że absolutnie niezależna i niekontrolowana CGT odmówi posłuchu FPK i zerwie „czas łaski”?...

Francja jest członkiem i zasadniczym elementem wszystkich prawie instytucji europejskich, FPK natomiast — bo taki był interes ZSSR — od końca drugiej wojny światowej występowała

przeciwko absolutnie wszystkim elementom integracji europejskiej. Nic na razie nie wiadomo, aby w tym jej stanowisku zaszła jakakolwiek zmiana. Co robi Mitterand, kiedy ministrowie komunistyczni zechcą skorzystać z obecności na szczycie drabiny, aby zaognić istniejące spory w łonie Europy czy Sojuszu Atlantyckiego?

FPK jest nie tylko komunistyczna, ale także nacjonalistyczna, prawie narodowo-socjalistyczna, tak jak PZPR w 1968 roku, sięgająca po argumenty schlebujące najbardziej kołtuńskim elementom własnego narodu. Co będzie wobec tego np. z ewentualnością przystąpienia Hiszpanii czy Portugalii do EWG? W chwili pisania tych słów sprawa bomby neutronowej nie ujawniła jeszcze różnic w łonie rządu francuskiego, ale wiadomo, że FPK będzie przeciwko bombie „N”, której Rosja jeszcze nie ma, choć nie wystąpiła jeszcze ani razu przeciwko rakiecie SS XX, którą Moskwa już ma.

Co zrobi Mitterand kiedy jakiś następca Thoreza wykrzyknie, że „Francja nigdy nie będzie walczyć przeciwko Związkowi Sowieckiemu” przy okazji nowego Afganistanu np. w Polsce?

Między Leninem a Blumem?

Well, powiada Mitterand, nas to nie zaskoczy. We wspomnianym już wywiadzie dla *Mondu*, który ma, *soit dit en passant*, poważne trudności w dostosowaniu się do roli dziennika prorządowego, Mitterand powiedział, że wie, iż „konflikt ideologiczny między Leninem a Blumem nie ustał” i że „nie można sobie pozwolić na najmniejszy przejaw braku czujności”. Mitterand, jak de Gaulle, uważa, że zneutralizowani udziałem we władzy komunistów powinni pomagać ciągnąć francuski ciężki, inflacyjny i bezrobotny wóz, do którego jednak on, Mitterand, będzie czujnie trzymać cugle.

Filozofia Mitteranda — żeby tu wrócić do artykułu Daniela — zmierza do doprowadzenia do zerwania przez komunistów z „sowiecką perwersją” (domyślam się — ideologiczną i polityczną), do „rozmycia komunistów w szerokiej rzece odpowiedzialności”, inaczej mówiąc, polega na powolnym ale skutecznym samobójstwie francuskiej partii komunistycznej.

Oczywiście, taki plan, powiadają admiratorzy i sykofanci Mitteranda, zakłada pewne ryzyko, ale cechuje go wielkość i odwaga. Oczywiście, przyznają oni bez wahania, komuniści mogą odmówić popełnienie samobójstwa. Ale, przypominają oni dyskretnie, kiedy w 1947 roku komuniści stali się niewygodni, wtedy zostali po prostu wyrzuceni z rządu przez ówczesnego prezydenta i premiera, którzy obaj byli członkami partii socjalistycznej, noszącej wówczas dumnie nazwę Francuskiej Sekcji Międzynarodówki Robotniczej.

Qui vivra, verra... Może warto tylko dodać, że choć polityka jest w ogóle amoralna, a czasem musi być niemoralna, to, jak

przestrzegał Sołżenicyn, nie należy igrzać z totalitaryzmem i nie należy zwalczać kłamstwa kłamstwem.

Makiawelizm Mitteranda jest być może wielki i odważny, ale nie powinien zapominać o przestrodze Henryka Brunshvicka, filozofa i nauczyciela wielu równieśników Mitteranda, a może i jego samego, że w dążeniu do zmiany należy bardzo uważać aby „pojutrze nie zaczęło się przedwczoraj...”.

BRUKSEL CZYK

Pisane 13 sierpnia 1981

REZOLUCJA IZBY REPREZENTANTÓW W SPRAWIE POLSKI

30 bm. Izba Reprezentantów uchwaliła rezolucję Nr 124. Rezolucja przyjęta została 410 głosami przy jednym wstrzymującym się. W Komisji Spraw Zagranicznych projekt tej rezolucji został przyjęty przed miesiącem. Oto tekst rezolucji nr 124:

Wyrażając stanowisko członków Izby, że USA nie mogłyby pozostać obojętne wobec jakiegokolwiek represji wewnętrznej lub agresji zewnętrznej przeciwko narodowi polskiemu i że takie wydarzenia miałyby poważne konsekwencje dla stosunków Wschód-Zachód;

Zważywszy, że Międzynarodowy Pakt Praw Ekonomicznych, Społecznych i Kulturalnych i Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Cywilnych określają powszechnie, że wszystkie narody mają prawo do samookreślenia;

Zważywszy, że jakakolwiek agresja przeciwko Polsce przez siły zewnętrzne byłaby sprzeczna z prawem międzynarodowym i ze zobowiązaniami międzynarodowymi, włącznie z Kartą Narodów Zjednoczonych i Aktem Końcowym KBWE;

Zważywszy, że robotnicy i członkowie rządu polskiego rozwiązują ostatnio pokojowe różnice w drodze negocjacji i że tak być powinno —

- 1) Pochwala pokojowe próby rozwiązywania różnic między robotnikami i członkami rządu w Polsce;
- 2) Z zadowoleniem wita wizytę w USA pierwszego wicepremiera Jagielskiego;
- 3) Uważała by jakakolwiek agresję przeciwko Polsce przez siły wewnętrzne za naruszenie pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego;
- 4) Przyjęłaby z wielkim zaniepokojeniem użycie oficjalnie sankcjonowanych represji przez siły wewnętrzne w Polsce;
- 5) Uważa, że USA nie mogłyby pozostać obojętne wobec jakiegokolwiek agresji zewnętrznej lub represji wewnętrznej przeciwko narodowi Polski i że takie wydarzenia miałyby poważne konsekwencje dla stosunków Wschód-Zachód;
- 6) Popiera prezydenta w wysiłkach na rzecz pracy z innymi narodami dla złagodzenia polskich trudności gospodarczych i dalej **POPIERA DECYZJE RZĄDU USA W SPRAWIE SPRZEDAŻY NADWYŻEK ŻYWNOSCIOWYCH DLA POLSKI PO CENACH KONCESJONOWANYCH (ULGOWYCH) W POLSKIEJ WALUCIE, POD WARUNKIEM, ŻE NIE NASTĄPI ANI AGRESJA ZEWNĘTRZNA, ANI REPRESJA WEWNĘTRZNA;**
- 7) Wyraża nadzieję, że polscy robotnicy i polski rząd będą kontynuować rozwiązywanie różnic w drodze pokojowych negocjacji.

Sprawy i troski

W New York Athletic Club

ROZMOWA Z EDWARDEM G. PISZKIEM

Edward Piszek wyznaczył mi spotkanie w New York Athletic Club, który położony jest na błoniach nowojorskich, to znaczy tuż przy Parku Centralnym.

NYAC jest twierdzą konserwatywnej elegancji. W 35-stopniowy upał lipcowy musiałem się wybrać w południe w marynarce i krawacie, bo bez nie wpuszczają. Ale Edward Piszek, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest *in the news*, aktualnością dnia, ze względu na pomoc Polsce i zaproszenie Lecha Wałęsy, które nie wypaliło, tak że muszę się pogodzić z protokołem panującym w NYAC.

Klub marmurami i boazeriami pozeńił styl przedwojennych Grand Hoteli z monumentalną architekturą publicznych łaźni w Wiedniu.

Czekając w hallu na mojego rozmówcę, który na spotkanie to przyjechał z Filadelfii, oddaję się wspomnieniom, przywołanym dobrze znaną mi scenarią NYAC. Tutaj pięć lat temu po raz ostatni robiłem wywiad dla „Głosu Ameryki” z Jerzym Pawłowskim, którego w 1962 roku poznałem na mistrzostwach świata w Buenos Aires.

Pobył Pawłowski w Nowym Jorku ściągał zawsze powódź najzgrabniejszych Polek „Wielkiego Jabłka”. Na tej samej kanapie, na której wypatruję Edwarda Piszka (hall jest olbrzymi), szermierz zwykł był flirtować ze swymi wielbicelkami. Tutaj — twierdzą wtajemniczeni — ktoś zobaczył i doniósł o spotkaniu Jerzego Pawłowskiego z urzędniczką Narodów Zjednoczonych, Alicją Wesołowską, co kilka lat później, już po procesie mistrza olimpijskiego, podobno przesądziło o jej losie. Została aresztowana w Polsce, kiedy w drodze do Mongolii zatrzymała się, by odwiedzić rodzinę.

Być może teraz, po dezercji Waldemara Mazurkiewicza, szyfranta misji polskiej przy ONZ, dowiemy się czegoś więcej o tej tajemniczej sprawie. (Zniknięcie szyfranta wywołało panikę w ambasadzie. Frelek dostał zawału serca, a jego podwładni w różnych tonacjach pomstowali: Bój się Boga Mazurkiewicz!).

Wracam do spraw aktualnych pod wpływem zegara w hallu, który ostrzega mnie, że Edward Piszek się spóźnia. Znam go jedynie ze słyszenia i z fotografii. W 1975 roku napisałem o nim lekko ironiczny felieton w *Nowym Dzienniku*, nabijając się z tego, iż gotów był wydać kilkadziesiąt tysięcy dolarów na kupno najdroższego czasu w telewizji na wyświetlenie wywiadu Prezydenta Geralda Forda z Jackiem Andersonem, odrzuconego przez kanały ze względu na idiotyczne pytania reportera. Załamywałem ręce, dlaczego tych pieniędzy nie przeznaczony na Polski Instytut Naukowy.

Wiem o wielkich zasługach Edwarda Piszka: o Copernicus Society w Filadelfii, o jego energicznej kampanii przeciw dowcipom o Polakach i uwieńczonych sukcesem staraniach o przekształcenie filadelfijskiego Domu Kościuszki na muzeum narodowe. W Domu Kościuszki czeka na Lecha Wałęsę nadany mu przez Filadelfię Medal Wolności.

Ale nie na tematy polonijne będę rozmawiać z Edwardem Piszkiem. Jest postacią kontrowersyjną i od tej strony będę go szturmować. Nie ukrywam, nie jest popularny w środowisku intelektualistów Polonii nowojorskiej. Ignorują się wzajemnie. Co mają przeciw niemu, nie udało mi się z precyzją ustalić. Więcej kwestia aury, niż czegoś innego. Jedni mają mu za złe, że jest za bardzo biznesowy. Drudzy, że podobno kuma się z władzami w Warszawie. Trzeci, że mało go obchodzi kultura polska (poza Kopernikiem i Kościuszką). Wszyscy jednak jednomyślnie przyznają, że jest człowiekiem dynamicznej przedsiębiorczości, *selfmademan*'em, który idąc przez życie przebojem, rozpychając się łokciami, stworzył w Filadelfii wielkie, wielomilionowe (obroty roczne do 100 milionów dolarów) zakłady przemysłowe dosłownie z niczego. Zaczął je w 1946 roku z 450 dolarami, co nawet biorąc pod uwagę inflację nie było więcej niż obecnie 1.500 dolarów.

Edward Piszek odkrył żyłą złota w mrożonkach z filetów rybnych. Dużo o nich nie mogę powiedzieć. Nigdy nie kosztowałem produktów firmy Mrs. Paul's Kitchen. Wiem, że cieszą się dobrą reputacją i są na półkach w każdym supermarkecie.

W końcu Edward Piszek się zjawia. Wygląda znacznie młodziej niż sobie wyobrażałem. Urodził się w 1916 roku. Za sam wygląd nie dałbym mu więcej niż pięćdziesiąt. Ani jednego siwego włosa, co oczywiście o niczym nie świadczy przy obecnym postępie kosmetyki. Sprężysta sylwetka robi bardzo dobre wrażenie.

Mam tyle wywiadów za sobą, że stałem się fizjonomistą. Najdobitniejszym sygnałem są jego oczy. Jasne, przenikliwe, bystre. Jednocześnie bardzo polskie spojrzenie. Mówi dużo o Edwar-

dzie Piszku. Gwarantuję, że nikt mu nie sprzeda tramwaju ani skrzynki pocztowej. Przebija w nim olbrzymia pewność siebie, charakterystyczna dla ludzi, którzy doszli do wielkiej fortuny siłą własnych płuc. Jest ulepiony z tej samej gliny co Szychowscy, do których należą olbrzymie połacie Misiones w Argentynie. Zresztą korzeniami wywodzą się z tej samej galicyjskiej ziemi.

Pyta mnie, jak długo zamierzam z nim rozmawiać, bo później ma inne *engagement* na mieście przed powrotem do Filadelfii. Proponuję pół godziny. Nie ma nic przeciw temu, bym nagrywał rozmowę na moim mini Sony.

Siadamy na kanapie imienia Pawłowskiego. Miałem przygotowane pytania, ale pod wpływem jego „obrazu”, tej Galicji w szacie amerykańskiej, która mnie fascynuje, bo to też moje strony, improwizuję.

— *Co Pana popędza w życiu?* — pytam parafrazując popularne w Ameryce powiedzenie „*what's makes you run?*”.

Edward Piszek odpowiada metaforą na metaforę. Ma amerykańską łatwość mówienia. Mikrofon mu nie przeszkadza, przeciwnie, pobudza go.

— Często się nad tym zastanawiałem. Pytałem się sam siebie, kim jesteś, kim jesteś... W końcu doszedłem do przekonania, że jestem polskim jabłkiem w amerykańskim sadzie. Moje credo życiowe jest proste. Wierzę w moje polskie korzenie. Życie mnie nauczyło, że jeśli się robi to co ojciec, matka i ksiądz wdraża, to nie można zbłądzić, to najwięcej się dostaje od życia z powrotem. Opłaca się być porządnym człowiekiem.

Powiedział to naturalnie, spontanicznie, nie mam prawa mu nie wierzyć, że tak rzeczywiście myśli. Ale przyznaję, że w druku może brzmieć to za ładnie.

Nawiązuje się interakcja. Edward Piszek wydaje mi się autentyczny, niesklamany. Nawet te od czasu do czasu podejrzliwe błyski w oczach pasują do niego. Rozmowa nasza ma specjalną atmosferę. Dlatego przekazując ją cieniuję: niektóre fragmenty przytoczę dosłownie, niektóre opowiem własnymi słowami.

Edward Piszek mówi o swojej podróży do kraju w roku ubiegłym, która stała się początkiem wielu ważnych rzeczy.

— Byłem tam w lipcu i sierpniu akurat podczas trzytygodniowej powodzi. Nie wiem dlaczego świat nigdy nie został poinformowany o jej niszczycielskich rozmiarach. Miałem dokładne relacje od moich krewnych. Przeczuwałem czym to grozi. Pola pod wodą. Że nie będzie kartofli, pszenicy. W Warszawie zrobiłem wszystko, by zaalarmować władzę. Przynaglałem rząd, by zawiadomił o zbliżającej się tragedii organizacje międzynarodowe, ONZ, FAO. Ale bez większego skutku. Biurokracja parzyła na to z założonymi rękami.

Pada nazwisko Gierka. Wiem, że mój rozmówca często go spotykał i pytam, jaka jest jego opinia o byłym pierwszym sekretarzu. (Szkoda że kanapa nie może wziąć udziału w rozmowie, nasłuchiwała się wiele o tow. Edwardzie).

Odpowiada wymijająco. Cóż, Gierek miał dobre intencje, przez pierwsze pięć lat spełniał swoją rolę raczej dobrze. Prawy człowiek może zrobić dużo dobrego, jak jest u władzy. Ale jak myśli więcej o sobie, niż o swym kraju, wówczas sprawa jest inna.

— *Czy Gierek był prawym człowiekiem?*

— Nie mogę się na ten temat wypowiedzieć... Na pewno ludzie którzy go otaczali dbali jedynie o swoją kieszeń. I to jak... Nie dokończył zdania, tylko się zaśmiał.

Nie bawimy się więcej w aluzje. Strzelam prosto z mostu: *zadali łapówki od Pana?*

— Odpowiem Panu w inny sposób. Przez ostatnie 20 lat, podczas których robiłem wiele pozytywnych rzeczy dla Polski, ani razu nie byłem w stanie kupić ryb na takich samych warunkach (*on equal basis*) jak inni. Bo ja z zasady nie daję łapówek. Co mogę więcej na ten temat powiedzieć...

Brzmiał przekonywująco, ale pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego był przez gierkową biurokrację traktowany — żali się — jak obywatel drugiej klasy.

— *Ale teraz kupuje Pan ryby z polskich połowów?*

— Tak, teraz kupuję, ale dzieje się to na zasadzie kwoty amerykańskiej. Ale ja nie korzystam z przywilejów w Polsce, inni tak, a ja nie.

— *Na pańskim miejscu protestowałbym, wniósłbym zażalenie.*

— Po co, co będę z tego miał. Zwierzęta są u władzy...

Kanapa podskoczyła razem z mną. — *Co Pan chce powiedzieć przez „zwierzęta”?*

— To ci, którzy nie chcą działać w przyzwoity sposób. Oni jeszcze ciągle są u władzy. Takie mają wpływy.

— *Dlaczego nie mówi Pan o tym konsulowi Ciasiovi, z którym jadł Pan dziś lunch?*

— Ja mu mówię, ale on jest wobec tego bezsilny.

— *Ale przecież mamy Odnowę. U władzy jest Jaruzelski...*

— Miejmy nadzieję, że w końcu ich wytrzebi...

— *Panie Edwardzie, czy zdaje Pan sobie sprawę, że porusza Pan sprawy bardzo poważne?*

— Oczywiście, że wiem. Być może w tym tkwią korzenie zła. Powiedzmy, oni dostają łapówkę w wysokości 50 tysięcy dolarów, a ten który posmarował zarabia dwa miliony, ograbiając Polskę. W ten sposób działają złodzieje.

Edward Piszek się zapala. Dotknąłem sprawy, która go jątrzy.

— *Nie rozumiem, dlaczego Pan, przy pańskich stosunkach, nie opowie tego prasie amerykańskiej. Przecież to big story w relacji człowieka który zna rzeczywistość polską, który tam często podróżuje.*

— Pan mówi jak dziennikarz. Byłoby to z mojej strony samobójcze. Wolę czekać spokojnie, aż wybije moja godzina. Może jest blisko i zaczną mnie traktować w inny sposób.

Wiem już prawie wszystko o „zwierzętach” i zmieniam temat.

Mówimy o jego bliskiej przyjaźni ze znanym pisarzem amerykańskim Jamesem Michenerem, autorem wielu *bestseller'ów*. Okazuje się, że popularny literat jest jego sąsiadem pod Filadelfią. Zadeedykował Piszce książkę o sporcie amerykańskim. Michener towarzyszył mu w podróży do Polski, która bardzo przypadła mu do gustu. W wyniku tej podróży był komentatorem pięciu czy sześciu filmów telewizyjnych o Polsce, jej historii, kulturze, sztuce.

Wyciągam Edwarda Piszka na rozmowę o kardynale Filadelfii Królu, z którym jest bardzo blisko. Serwuje mi szlagier, o którym nie było ani słowa w prasie. Kardynał wezwany został przez Ojca Świętego do Rzymu w związku z problemem uzdrowienia finansów watykańskich. Kardynał Król cieszy się opinią świetnego administratora. Dowiaduję się od Piszka, że przed wyjazdem Kardynał starał się o audiencję u prezydenta Reagana w związku z akcją pomocy Polsce. Ronald Reagan przyjął kardynała po jego powrocie z Rzymu. Audiencja zbiegła się z decyzją rządu amerykańskiego udzielenia Polsce kredytu w wysokości 55 milionów dolarów na zakup około 350 tysięcy ton kukurydzy paszowej, która ma być dostarczona jak najszybciej. Kardynał Król (niewątpliwie jest w tym też duża zasługa Edwarda Piszka) uzyskał zgodę prezydenta Reagana na sprzedaż po niskich cenach amerykańskich nadwyżek żywnościowych dla agencji pomocy katolickiej CARE*. Departament Rolnictwa — jak mi powiedział Piszek — posiada zawrotne nadwyżki mleka w proszku, masła, sera i mąki.

Audiencja kardynała Króla u Reagana przywołuje w moim rozmówcy reminiscencję o innej audiencji w Białym Domu, która nie doszła do skutku. Opowiada, jak w 1976 roku kardynał Król starał się, by Gerald Ford przyjął w Białym Domu delegację polskich kardynałów, wśród których znajdował się Karol Wojtyła. Ale ktoś w otoczeniu prezydenta Forda projekt ten storpedował. Edward Piszek podejrzewa, że Henry Kissinger, do którego — nie mam wątpliwości — nie czuje sympatii. I w dwa tygodnie po próżnych staraniach kardynała Króla o audiencję w Białym Domu Gerald Ford podczas wielkiej debaty telewizyjnej z Jimmy Fordem palnął gafę, oświadczając, że Polska jest suwerennym państwem, co prawdopodobnie przekreśliło jego szanse na reelekcję.

Przypomina to oświadczenie Zbigniewa Brzezińskiego w Warszawie, że Polska ma dwóch wybitnych przywódców: kardynała Wyszyńskiego i Edwarda Gierka. Nie mówiąc już o b. prezyden-

* Dyrektor europejskiego oddziału organizacji CARE Peter Reitz wyraził nadzieję, że jego organizacja będzie w stanie zapewnić 600 tys. przesyłek w ciągu najbliższego roku, a także 25 tys. ton żywności dla polskich dzieci. CARE zamierza zorganizować regularną wysyłkę w wysokości 50 tys. przesyłek miesięcznie, ale będzie to zależało od wysokości zebranych funduszy, głównie od osób prywatnych. Pierwsza przesyłka (10 tys. paczek) została rozładowana w Gdańsku. Wartość pomocy wyniesie 14 mln dolarów.

cie Francji, który uważał Gierka za łącznika między Zachodem i Wschodem (uwaga autora, nie p. E. Piszka).

Ileokroć spotyka Geralda Forda, wspomina ten epizod z 1976 roku, i za każdym razem były prezydent powtarza, że nie jest głupim politykiem. Że to nie jego wina, że nie doszło do audycji. Ktoś pokręcił w Białym Domu. Takie rzeczy się zdarzają.

Poruszam sprawę innej wizyty, która nie doszła do skutku. Lecha Wałęsy w Stanach Zjednoczonych. Miał się zjawić u nas w Filadelfii na święto narodowe amerykańskie 4 lipca. Edward Piszek opowiada, że jego przyjaciel, burmistrz tego miasta William Green, pisał swoje okolicznościowe przemówienie przy dźwiękach Poloneza Chopina, dzięki czemu wypadło nadzwyczajnie.

— *Krytykowano Pana w Nowym Jorku. Mieli Panu za złe, że chciał Pan zmonopolizować Wałęsę.*

Edward Piszek zbywa to wzruszeniem ramion. Nic nowego, historia stara jak świat. Polacy mają zawsze zwyczaj krytykowania. Nawet gdyby robił coś przez pięć tysięcy lat, to też by się znaleźli mądrzejsi i skrytykowałiby. Starał się tylko ochronić Wałęsę, bo jak wiadomo dziennikarze zmierzają do tego, by go sprowokować pytaniami, na które on szczerze odpowiada i potem może być kłopot. Jeśli chodzi o pretensje Polonii nowojorskiej: czy dali jakieś pieniądze na sprowadzenie Wałęsy? Nic. Chcą czegoś za nic.

Od spraw doniosłych i „rozgrywkowych” wracamy do realiów: do ryb. Edward Piszek powtarza raz jeszcze, że Warszawa nie robi mu żadnej łaski. Mrs. Paul's Kitchen kupuje ryby łowione na wodach amerykańskich przez polskie trawery. Zgodnie z umową podpisaną przez Warszawę z rządem amerykańskim. Połów wynosi plus minus 100 milionów kilo. Mrs. Paul's Kitchen interesuje się tylko filedami. Nabywa je po cenach światowych.

Jego osobista akcja pomocy rozpoczęła się w październiku ubiegłego roku. Od tamtego czasu podarował Polsce około 8 milionów funtów mrożonek, które idą do szpitali, sierocińców etc.

— *Czy ma jakiś wpływ na dystrybucję, bo ta podobno bardzo szwankuje. Redaktor Kultury nalegał, bym tę sprawę z nim przedyskutował.*

— Żadnego. Zajmuje się tym Ministerstwo Zdrowia.

Na tym skończyła się nasza rozmowa na brzemiennej w poloniki kanapie.

Zdzisław BAU

Kraj

Co nowego w ekologii?

W czerwcowym numerze *Kultury* ukazał się mój artykuł „W strefie śmierci”, dotyczący tragicznej sytuacji środowiska naturalnego w rejonie Krakowa. Tekst ten powstał jeszcze w grudniu ubiegłego roku, warto zatem — choćby w największym skrócie — przedstawić parę ekologicznych aktualności.

W ostatnim półroczu szereg dramatycznych wydarzeń w kraju zepchnęło zagadnienia zagrożenia środowiska na drugi plan, nie zmienia to jednak w niczym faktu, że katastrofa ekologiczna wielu rejonów Polski jest jednym z najbardziej palących problemów. W czerwcu miała miejsce w Trójmieście pierwsza w historii PRL demonstracja uliczna, której uczestnicy protestowali przeciw doprowadzeniu rejonu Zatoki Gdańskiej do ekologicznej tragedii. Charakterystyczne jest to, że prasa krajowa informowała o tym wydarzeniu kilkudziesięciu notatkami, zagubionymi gdzieś na dalszych stronach, natomiast telewizja zachodnoniemiecka nadała w 1. programie reportaży przedstawiający przebieg demonstracji i rozmiary katastrofy ekologicznej w Zatoce Gdańskiej. Należy dodać w tym miejscu, że PRL jest największym trucicielem Bałtyku i łamie wszystkie międzynarodowe konwencje dotyczące ochrony wód morskich.

A co zmieniło się w sytuacji Krakowa w okresie ostatnich 6 miesięcy? Niestety, sprawdzają się moje najbardziej ponure prognozy. Wyjaśniam od razu sprawę Huty Aluminium w Skawinie. Dla prasy krajowej — i to głównie lokalnej — problem zakończyła decyzja ministerstwa o wstrzymaniu produkcji w hucie. W istocie decyzja taka zapadła, tyle że do tej pory nie została wykonana — o czym już nie informuje się opinii publicznej. Zamknięto połowę elektrolizerów, co zmniejszyło emisję fluoru o 40-45 %. Termin ostatecznego wstrzymania produkcji władze przesuwają już trzykrotnie; ostatnio mówi się o jesieni bież. roku, ale prawdopodobnie i ten termin nie zostanie dotrzymany, bo do tej pory nie przedstawiono żadnego projektu rozwiązania problemów socjalnych załogi. Zatem *nihil novi* — powtarza się stary schemat — decyzje są, ale tylko na papierze (moż-

na podać dziesiątki przykładów nie wykonanych decyzji zamknięcia niszczących środowisko zakładów przemysłowych). Nie zrealizowano uchwały sejmowej o dostarczeniu do Krakowa węgla o mniejszej zawartości siarki i popiołu. Podobnie decyzyj o zmianie w centralnej, zabytkowej części miasta systemu ogrzewania z węglowego na gazowe nie może doczekać się wprowadzenia w życie.

Nie każdy wie, że Hutę Katowice budowano rzekomo po to, by wyłączać przestarzałe wielkie piece w innych hutach, m.in. w Hucie im. Lenina. Trafnie przewidywałem, że po skawińskiej hucie ekologiczny protest zwróci się przeciw kolejnemu sowieckiemu darowi z tego samego okresu, tj. właśnie Hucie Lenina, która jest główną przyczyną katastrofy środowiska naturalnego w rejonie Krakowa (około 2/3 emisji gazowej i pyłowej pochodzi właśnie z tego zakładu, który ponadto w ogóle nie posiada końcowej oczyszczalni ścieków). Rada Ochrony Środowiska przy prezydencie miasta od kilku już tygodni obraduje nad przyszłością huty. „Solidarność” i Polski Klub Ekologiczny postulują całkowite wstrzymanie produkcji i zmianę profilu zakładu na przetwórstwo.

Warto odnotować jeszcze jedno bardzo niepokojące zjawisko. W maju, w okresie kilkunastodniowej słonecznej i bezwietrznej pogody wystąpiła w Krakowie niebywale silna koncentracja trujących substancji pochodzenia przemysłowego. Następstwem tego stanu rzeczy był nienotowany wzrost przypadków zachorowań toksykologicznych, osiągający rozmiary epidemii. Podobne zjawisko występuje w tych krajach Trzeciego Świata, gdzie ludność cierpi na niedożywienie; osłabiony organizm traci odporność na działanie toksyn. Prognoza jest zatem bardzo ponura, jeśli weźmiemy pod uwagę narastającą klęskę głodu w Polsce i — z drugiej strony — zapowiadany oficjalnie przez Wydział Ochrony Środowiska Urzędu m. Krakowa dalszy wzrost ilości zanieczyszczeń przemysłowych w najbliższych kilku latach.

W artykule „W strefie śmierci” pominąłem kilka zagadnień niezwyklej wagi, które pozwolę sobie przynajmniej zasygnalizować. Już w tej chwili występuje w Krakowie deficyt wody pitnej, za 5-10 lat konieczne będzie jej racjonowanie. Odrębnym problemem są zagrożenia obecnie w ogóle nie bilansowane — wibracje i ultradźwięki, równie szkodliwe dla ustroju człowieka co dla zespołów zabytkowych. W ubiegłym roku stwierdzono skażenia mykologiczne Krakowa; grzyby pleśniowe występują tu w znacznie większych ilościach niż w innych miastach. Nie skutkują zakazy wykorzystywania pod uprawy terenów skażonych metalami ciężkimi, co powiększa jeszcze najbardziej niebezpieczne dla mieszkańców rejonu krakowskiego zagrożenie promieniotwórcze.

W sytuacji, gdy władze uchylają się przed podjęciem elementarnych i bezwzględnie koniecznych decyzji, bardzo podejrzany wydaje się zamiar ministerstwa pozyskania dla Krakowa ONZ-owskiego programu koegzystencji wielkiego przemysłu z ze-

społem zabytkowym. Ów program miałby być finansowany przez World Health Organisation. Wszelako, aby nie wyłączać w nocy elektrofiltrów, wybudować końcową oczyszczalnię ścieków (Kraków w ogóle jej nie posiada!), dostarczać miastu węgiel lepszej jakości czy wstrzymać ruch pojazdów spalinowych w zabytkowym centrum nie trzeba wcale żebrać o pieniądze na Zachodzie.

Postawiono wreszcie pytanie o losy funduszy napływających z zagranicy na tzw. „odnowę” Krakowa. Grupa partyjnych intelektualistów skierowała do przedjazdowej konferencji PZPR-u list otwarty z żądaniem opublikowania „białej księgi” odnowy Krakowa. Przy obecnym stopniu skażenia renowacja jest zupełnie bezsensowna — obiekty architektoniczne należy odnawiać co 5-6 lat. Istnieje „Społeczny” Komitet Odnowy Krakowa, tyle, że społeczeństwo nie wie, co stało się z funduszami zbieranymi przez ów komitet po całym świecie. Dzięki *Gazecie Krakowskiej* (czyli *Południowej* — reklamowanej już przeze mnie, a której udało się wreszcie powrócić do dawnej nazwy) mieszkańcy Krakowa dowiedzieli się o wieloletnim rabunku z miasta dzieł sztuki: obrazów, rzeźb, zabytków rzemiosła artystycznego, elementów wystroju wnętrz. Część obiektów odkryto w willach usuniętych dygnitarzy, ślady innych nadal giną w pomroce dziejów okresu gierkowskiego. Centralne środki przekazu uparcie milczą o całym skandalu.

Należy zatem wyraźnie podkreślić, że problem ratowania Krakowa nie sprowadza się do braku funduszy. Nie widać wyjścia z błędnego koła tępego technokratycznego myślenia. Fałszywym racjom o dobru produkcji towarzyszy dehumanizacja decyzji gospodarczych; tragiczne rezultaty tego stanu rzeczy w najbardziej jaskrawej postaci obserwujemy w Krakowie. Od 1979 roku władze centralne odmawiają uznania miasta za obszar szczególnego zagrożenia biologicznego (byłby to swoisty „stan wyjątkowy”, przy którym w specyficznych warunkach klimatycznych lokalne władze dla ratowania życia mieszkańców mogłyby wstrzymać produkcję przemysłową i ruch pojazdów spalinowych). Nawet postulat uznania Krakowa za obszar szczególnie chroniony (zaostrowanie norm ekologicznych i dodatkowe fundusze na ochronę środowiska) nie został do tej pory zrealizowany.

Wszelako w punkcie wyjścia do jakichkolwiek zmian w katastrofalnej sytuacji środowiska naturalnego w Polsce powinno znaleźć się dążenie do stworzenia elementarnej świadomości ekologicznej. Polityka informacyjna władz wyraźnie utrudnia społeczeństwu dostrzeżenie rzeczywistych rozmiarów zagrożenia. Brak należytej informacji w centralnych środkach przekazu; prasa lokalna czy niskonakładowe periodyki specjalistyczne mają ograniczony zasięg. Pozytywną rolę w zmianie obecnego stanu rzeczy mogłyby odegrać *Tygodnik Solidarność*, na którego konto można zapisać wiele zasług w ujawnianiu opinii publicznej tematów objętych do niedawna znową milczenia.

Przedstawiony Sejmowi przed kilkoma miesiącami projekt reformy gospodarczej w ogóle nie uwzględnia zagadnień ekolo-

gicznych. Kolejny to dowód ignorowania przez władze zagrożenia dóbr przyrody, dziedzictwa kulturowego i zdrowia narodu.

Ów krótki przegląd ekologiczny nowości nie napawa optymizmem. Po stronie aktywów możemy zapisać chyba tylko jedną pozycję: 25 maja bież. roku po długich obstrukcjach ze strony władz został wreszcie zarejestrowany Polski Klub Ekologiczny, zatem rodzący się ruch ekologiczny działa już *lege artis*. Ale jego celem nie jest — jak mogłoby się wydawać — podejmowanie inicjatyw na rzecz ochrony środowiska naturalnego, to ostatnie jest bowiem w takim stanie, że trzeba je natychmiast ratować. Na ochronę jest już za późno.

Lipiec 1981

Anatol Marek LIPIEC

KONFERENCJA STUDENTÓW W WIEDNIU

„Musicie koniecznie pojechać na Konferencję Studentów w Wiedniu. Jest ona w dużym stopniu zdominowana przez Moskwę, chcieliśmy zrezygnować z udziału, ale Anglicy i Szwajcarzy zwrócili się do nas z propozycją, by po raz ostatni spróbować przejąć inicjatywę. W tej sytuacji będziemy sojusznikami. Na pewno większość Europy Zachodniej będzie po waszej stronie. Gdyby wam nie udzielono głosu — myślę, że solidarnie opuścimy salę”.

(Rozmowa delegacji NZS z zarządem Szwedzkiej Federacji Studentów, połowa marca 1981).

„Jeśli zjawicie się w Wiedniu — będziecie naszymi sojusznikami. Możliwe, że wasz przyjazd przyczyni się do zerwania tej Konferencji, ale jeśli tak się stanie, to znaczy nie ma czego żałować”.

(Rozmowa delegata NZS z prezydium Kongresu Narodowego Związku Studentów Duńskich, 5 kwietnia 1981).

„Chciałbym zobaczyć miny delegatów z krajów waszej 'wspólnoty', gdy jako NZS zabierzecie głos w Wiedniu”.

(Rozmowa delegacji NZS z przedstawicielami Norweskiego Związku Studentów podczas konferencji w Paryżu, 7 czerwca 1981).

Dwa tygodnie przed przewidywanym terminem rozpoczęcia konferencji spotykamy w Paryżu delegację studentów szwajcarskich. Obiecują przekazać do prezydium w Wiedniu nasz wniosek o umożliwienie udziału w obradach. Mają też podać dokładną datę konferencji. Proponują ciekawe roz-

wiązanie: jeśli prezydium odrzuci wniosek, wówczas można wykorzystać statut szwajcarskiego związku studenckiego, który jest na tyle „luźny”, że umożliwia członkostwo w tej organizacji każdemu — również spoza Szwajcarii. Zatem mogliśmy wejść w skład ich delegacji a oni po prostu odstąpią nam swój głos. Od strony formalnej wszystko będzie bez zarzutu.

Przez następne dni opracowujemy tekst, który chcemy wygłosić w Wiedniu. Pierwsza część to geneza niezależnego ruchu studenckiego w latach siedemdziesiątych, powstanie Studenckich Komitetów Solidarności, udział środowisk akademickich w społecznym ruchu rewindykacyjnym. Część druga ma roboczy tytuł „Niezależne Zrzeszenie Studentów — cele i metody działania” i dotyczy posierpniowej batalii o autonomię uczelni, niezależność zrzeszeń itp. Staramy się podkreślić jedność dążeń NZS i „Solidarności”. Jednocześnie chcemy uświadomić delegacjom wschodnioeuropejskim, że domaganie się respektowania podstawowych praw człowieka nie jest równoznaczne z „pełzającą kontrrewolucją”, co od Sierpnia sugeruje prasa w tych krajach.

Blisko 2 tygodnie czekamy na wiadomość o terminie. Nie dzwonią i sami są nieuchwytni. Gdy zbliża się przewidywana data, postanawiamy jechać. Po drodze z radia dowiadujemy się, że Kongres trwa już od trzech dni.

DZIEŃ PIERWSZY

Sztab Kongresu znajduje się w małym hoteliku, na przedmieściu Wiednia. Tu mieszka większość delegatów, a parę metrów dalej, w Akademii Rolniczej odbywają się sesje plenarne. Jest godzina 22-ga. Spotykamy grupę młodych ludzi w smokach i frakach. Poznają wśród nich prezydenta szwedzkiej organizacji studenckiej „S.F.S.” Wessbers’a. Okazuje się, że wszyscy delegaci jadą właśnie na wielki bal na uniwersytecie. Jutro przedostatni dzień konferencji i ostatnia sesja plenarna. Pytamy, jakie mamy szanse na zabranie głosu. „Zrobimy, co będzie w naszej mocy!”. Umawiamy się na drugą w nocy w ich pokoju hotelowym.

O godz. 1.45 czekają na nas delegaci z Anglii, Irlandii, Austrii, Szwecji i Szwajcarii. Ci nie starają się nawet wyjaśnić swojego milczenia, nie mówiąc już o ponowniu wcześniejszych propozycji. Ktoś opowiada, że gdy podczas balu rozeszła się wiadomość o przybyłej delegacji NZS, wszyscy przestali tańczyć, posypały się pytania i domysły, rozhisteryzowane „demoludki” zaimprovizowały gorączkową naradę — przysłowiowy kij w mrowisku (mrowisko spore: blisko dwa tysiące osób).

Przechodzimy do konkretów. Mówią wszyscy po kolei: „Nie ma mowy o naszym uczestnictwie w sesji plenarnej. Decyzje w tej sprawie podejmują tylko „prepcomy” (robocza nazwa spotkań przygotowawczych). Przed tą konferencją odbyły się cztery takie spotkania i w żadnym nie braliście udziału. Podczas sesji decyzje zapadają jednogłośnie (pytanie „no active objections?”, równoznaczne z rodzimym „*liberum veto*”). Domyślcie się, ile *objections* spowoduje wasze wystąpienie?”.

Przeglądamy listę delegacji: 10 z Europy Zachodniej i Skandynawii, 6 z bloku wschodniego. Zasada jednomyślności nie daje nam żadnych szans wystąpienia, lecz mimo to układ sił wygląda korzystnie — w każdym razie umożliwi dyskusję. Pytamy, co o tym sądzą.

„Nie będzie żadnej dyskusji. Wszyscy będą przeciwko wam i to z bardzo prostego powodu: nie po to siedzą tu od trzech dni, żeby na ostatniej sesji ktoś dał Sowietom pretekst do opuszczenia sali”.

Cała rozmowa zaczyna wyglądać groteskowo: obecni gorąco popierają NZS lecz jednocześnie nie chcą zadrażniać stosunków z Komsomołem. Py-

tamy, co dotychczas osiągnęły, czego bronią unikając konfrontacji? „Osiągnęliśmy sporo, sam fakt, że konferencja nie została zerwana w trakcie obrad uważamy za sukces”. Z kolei pyta ktoś z grupy szwedzkiej: „A czego wy spodziewacie się po nas, przedstawicielach organizacji zachodnioeuropejskich?”. Ciśnie się na usta odpowiedź, że po Jałcie i Teheranie to już w zasadzie niczego, ale właśnie w tym momencie przybiega rozgorączkowany Anglik. „Koledzy z SZSP zgodzili się utworzyć wspólnie z wami reprezentację narodową. To dla was jedyna szansa dostania się na salę obrad. Czy chcecie teraz spotkać się z nimi?”.

Jest czwarta rano, za parę godzin rozpoczyna się ostatnie posiedzenie konferencji. Przejechaliśmy tysiąc kilometrów, za nami wielogodzinne przygotowania, tłumaczenie tekstu wystąpienia, zbieranie informacji, których tak wiele mamy do przekazania — i wszystko to ma się zakończyć przed zamkniętymi drzwiami obrad?

Decydujemy się na spotkanie. Anglicy przez cały czas oferują swoje pośrednictwo — wygląda na to, że obawiają się rękoczynów. Po chwili zjawia się czteroosobowa grupa z SZSP. „To prawda, zgadzamy się w wspólną delegację, ale ma to być delegacja SZSP”. Rozwiązanie godne Salomona: oficjalna reprezentacja NZS-u będzie uczestniczyć w obradach pod szyldem oficjalnej reprezentacji SZSP! Dalsza rozmowa nie ma sensu.

DZIEŃ DRUGI

Rano zjawiamy się w hotelowej kawiarni. Bardzo gorąco, mamy na sobie białe koszulki z dużym emblematem „NZS” i biało-czerwoną flagą. Gdy wchodzimy na taras rozmowy milkną, wszystkie spojrzenia kierują się w naszą stronę. W tym momencie zdajemy sobie sprawę, jakie zamieszanie wywołujemy samą swoją obecnością.

Zajmujemy boczny stolik i piszemy wniosek o udzielenie nam głosu. Podchodzi Fritz Passendorfer — przewodniczący prezydium: „Jesteście zaproszeni przez organizatorów. Jedźcie i pijcie do woli — tylko nie siadajcie przy stołach dla delegatów. Po co niektórych rozdrażniać?”.

Kończymy naszą pisaninę. Wniosek motywujemy specyficznymi warunkami w jakich działa NZS, a które uniemożliwiły nam udział w „prepcmach”: podczas pierwszego jeszcze nie istnieliśmy, podczas drugiego byliśmy „nielegalni”, podczas trzeciego organizowaliśmy swój pierwszy kongres krajowy i wybory. Sądźmy jednak, że jeśli mamy na tej konferencji do czynienia z rzeczywistym ruchem studenckim, z konfrontacją struktur i programów — wówczas niecodziennosc i atrakcyjność form działania NZS-u (czego dowody mieliśmy niedawno na konferencji w Paryżu) umożliwi z pewnością ominięcie przeszkód natury formalno-biurokratycznej.

W międzyczasie rozpoczynają się pielgrzymki do naszego stolika. Przychozą, oczywiście, jedynie organizacje zachodnie. „Zrozumcie, w pełni was popieramy, ale jest to bardzo skomplikowana sytuacja, zarówno dla was jak i dla nas. Obiecujecie, że nie wejdziecie na obrady, że nie będzie żadnych nierozważnych kroków. To spowoduje zerwanie całej konferencji!”. Atmosfera staje się nie do wytrzymania. Zjadamy przydzielony obiad przy przydzielonym bocznym stoliku i wychodzimy.

Wracamy około godz. 21-ej. Na uboczu siedzi grupa organizatorów, studentów wiedeńskich. Zapraszają nas do swojego stolika. Po chwili przybiega Passendorfer: „Za chwilę mamy tu mały bankiet pożegnalny dla delegatów. Jesteście oczywiście zaproszeni, myślę jednak, że lepiej będzie jeśli zostanieie tu, z boku — nie wiem po prostu, gdzie można by was usadzić przy wspólnych stołach”. Proponujemy, że może koło delegacji sowieckiej: znamy język, możemy trochę porozmawiać. Na twarzy Fritza pojawia się

grymas, słabo przypominający uśmiech. Przed odejściem gestem wskazuje Austriakom przydzielone im miejsca. Powstaje małe zamieszanie: Austriacy, zajmując się stroną organizacyjną konferencji nie byli wprowadzeni w „afezę z NZS-em” i uznali propozycję Fritza za obraźliwą. Przenieśli do naszego stolika swoje nakrycia i kontynuujemy rozmowę. Parokrotnie ktoś namawia ich do zmiany miejsc — pozostają z nami do końca wieczoru, działając na pozostałych z wolnego świata jak wyrzut sumienia. Pod koniec bankietu następuje pewne rozprężenie, delegaci krążąc po tarasie parokrotnie zahażają o nasz stół, podkreślając swoją sympatię. W trakcie ktoś przynosi odpowiedź na nasze poranne pismo. Oczywiście, odmowa udzielenia głosu a nawet uczestnictwa jako obserwatora, uzasadniona trudnościami natury formalnej. Żadnej odpowiedzi na nasze argumenty, suchy, biurokratyczny język. Dokument kończy zdanie: „Na prośbę NZS, dotyczącą udziału w obradach, udzieliliśmy jasnej odpowiedzi dwa tygodnie temu. Prezydium jest zdziwione waszym ponownym zapytaniem w tej sprawie”. W ten sposób dowiadujemy się, że Szwajcarzy w ogóle coś w naszej sprawie robili.

Trudno w paru zdaniach opisać wyrażenia tych kilku dni spędzonych na marginesie wiedeńskiej konferencji.

Przedsiębiorcza działalność Studenckich Komitetów Solidarności w dużej mierze sprowadzała się do konfrontowania spontanicznych inicjatyw ze sztywnymi, zburokratyzowanymi strukturami — czy to SZSP, czy też władz uczelni. Staraliśmy się zawsze działać metodą faktów dokonanych, w myśl zasady, że jeśli absurdalne przepisy ograniczają możliwość działania, to należy zmieniać te przepisy i że jest to jedyna droga wpływania na otaczającą nas rzeczywistość. Napotykalimy na ogromne trudności w przekazywaniu tej elementarnej prawdy. Gdy np. prowadziliśmy akcję na rzecz zniesienia skandalicznych ograniczeń paszportowych — odpowiadano nam, że co prawda przepisy te istotnie naruszają podstawowe zasady, ale przecież nikt z nich nie korzysta... Nas bulwersowała potencjalna możliwość ich użycia, ale „zniewolone umysły” nie dostrzegały tej subtelności. Sądziłyśmy, że jest to wynik systemu, który trwale deformuje i niszczy wszelką ostrość widzenia i reagowania. Jednak doświadczenia wywiezione z Wiednia potwierdzają raczej inną prawidłowość, a mianowicie że spontaniczna inicjatywa, mająca pełną możliwość realizacji bez żadnych ograniczeń — ulega degeneracji, odcina się od jakichkolwiek bodźców zewnętrznych, tworzy biurokratyczną skorupę, która po pewnym czasie dławi ją samą.

Vladimir Bukowski w swojej nowej książce „Listy rosyjskiego podróżnika” opisuje manifestację w Rzymie: „(...) niezmiennie czerwone szmaty, okrzyki — i wszystko pod hasłem: 'Chcemy takich warunków, jakie mają pielęgniarki w ZSRR!'”, po czym sam komentuje: „(...) W czym problem? Obniżcie pięciokrotnie swoje zarobki, zlikwidujcie związek zawodowy i pracujcie na dwa, trzy etaty równocześnie, żeby związać koniec z końcem”.

Wniosek z konferencji wiedeńskiej nasuwa się jeden: komuś wyjątkowo zależy, by studenckie organizacje zachodnioeuropejskie miały takie same warunki, jak w bloku sowieckim, a że nie ma poczucia humoru więc rady Bukowskiego potraktował dosłownie. Aha, zapomniałem dodać: XIX Europejska Konferencja Studentów w przyszłym roku ma się odbywać w Moskwie...

Andrzej MIETKOWSKI

Sąsiedzi

Błąd Sołżenicyna

Nie upłynęło jeszcze dziesięć lat od deportacji Sołżenicyna (przywiązuje on dużą wagę do słowa „deportacja”, aby odróżnić się od mniej lub więcej dobrowolnych emigrantów rosyjskich) z kraju ojczystego na Zachód. Prawie natychmiast zamknął się w swojej pustelni w Vermont i poświęcił pracy nad nową wielotomową powieścią, rzadko odkładając pióro powieściopisarza dla wystąpienia w roli „proroka” czy „kaznodziei”, jak przywykło go się określać (czasem z respektem a nawet podziwem, przeważnie jednak z odcieniem ironii). Coraz natarczywsze staje się ostatnio wśród rodaków Sołżenicyna i wśród jego krytyków zachodnich pytanie: kimże więc jest, prócz tego że jest niewątpliwie wybitnym pisarzem? Nacjonalistą albo wręcz szowinistą rosyjskim? Reakcjonistą, wrogiem postępu, wdychającym do społeczeństwa preindustrialnego? Fanatycznym popem prawosławnym w przebraniu? Chwałcą caratu? Słowianofilem rozsmakowanym w chłostaniu Zachodu? Rosnącą nagonkę na Sołżenicyna ze strony jego emigracyjnych rodaków, głównie jak on pisarzy, można ewentualnie wytłumaczyć niekontrolowanymi odruchami zawiści, która niekiedy przeradza się w ślepą, histeryczną nienawiść. Małoduszność, polemiczne zaperzenie, a często i zwykłą ignorancję wyczuwa się u jego krytyków zachodnich. Ale wrzawa wokół Sołżenicyna skłania do zastanowienia się, czy i on nie popełnia jakiegoś ważnego błędu w swojej działalności „proroka” i „kaznodziei”.

Ponowna lektura trzech szkiców Sołżenicyna w zbiorowym tomie *Iz-pod głyb*, przygotowanym w Moskwie a wydanym w roku 1974 w Paryżu, uprzytamnia, że jego poglądy i opinie ukształtowały się i dojrzały jeszcze przed deportacją, że na Zachodzie wciąż do nich wraca, że trudno zatem stroić wobec niego miny zgorzonego bądź oburzonego zaskoczenia. Mogą się te poglądy i opinie podobać lub nie, mogą u jednych wywoływać aprobatę a innych pobudzać do dyskusji (czego fragmentarycz-

nym dowodem ma być niniejsza nota), nie wolno jednak wielkiego pisarza, którego książki odegrały rolę ogromną, jeśli nie przełomową, oklejać niedorzecznymi, głupimi, meskineryjnymi etykietkami. Sołżenicyn jest rosyjskim patriotą owładniętym nadzrędną, dominującą nad wszystkim innym myślą o śmiertelnym niebezpieczeństwie komunizmu. Kładzie nacisk na „rewolucję moralną”, „duchowe wyzwolenie” swego narodu, wskazując mu drogę „skruchy i samoograniczenia”. Jest człowiekiem głęboko wierzącym, widzi w powrocie Rosjan do religii jedyny sposób wstrzymania procesu stopniowej transformacji narodu w bezkształtną masę. Wzywa inteligencję, z której sowietyzm zrobił *obrazowanszczinę*, do podjęcia tradycji *żertwiennoj elity*, ofiarnej elity. Kategorycznie odrzuca przypisywanie systemowi sowieckiemu cech fenomenu rosyjskiego, zakorzenionego w przeszłości i w historii Rosji: uważa ten system za owoc zła uniwersalnego, czyli komunizmu, który zniewolił już szereg narodów i gotuje się do zniewolenia reszty świata. Nie dopuszcza różniczenia między stalinizmem i leninizmem: „Nie istniał nigdy żaden stalinizm... Stalin był wyłącznie kontynuatorem, pozbawionym może talentu lecz nadzwyczaj wiernym, *ducha* doktryny leninowskiej”. Nie jest wcale przekonany o bezwzględnej wyższości demokracji parlamentarnej typu zachodniego, w każdym razie odnosi się sceptycznie do możliwości jej wprowadzenia w Rosji uwolnionej od sowietyzmu. Nie jest w zasadzie przeciwny aspiracjom niepodległościowym narodów wchodzących w skład ZSSR, ale zdaje się oczekiwać, że odsuną je chwilowo na dalszy plan w imię wspólnej walki z Arcywrogiem, którym jest ekspansjonizm komunistyczny a nie imperializm rosyjski (Rosjanie — nie przestaje powtarzać przy byle okazji — są ofiarami komunizmu na równi z pozostałymi narodami Związku Sowieckiego).

Nuta po części nowa odzywa się w szkicu o „niebezpieczeństwach wiszących nad Zachodem z powodu nieznamość Rosji”, ogłoszonym rok temu w *Foreign Affairs* i przedrukowanym teraz w tomiku *The Mortal Danger* z replikami kilku „sowietologów” amerykańskich i z końcową repliką Sołżenicyna. Nuta po części nowa, gdyż Sołżenicyn, zorientowawszy się jak bardzo rozpowszechniony jest na Zachodzie „błąd mieszania choroby o charakterze uniwersalnym, jaką jest komunizm, z pierwszym zniewolonym przezeń krajem czyli z Rosją”, w gruncie rzeczy rozwija tylko szerzej swój dawny namiętny protest przeciw tezie o systemie sowieckim jako zjawisku rosyjskim. Ma wiele racji piętnując niebezpieczną tendencyjność tej tezy doprowadzonej do przesady, ale sam również grzeszy przesadą. W swoim gwałtownym ostrzeżeniu przed złem uniwersalnym komunizmu zatracza poczucie miary w wybielaniu, idealizowaniu dawnej Rosji; zapędza się tak daleko, że z jej obrazu wynosimy wrażenie zdrowego w zasadzie organizmu, porażonego nagle rewolucyjno-komunistycznym rakiem, a nie gnijącego już historycznie pnia „tradycji rosyjskiej”, na którym zaszczep sowietyzmu mógł się ostatecznie przyjąć. Niewzruszony w swej patriotycznej wierze w absolutny

brak jakichkolwiek więzów pokrewieństwa między starym reżymem i nowym, Sołżenicyn wyłącza nawet możliwość swoistej podskórnej symbiozy wczorajszego caratu i dzisiejszego totalitaryzmu sowieckiego. Miałoby się ochotę zwrócić mu uwagę na zdanie w książce George'a Kennana *The Marquis de Custine and his Russia in 1839*: „Nawet jeśli musimy przyznać, że książka francuskiego podróżnika nie była najlepszym dziełem o Rosji w roku 1839, pozostaje niepokojący fakt, że była dziełem znakomitym, lepszym od tylu innych, o Rosji Stalina; i zupełnie niezłym dziełem o Rosji Breżniewa i Kosygina”.

Ośłodzona wizja państwa carów obejmuje przypuszczalnie, w umyśle Sołżenicyna, równie ośłodzoną wizję wielonarodowego imperium carów. Być może to wyjaśnia w pewnym stopniu ton ogłoszonego niedawno listu Sołżenicyna do uczestników konferencji na temat stosunków rosyjsko-ukraińskich w Toronto i do Ukraińskiego Instytutu Badawczego w Harvard. I tu pojawia się wezwanie, by narodowych rewindykacji i niepodległościowych dążeń separatystycznych nie stawiać przed naczelnym celem wspólnej walki z uniwersalnym złem komunizmu, by nie przesądzać na emigracji tego co myślą i czują Ukraińcy na rodzinnej ziemi. Ale żaden naród o silnej świadomości narodowej i dobrej pamięci historycznej nie da się przekonać, że najszlachetniejsze cele „uniwersalne” ważniejsze są od doraźnych aspiracji „lokalnych”. I żaden naród, zarówno w ZSSR jak i w pasie „demokracji ludowych”, nie potrafi na Rosjan patrzeć w sposób zalecany przez Sołżenicyna: nie potrafi na nich patrzeć *wyłącznie* jako na podobne innym ofiary komunizmu, nie widząc w nich *również* narodu o tradycjach imperialnych i kolonialnych. Szanować i rozumieć cudzy patriotyzm jest najwyższą próbą własnego. A to Sołżenicyn przecież, opisując w *Archipelagu* więźniów ukraińskich, wziął ich w obronę przed zarzutem nacjonalizmu i nazwał ich po prostu patriotami.

W sowieckiej prasie

Sierpień 1981 — dwunasty miesiąc polskiej rewolucji — rozpoczyna się od kolejnego kryzysu. Składają się nań zarówno stałe elementy tego, co można nazwać „polskim koktajlem” — czwarta na przestrzeni jedenastu lat próba podwyżek i niezgoda na nie społeczeństwa — jak i nowe składniki, charakterystyczne dla minionego roku: narastający nacisk Moskwy i „bratnich socjalistycznych krajów”, manewry wojskowe (tym razem morskie), wizyta marszałka Kulikowa.

Dwanaście miesięcy, które wstrząsnęły Polską nazywam rewolucją, bo po raz pierwszy w dziejach ustroju komunistycznego podjęto próbę zmiany struktury władzy, próbę wyparcia partii z miejsca, które zajmuje w społeczeństwie. A fakt, że rewolucja ta przez całych dwanaście miesięcy pozostała pokojową, bezkrwawą (jedyne taki przypadek w XX wieku) nie zmienia jej charakteru. Stoczniovcy gdańscy, podejmując 14 sierpnia 1980 roku strajk, podjęli najważniejsze chyba pytanie naszej epoki: czy ustrój komunistyczny można zreformować? Wydarzenia ostatnich dwunastu miesięcy dają argumenty i pesymistom, i optymistom. Optymiści mogą się powołać na sukcesy — utworzenie i rejestracja „Solidarności” i „Solidarności Wiejskiej”, większa wolność prasy itd. Pesymiści zaś na to, że struktura władzy pozostała niezmienną.

Położenie w Polsce odpowiada dokładnie leninowskiej definicji sytuacji rewolucyjnej. Jeden z bohaterów Zinowiewa tak ją parafrazuje: sytuacja rewolucyjna to taka, kiedy góra nie może a doły nie chcą. Rok polskiej rewolucji dowiódł, że Moskwa nie godzi się na zmiany w Polsce, których nie uważa jednak za rewolucję, a za perfidny spisek wywiadu amerykańskiego, syjonistów i rewizjonistów.

Jednego i tego samego dnia (6. 8. 1981) *Prawda* podaje równoległe dwa komunikaty o strajkach. Pierwszy: „Kolejne demonstacje i strajki... Praktyka, która doprowadzi do dalszego osłabienia gospodarki i wzrostu naprężenia politycznego w kraju”. Drugi: „Administracja... całym ciężarem swego aparatu karnosądowego zwróciła się przeciw strajkującym związkom zawodowym... starając się zdławić wystąpienia ludu pracującego i zmusić strajkujących do kapitulacji”. Nie trzeba wyjaśniać, że pierwsza wiadomość nosi tytuł „Położenie w Polsce”, a druga dotyczy strajku amerykańskich kontrolerów ruchu lotniczego.

Cel strategiczny Moskwy pozostaje przez całe dwanaście miesięcy ten sam: zaprowadzić w Polsce porządek. Taktyczne wahania polityki Kremla wynikły z tego, że Moskwa nie zdawała sobie sprawy z zasięgu wydarzeń i pokładała pewne nadzieje w polskim kierownictwie, w oddanych sobie ludziach w jego łonie. Pierwszym wariantem repliki na polskie wydarzenia była inwazja typu czechosłowackiego. Nie doszło do niej — wbrew oczekiwaniom całego świata — z kilku powodów. Przede wszystkim z powodów technicznych: kiedy wodzowie sowieccy pojęli wreszcie, że PZPR nie jest w stanie samodzielnie zaprowadzić porządku w Polsce, interwencja na wzór czeski nie była już możliwa. Moskwa miała już pewność, że Polacy stawią opór, zatem interwencja będzie musiała przekształcić się w okupację niepokornego kraju. Zdecydowano najpierw wypróbować inne sposoby „normalizacji”. Poza tym nieinterwencja Moskwy przyjęta została na Zachodzie z głębokim zadowoleniem jako dowód „liberalizacji”. Podobnie jak okrutny ale selektywny terror wobec „inaczej myślących” interpretowany jest na Zachodzie jako dowód

zmiany ustroju sowieckiego, który zrezygnował z masowego terroru typu stalinowskiego — pośrednia interwencja Moskwy w Polsce spotkała się z powszechną aprobatą.

Pośrednia interwencja przybiera najróżniejsze formy nacisku od listów z dyrektywami do manewrów wojskowych, od spisów wrogów do spisów przyjaciół. Wiadomo doskonale, że w sowieckim języku nie ma słów neutralnych. Każde słowo nie tylko określa przedmiot lub pojęcie, ale zawiera też ładunek ideologiczny — może być dobre albo złe, „nasze” albo wrogie. Na przykład słowo „alians” jest złe. Z zasady towarzyszy mu przymiotnik „antykomunistyczny”. A słowo „przymierze” jest dobre, na przykład „bojowe przymierze internacjonalistów”. Od niedawna bardzo dobrym słowem stało się „forum”. Używa się go z zasady w zwrotach takich jak „forum prawdziwych komunistów”. Tytułem bratniej pomocy słowo to przekazano „prawdziwym” polskim komunistom.

W arsenale środków działania pośredniego najważniejsza jest broń ekonomiczna. Nie wiadomo dokładnie, czy moskiewski przemysłowiec Riabuszinskij naprawdę wyraził latem 1917 roku nadzieję, że „koścista ręka głodu” przemówi do rozumu rosyjskim robotnikom, jednak wyrażenie to weszło do skarbicy propagandy sowieckiej. Na początku lat trzydziestych Stalin użył „kościstej ręki głodu”, żeby zdławić opór sowieckiego chłopstwa przeciw kolektywizacji. Sam Stalin liczbę ofiar głodu lat 1930-1933 oceniał na 10 milionów.

W ciągu roku zaszyły w Polsce poważne zmiany, na Związek Sowiecki jednak wpływu one nie miały. Podobnie wojna z Afganistanem nie odbija się na życiu wewnątrz ZSSR. Wydarzenia ostatniego roku są świadectwem potęgi, wszechpotęgi ideologii, sprawującej niepodzielną władzę nad rozumem. Zachodni sowietolodzy i działacze państwowi pocieszają się tym, że „w ZSSR nikt w sowiecką ideologię nie wierzy”. Powołują się przy tym na entuzjizm lat dwudziestych albo trzydziestych i obojętność połączoną z cynizmem lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Różnica w stosunku do ideologii rzeczywiście istnieje, ale nie wpływa na to, co najważniejsze: sowiecki człowiek reaguje na sygnały, które wysyła Najwyższa Instancja, i reaguje na nie szybko i właściwie.

Teza sowieckiej propagandy, że w Afganistanie Amerykano-Chińsko-syjonisci prowadzą „nie wypowiedzianą wojnę” nie budzi w większości sowieckich obywateli wątpliwości. Stanowisko rządu sowieckiego, domagającego się od Zachodu „niezawodnych gwarancji”, że „nie wznowi interwencji” i z gwarancji tych robi warunek rozpoczęcia rozmów o „obecności ograniczonego kontyngentu wojskowego ZSSR na terytorium afgańskim” (*Prawda* z 5. 8. 1981) nie budzi prawie żadnych zastrzeżeń. Wojna, którą 85 tysięcy żołnierzy sowieckich prowadzi przeciwko 18 milionom Afgańczyków, jest dla sowieckich obywateli sprawą zapomnianą.

Polska leży bliżej Moskwy niż Kabul. Oprócz tego istnieje wieloletnia hipoteka stosunków rosyjsko-polskich. I rzeczywiście — wydarzenia w Polsce budzą zainteresowanie. W kolejnym samizdatowym *Biuletynie Informacyjnym* SMOT-u (Wolny związek zawodowy w ZSSR, zażarcie prześladowany przez władze) opublikowano szereg listów, petycji i apeli pod wspólnym tytułem „Rosja popiera Polskę”. Widać z nich, że są w ZSSR ludzie, dla których sens wydarzeń w Polsce jest jasny. W artykule podpisanym Iwan Iwanskij czytamy: „Pełny aplauz dla Polaków: Zuchy! Popieramy Was. Jesteśmy z Wami, bracia. A jeśli poleje się krew, zrobimy wszystko, żeby Wam pomóc. Jeśli będzie trzeba, staniami razem z Wami na barykadach. Pod wspólnym hasłem — za wolność, za chleb!”. Feliks Sierbrow pisał pod adresem przywódców w styczniu 1981 roku: „Odkąd Polacy wywalczyli sobie prawo do wolnych związków zawodowych, zgrzytacie zębami ze złości, że nie jest w waszej mocy rozerwać ich na strzępy, zdusić ich gąsienicami waszych czołgów”. Pod koniec marca przeprowadzono w Moskwie rewizję w związku z rozprzeżeniem apelu do polskich robotników, podpisanego przez Rosyjski Komitet Pomocy Polskim Robotnikom (RKPPR). Apel głosi: „Tak jak 63 lata temu rewolucja w Rosji dała impuls światowemu ruchowi robotniczemu, tak wasz ruch musi stanowić potężny bodziec do walki o demokrację krajów „socjalistycznych”... Dołożymy wszelkich starań, aby ruch wasz zyskał szerokie poparcie w ZSSR”.

„Solidarność” nie cieszy się jednak szerokim poparciem w ZSSR. Jest to przede wszystkim skutek bezustannych bezlitosnych represji. W lipcu na przykład zakończyła się rozprawa przeciwko członkom Roboczej Komisji do Badań nad Psychiatrią w ZSSR. Utworzona w 1977 roku jako filia Grupy Helsińskiej, Robocza Komisja zarejestrowała liczne przypadki stosowania psychiatrii dla celów politycznych. W lipcu sądzono dwóch ostatnich członków Komisji: Feliksa Sierbrowa skazano na 4 lata obozu o obostrzonym reżymie i 5 lat zesłania, a Irinę Griwniną na 5 lat zesłania. Wyaresztowano prawie wszystkich członków Grupy Helsińskiej. Cybernetyk Wiktor Brajłowski, który organizował u siebie w mieszkaniu seminaria naukowe z udziałem matematyków i fizyków żydowskich, zwolnionych z pracy po zgłoszeniu się na wyjazd do Izraela, skazany został na 5 lat zesłania.

Artykuł 70 Kodeksu Karnego, przewidujący „pozbawienie wolności na okres od trzech do dziesięciu lat z zesłaniem na okres od dwóch do pięciu lat” za „agitację albo propagandę mającą na celu podkopywanie lub osłabianie władzy sowieckiej” stosowany jest z dawno nie widzianą szczodrością.

Jednak nie tylko represje powodują, że zrozumienie dla sensu polskich wydarzeń jest tak małe. „Interpretacje” propagandy sowieckiej idą w dwóch kierunkach. Po pierwsze: wydarzenia w Polsce są wynikiem antysowieckiej polityki USA; to Amerykanie zorganizowali i kierują wszystkim, co zachodzi w Polsce.

W ostatnich miesiącach propagandyści sowieccy łatwo i szybko przekonali obywateli sowieckich, że wojna atomowa jest tuż-tuż. Chyba tylko na początku lat pięćdziesiątych, kiedy Stalin organizował światowy ruch przeciw amerykańskiej bombie atomowej, istniał w Związku sowieckim podobny strach przed wojną. Wojenną histerię wzmagają informacje o potężnym ruchu pacyfistycznym w niektórych krajach Europy Zachodniej. sowieckie gazety poświęciły dużo miejsca „Marszowi pokoju 81”, który wyruszył 22 czerwca z Kopenhagi i skończył się 6 lipca w Paryżu. Pochód ten, który w Zachodniej Europie nie wzbudził szczególnego zainteresowania, a do Moskwy rzecz jasna nie został wpuszczony (organizatorzy prosili, żeby im pozwolono wkroczyć do stolicy pokoju i socjalizmu), sam Breżniew zaszczylił specjalnym pozdrowieniem. Poparły go też partie komunistyczne. Hasło „Marszu pokoju 81” — pokojowi i bezpieczeństwu Europy zagrażają Stany Zjednoczone — nie mogło nie zyskać poparcia Moskwy.

Wydarzenia w Polsce analizowane są w prasie sowieckiej w ramach kampanii strachu przed wojną: nieporządki w Polsce przybliżają wojnę. *Izwestia* z 8. 8. 1981 zarzucają „Solidarność”, że jej działania pogrążają Polskę w chaos i anarchię. *Prawda* z 9. 8. 1981 oskarża „Solidarność” i jej „grupy ekstremistyczne” o pogrążanie Polski w anarchię. Komentator Borys Awerczenko zapewnia polskich robotników, że w razie potrzeby mogą liczyć na wielu wiernych przyjaciół. Polska, zapewnia komentator *Prawdy*, pozostanie nieodłączną częścią obozu socjalistycznego. Grożący temu obozowi wróg grozi ludzkości zagładą.

Drugi kierunek „interpretacji” polskich wydarzeń jest może jeszcze bardziej skuteczny. Przede wszystkim dlatego, że operuje on zawołanymi, ale dla wszystkich czytelnymi aluzjami. Sprawa jest prosta: Polacy opływają w dostatek, a chcą żyć jeszcze lepiej. Niezależne moskiewskie pismo *Poiski*, rozgromione przez władze (większość redaktorów aresztowano i skazano, część zmuszono do emigracji) opublikowało ciekawy dokument — „Dziennik okupanta”. Jest to zapis codziennych wydarzeń, jakie notował w sierpniu 1968 roku sowiecki żołnierz wysłany do Czechosłowacji. Notatki zaczynają się 20 sierpnia, kiedy żołnierzom odczytują rozkaz: „Towarzysze czołgiści! Siły antykomunistyczne i kontrrewolucyjne chcą dokonać buntu w Czechosłowacji i otworzyć granicę z RFN! Naszym zadaniem jest zdławić bunt...”. Młodzi żołnierze armii wyzwoleniczej z osłupieniem stwierdzają, że ludność Czechosłowacji uważa ich za okupantów. Nie mogą pojąć, dlaczego Czesi odnoszą się do nich wrogo. Stopniowo zaczynają się domyślać. Zastępca naczelnika do zadań politycznych oświadcza 11 października: „W związku z zaostreniem sytuacji międzynarodowej i knowaniami reakcji wojska sowieckie na prośbę narodu czeskiego wprowadzono do Czechosłowacji na okres 20 lat”. Czołgiści wiedzą już, że w rzeczywistości naród czeski prosi, żeby ich jak najprędzej zabrano z jego ziemi. Mimo

to prawdziwy powód wydarzeń pozostaje dla nich niejasny, bo są głęboko przekonani, że, jak im w tajemnicy objaśnia mądry młodszy lejtnant, „wszystkie socjalistyczne republiki drogo nas kosztują, a pożytku z nich żadnego... A my przecież pozwalamy im żyć znacznie lepiej niż sami żyjemy. Za tę samą robotę co my dostają oni wszyscy trzy razy więcej...”.

Autor dziennika dostaje z domu list, w którym brat mu pisze: „Uważam, że tym Czechom zwyczajnie przewróciło się w głowie od żarcia. Dowalcie im jak należy...”.

Niezmiernie ciężkie położenie gospodarze Związku Sowieckiego, niedostatek produktów spożywczych i przemysłowych i niezdolność polepszenia sytuacji bardzo często wywołuje wrogość wobec tych, którym się „przewróciło w głowie od dobrego życia”. Opór polskiego społeczeństwa przeciw obcięciu racji mięsa do 3 kg na miesiąc popierają tylko nieliczni „dysydenci”; u wszystkich pozostałych, którzy wiedzą, że w większości sowieckich miast kartki na mięso opiewają na 800 g miesięcznie budzi on tylko żość.

Chroniczna bieda, do której ludzie przywykli, czyniąc z niej w ten sposób nieodłączny element „realnego socjalizmu”, staje się czynnikiem stabilności. Przy założeniu, że każdy głos zadający pytanie zostanie natychmiast zduszony.

Ponad pięćdziesiąt lat temu Jewgienij Zamiatin powiedział, że współczesna literatura powinna obowiązkowo łączyć fantastykę z życiem. Znakomity pisarz nie przypuszczał wtedy, że najlepszym przykładem współczesnej literatury staną się sowieckie gazety. Dzień w dzień można na stronicach *Prawdy* znaleźć fakty, których by Aleksander Zinowiew nie umieścił w swych książkach, bojąc się, że będą wyglądały zbyt surrealistycznie. 16 kwietnia 1981 *Prawda* opublikowała list robotnika huty szkła i opatrzyła go przejmującym tytułem „Dlaczego mamy deficyt w produkcji szklanek?”. Okazuje się, że w kraju „dojrzałego socjalizmu”, domagającym się prawa do dysponowania takim samym arsenałem wszelkiej broni jak USA a w rzeczywistości nieco wyprzedzającym Amerykanów, brak w sprzedaży szklanek. Jest to bardzo ważne nie tylko dlatego, że Rosjanie lubią pić herbatę w szklankach, ale też dlatego, że od dawna już i wódkę piją szklankami. Minęły 4 miesiące i 5 sierpnia 1981 *Prawda* znowu postawiła to dramatyczne pytanie: „Dlaczego mamy deficyt w produkcji szklanek?”. Odpowiedź centralnego organu KC KPZS uspokoiła zrozpaczone naród: „Wydano polecenie, potwierdzające podjęcie kroków celem usunięcia niedostatków”.

Wiadomo doskonale, że już dziesięć tysięcy razy polecano zwiększyć produkcję szklanek. Podobne środki stosowano nie tylko do szklanek. Pod koniec zeszłego roku utworzono na przykład ministerstwo ziemiopłodów i owoców. W pierwszym kwartale 1981 roku sprzedaż owoców spadła o 10%, a kartofli — o 19%. Należy przy tym pamiętać, że są to cyfry oficjalne. Nie zrealizowano także planu produkcji przemysłowej — wzrost produkcji wyniósł zamiast planowanych 4,1% — 3,4%.

Brak jakiegokolwiek chęci reform wyjaśnia się dwiema przyczynami. Po pierwsze tym, że reformy są niemożliwe: każda reforma zagraża podstawom ustroju. Że nie ma wyjścia z entropii dowodzi najlepiej zasada, że każda teoretyczna praca w dziedzinie nauk ścisłych (nie związana oczywiście z jakimkolwiek wojskowymi gałęziami przemysłu) musi zostać „zweryfikowana” w pierwszym oddziale instytutu naukowo-badawczego (w każdym instytucie jest taki oddział) i zostać opatrzona pieczęcią: „Praca nie zawiera niczego nowego”. Dopiero z taką oceną może iść do druku.

Sowiecki ustrój nie może i nie chce się zmieniać, bowiem bezwład jest jednym z warunków jego stabilności. Drugą zaś przyczyną jego bezwładności jest fakt, że Zachód zaopatruje go we wszystko, co mu jest potrzebne dla rozwoju jedynej dziedziny, w której kraj „realnego socjalizmu” uważa postęp za niezbędny: zbrojenia.

W 1973 roku Aleksander Sołżenicyn pisał do przywódców ZSSR: „55 lat nowego ustroju i 40 lat sławetnego systemu kołchozów, i oto zmuszeni jesteśmy importować 20 mln ton ziarna”. Minęło dalszych 8 lat i „zmuszeni jesteśmy” importować jeszcze więcej ziarna. Które nam ochoczo sprzedają. Tak jak sprzedają masło. W czerwcu przedstawiciel Białego Domu oświadczył stanowczo, że nie sprzeda Związkowi Sowieckiemu masła. Niech jedzą amerykański suchy chleb. Jednak miesiąc później znalazł się sposób na oszukanie samego siebie: zdecydowano się sprzedać masło Nowej Zelandii, która sprzedaje je Związkowi Sowieckiemu.

Sprzedają masło. Sprzedają i armaty. Na kredyt zresztą. Zachodnioeuropejskie kraje w zasadzie zgodziły się udzielić Moskwie 10 mld dolarów kredytu na budowę gazociągu z Syberii do Europy Zachodniej, do RFN, Francji, Włoch, Holandii i Belgii. Obliczono, że w latach dziewięćdziesiątych 40% gazu jaki zużywa RFN będzie pochodzić ze Związku Sowieckiego. Amerykanie protestują i ostrzegają Europę Zachodnią, że uzależnienie się od sowieckiego gazu jest niebezpieczne. Równocześnie 4 sierpnia rząd USA zezwolił amerykańskiej firmie na sprzedaż do Związku Sowieckiego urządzeń do układania rurociągów gazowych. Zezwolenie to zawiera wprawdzie klauzulę, że urządzenia te nie mogą być wykorzystane dla budowy gazociągu syberyjskiego. Myślę jednak, że sami Amerykanie rozumieją, ile taka klauzula jest warta.

Ubiegłe dziesięciolecie przyszedł historycy określać jako okres, w którym obróciła się karta w dziejach zachodniej cywilizacji: ustrój sowiecki przestał być wrogiem, rywalem, wierzycielem, a stał się partnerem ustroju kapitalistycznego.

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

Katolicka organizacja *PAX-Christi* we Frankfurcie nad Menem zgłosiła gotowość pomocy w przypadkach nagłej potrzeby dostarczenia do Polski lekarstw. Pomoc w dostarczaniu środków leczniczych zadeklarował również zachodniemiecki koncern chemiczny *Hoechst AG*. W przypadku pilnej potrzeby firma dostarczać będzie lekarstwa bezpłatnie; pokryje także koszty transportu lotniczego. Rzecznik prasowy *Czerwonego Krzyża*, Alfred Hermann, poinformował o dalszych planowanych dostawach lekarstw do Polski o ogólnej wartości 4 mln marek. Organizacja ta wysłała dotychczas do Polski 5 transportów lotniczych lekarstw o łącznej wartości 700 tys. marek. Zachodniemiecki *Czerwony Krzyż* wysłał ponadto do PRL 533 tony odżywek dla dzieci. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung*: Od początku br. RFN dostarczyła Polsce 20 tys. ton masła, 5 tys. ton cukru, 5 tys. ton kasz i tyle samo gryssu. Do końca września br. RFN dostarczy dodatkowo 12 tys. ton wieprzowiny, 4 tys. ton wołowiny; zawarto także umowę na dostawę dalszych 2 tys. ton masła; trwają rokowania w sprawie sprzedaży do Polski 25 tys. ton cukru, 10 tys. ton sera twardego oraz 10 tys. ton żyta. ■ W piśmie *Hefte für Demokratie und Sozialismus* ukazały się obszerne wywiady z Anną Walentynowicz i działaczem krakowskiego NZS-u Bronisławem Wildsteinem. ■ Tygodnik *Stern* wyraźnie sugeruje, że *Poczta Polska* z polecenia władz „celowo utrudnia dopływ żywności, co służyć ma określonym celom politycznym”... Od 1 stycznia do 31 marca br. przyszło z RFN 80 wagonów z przesyłkami, a w kwietniu było tych wagonów 75. Duża część przesyłek pocztowych nie dotarła dotąd do adresatów. Według bardzo ostrożnych szacunków z RFN nadejdzie w tym roku 1,5 mln paczek (z USA — 1 mln). *Ministerstwo Łączności* w Warszawie tłumaczy: jesteśmy „przysypani lawiną”; brakuje nam powierzchni magazynowych, transportu, rąk do pracy (sic!); brakuje wagonów pocztowych, odpowiednio przystosowanych bocznic i samochodów. Spora część taboru stoi z braku części zamiennych i ogumienia. ■ W wydawnictwie *Suhrkamp* (Frankfurt nad Menem) wyszła nowa książka Karla Dedeciusa — *Zur Literatur und Kultur Polens (O polskiej kulturze i literaturze)*. Zawarte są w niej eseje o twórczości Witolda Wirpsy, Witolda Gombrowicza, Witkacego, Władysława Reymonta, Jarosława Iwaszkiewicza, Leona Kruczkowskiego i Karola Wojtyły. Prócz tego w tomie znajdują się rozważania o teorii przekładu, o polskim humorze literackim i o recepcji polskiej książki w Niemczech Zachodnich. Książkę zamykają dwa wywiady autora. ■ W Berlinie Zachodnim otwarto galerię noszącą nazwę *Kunst aus Polen (Sztuka Polska)*. Galeria prowadzona jest przez Teresę i Alexandra Scharsich. Wystawiono już prace prof. Andrzeja Pietscha, Jacka Gaja, Włodzimierza Kotkowskiego, Tadeusza Jackowskiego, Zofii Wolskiej, Krzysztofa Skórczewskiego i Jacka Waltosia. Sporym zainteresowaniem cieszył się wieczór autorski Stanisława Lema. ■ Na zaproszenie ks. bpa Alfonsa Nossola (Opole) przebywał z wizytą w Polsce ks. bp dr Reinhard Lettmann z Münster. ■ *Polservice* złożył ofertę w dyrekcji *Stoczni im. Komuny Paryskiej* w Gdyni dla pracowników, którzy zamierzają czasowo podjąć pracę w RFN; warunki są o wiele gorsze od przeciętnych w RFN; 56 godzin tygodniowo, pensja: 1.500 marek, z czego 700 marek idzie na konto zakładu pracy w Gdyni. Kontrakt opiewa na rok. ■ W miesięczniku *Osteuropa* (nr 7/81) ukazała się źródłowa praca Anny Martens pt. *Solidariität — zum Charakter der neuen*

Gewerkschaftsbewegung („Solidarność“ — charakter nowego ruchu związkowego). ■ W I-szym programie zachodniemieckiej TV nadano reportaż z Gdańska, w którym przedstawiono rozmiary katastrofy ekologicznej. Pokazano również zdjęcia z demonstracji przeciwko systematycznemu zanieczyszczeniu wód Zatoki Gdańskiej i Bałtyku; na odnowienie wód w tym rejonie, przy obecnym stanie zanieczyszczenia, potrzeba będzie przynajmniej 30 lat. ■ Krytyk bońskiego dziennika *Die Welt*, Albin Hänseroth, negatywnie ocenił Henryka Tomaszewskiego, któremu opera w Bonn powierzyła choreografię *Orfeusza i Eurydyki* Christopa Glucka. Recenzent niezadowolony jest również z Jana Krenza, dyrygenta, i kostiumów pani Zofii de Ines-Lewczuk. Tomaszewski — ironizuje krytyk — pomógł widocznym operę Glucka z Jacquesa Offenbacha *Orfeuszem w piekle*. ■ *Polska Partia Socjalistyczna w Niemczech* wydała pierwszy numer swojego organu *Przemiany* w niemieckiej wersji językowej (*Die Wende*). ■ *Galeria DAAD* w Berlinie Zachodnim zaprosiła Wiktora Woroszyłskiego na wieczór autorski. Autor *Snów pod śniegiem* czytał po niemiecku wiersze i prozę w przekładach Karla Dedeciusa, Marii Kureckiej i Klausa Staemmlera. Słowo wprowadzające wygłosił Witold Wirpsa. ■ Na łamach organu wschodniemieckiej organizacji młodzieżowej *FDJ — Junge Welt* zamieszczono artykuł zachęcający młodzież do wstępowania w szeregi służby bezpieczeństwa (*SSD*): „Do pracy w aparacie bezpieczeństwa przyjmuje się jedynie młodych idealistów o nieskazitelnym charakterze i wysokich walorach etycznych-moralnych”. Komentarz w polskim programie *Radio Free Europe*: „Czyżby pomylili aparat bezpieczeństwa z seminarium duchowym?” ■ Jak podał *Polorbis* w Kolonii, w bież. roku ok. 70 % zachodniemieckich turystów, którzy dotąd spędzali urlop w Polsce, zrezygnuje z wyjazdu do PRL. W ubiegłym roku Polskę odwiedziło ok. 300 tys. obywateli RFN. ■ W ramach akcji pomocy zainicjowanej wspólnie przez zachodniobliński *Caritas*, *Radę Diecezjalną Katolików Biskupstwa Berlina*, *Maltańską Szkołę Pomocniczą* i *Parafię im. Bł. O. Maksymiliana Kolbe* w Berlinie-Spandau dostarczono do Polski w sumie 41,5 ton podstawowych artykułów spożywczych. ■ Pismo *Plus*, będące ilustrowanym dodatkiem do *Die Weltwoche* (Zürich), *Handelsblatt* (Düsseldorf) i *Die Welt* (Bonn) zamieściło opatrzone fotografiami reportaż, poświęcony działalności wydawniczej *Institutu Literackiego*, pracy redakcji i roli *Kultury*. Autor reportażu, Władimir Strumiński, napisał w podtytule: „Najlepsze polskie pismo wychodzi w Paryżu”. ■ W *Galerii Henning* w Hamburgu wystawiono grafiki prof. Leszka Rózgi z Łodzi. W tym samym miesiącu z inicjatywy *Towarzystwa Niemiecko-Polskiego* otwarto wystawę prac polskiego malarza Władysława Jackiewicza, wykładowcy i rektora *Akademii Sztuk Pięknych* w Gdańsku. ■ Na *Międzynarodowym Konkursie Kompozytorów* w Mannheim dwie pierwsze nagrody zdobyły Polki: Elżbieta Sikora z Gdańska (muzyka chóralna) i Lidia Zielińska (muzyka kameralna); nagrody wynoszą 3 tys. marek każda. ■ Polskojęzyczne pismo *Profil* (finansowane od lat przez rząd RFN, ale ciągle jeszcze nie posiadające debitu w PRL!) zamieściło wywiad z burmistrzem Bremy, Hansem Koschnickiem: „Zależy nam przede wszystkim na tym, żeby nasiliła się wymiana młodzieżowa. Celem ułatwienia jej korzystamy, jako że jest to wymiana bezgotówkowa, ze schronisk młodzieżowych”. ■ Największy w RFN związek lekarzy — *Hartmannbund* — skierował apel do wszystkich lekarzy w Niemczech Zachodnich o dobrowolne opodatkowanie się w wysokości 30 marek na pomoc dla Polski (na zakup paczek w ramach akcji *Care*); apel wzywa ponadto lekarzy do gromadzenia leków i sprzętu medycznego. ■ Z okazji wystawy poświęconej twórczości Czesława Miłosza, którą otwarto w *Herder-Bibliothek* w Siegen k/Kolonii, wydano broszurę pt. *Die Heimat von Czesław Miłosz (Ojczyzna Czesława Miłosza)*, pióra Pivlasa Reklaitisa. ■ Dużym powodzeniem cieszyły się występy *Chóru Gminy Ewangelickiej z Wisły* podczas *Festiwalu*

Muzycznego w Pegnitz k/Bayreuth (Bawaria). ■ *Życie Warszawy*: „Często polskimi obywatelom podróżującym tranzytem przez NRD władze celne zatrzymują czasopisma ilustrowane i książki, płyty gramofonowe i taśmy magnetofonowe, lekarstwa, zegarki elektroniczne itp.” ■ W czerwcu br. przybyło do RFN 3.889 przesiedleńców z Polski (282 ze Związku Sowieckiego). *Auswärtiges Amt* przewiduje, że do końca br. opuści PRL ok. 40 tys. etnicznych Niemców. ■ W kolońskim wydawnictwie *Prometh Verlag* ukazała się zbiorowa praca pt. *Aber eines Tages war das nicht mehr so (Pewnego dnia stało się inaczej)*. Książka pod redakcją pani Tity Gaehme zawiera wypowiedzi i artykuły (zaczernięte fragmentarycznie z polskiej prasy związkowej i niezależnych publikacji): Lecha Wałęsy, Bogdana Borusewicza, Władysława Suleckiego, Anny Walentynowicz, Andrzeja Gwiazdy i przedwznowione komentarze kilku lewackich publicystów niemieckich, m.in. dominikanina, Hansa-Hermann Hückinga, odznaczonego przed 10 laty przez Bolesława Piaseckiego za współpracę z *PAX-em*, później współpracownika komunistycznego pisma *Begegnung mit Polen*. W publikacji zamieszczono szereg fotografii ściągniętych z wielkich ilustrowanych magazynów zachodnich bez podania źródła. Warto sprawdzić, czy rzeczywiście Lech Wałęsa napisał przedmowę do tej książki, która jest — łagodnie oceniając — wielkim nieporozumieniem. ■ *Grupa Polska* w Kolonii urządziła spotkanie poświęcone aktualnej sytuacji politycznej w Polsce oraz tendencjom dalszego jej rozwoju. *Grupa Polska* zaprosiła na spotkanie (odpisuje z ulotki — A. J. Ch.) „reprezentantów następujących ugrupowań: PZPR, NZS, polskiej opozycji na Zachodzie”. Według relacji uczestników dyskusja była zdominowana przez przedstawicieli *NZS-u*, którzy bez trudu obalali argumenty partyjnego funkcjonariusza. ■ *Wiecznie wczorajsi*: Herbert Hupka, przewodniczący *Ziomkostwa Ślązaków*, stwierdził na dorocznym zjeździe w Hanowerze, że „Śląsk nadal stanowi otwarty i nierozwiązany problem. (...) My, Niemcy, nie ponosimy winy za stan w jakim znalazła się polska gospodarka. Mówiąc językiem biblijnym: bezprawie nigdy nie popłaca”. Może p. Hupka oparł się na zupełnie niedostrzeżonym fragmencie wypowiedzi Ryszarda Wojny na *XI Plenum KC PZPR?*: „Niemcy zostały strzaskane w 1945 roku, ale problem pozostał otwarty”... ■ W zachodniobrzezińskim *Colloquium Verlag* wydano książkę Helmuta Wagnera — *Die Doppelgesellschaft: Systemwandel in Polen (Rozdwojone społeczeństwo — Zmiana systemu w Polsce)*. Prof. Wagner, politolog, wykładowca na *Wolnym Uniwersytecie* w Berlinie Zachodnim, wyraźnie pokazał granice dzielące zmonopolizowaną biurokrację od autentycznych sił społecznych, które doprowadziły do poważnego ograniczenia totalitarnej władzy partii. ■ W kolońskiej szkole powszechnej *Montessori* 12-letnia Nikola Martens wystąpiła z apelem do rodziców o udzielenie pomocy *Zakładowi dla Ociemniałych Dzieci* w Laskach k/Warszawy. Zebrana suma pozwoliła na wysłanie do Lasek 23-tonowej ciężarówce z przyborami szkolnymi, farbami, prakami elektrycznymi i czekoladą. Dziennikarze z *Kölnner Stadt-Anzeiger* odnotowali, że na jednej z paczek koślawymi literami wypisano: „Od Anji dla Piotra Studulskiego”. ■ Rzecznik rządu RFN Lothar Ruehl powiedział w Bonn, że sytuacja w Polsce jest w dalszym ciągu niepokojąca. Zaznaczył, że w interesie Niemiec Zachodnich leży, aby Polacy mogli sami rozwiązać własne problemy. Zastępca przewodniczącego *SPD* Jürgen Wischniewski podkreślił, że wszelkie użycie siły w Polsce, lub nawet groźba jej użycia, zniszczyłoby podstawy układu z Helsinek. ■ 46 osób ukończyło roczny kurs języka polskiego, zorganizowany przez prof. Wilfrieda Schlau na Uniwersytecie w Moguncji. Obecnie trwa drugi kurs; przypuszcza się, że w trzecim weźmie udział 60 słuchaczy. Kursy są bezpłatne. ■ *Związek Polskich Artystów Plastyków* w Gdańsku przy współpracy *Galerii Leszczyński* (Frankfurt n./M.) urządził w Gdańsku wystawę prac graficznych Güntera Grassa. Znakomity pisarz i grafik przebywał w Gdańsku w czasie trwania wernisażu

w Sieni Gdańskiej na Długim Targu; Grass wszystkie grafiki podarował rodzinnemu miastu. *Klub Studencki Wybrzeża „Żak”* przyznał Günterowi Grassowi nagrodę *Czerwonej Róży*. Autor *Blaszanego bębna* i *Torbuta* przekazał prawa autorskie *Wydawnictwu Morskiemu* w Gdańsku. Zdaniem Grassa poprzednie umowy z innymi wydawnictwami wygasły, ponieważ cenzura nie dopuściła do druku jego książek. *Blaszany bębenek* został wydany jedynie przez *Niezależną Oficynę Wydawniczą*, a *Tygodnik „Solidarność”* opublikował fragment *Torbuta*. ■ Najnowsza sztuka Sławomira Mrożka pt. *Pieszko* została wystawiona w Kolonii (inscenizacja Jerzego Jarockiego) przez zespół aktorów *Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej* z Krakowa; otrzymała entuzjastyczne recenzje (*Die Welt*: „Punkt kulminacyjny festiwalu teatralnego”). ■ W ramach otwartego przedstawienia w zajezdni tramwajowej we Frechen k/Kolonii odbyła się sceniczna rekonstrukcja strajku w gdańskiej *Stoczni im. Lenina*. Aktorzy i statyści przekazali honoraria na fundusz *„Solidarności”*. Telewizja (*WDR*) sfilmowała spektakl i nadała kilka dni później w I-szym programie TV. Główne role grali: Grete Wurm (Anna Walentynowicz), Wolf-Dietrich Sprenger (Lech Wałęsa), Vadim Glovna (Andrzej Gwiazda) i Martin Schwab (Bogdan Lis). Scenariusz napisała Jule Gatter-Klenk, spektakl reżyserował Jürgen Flimm. ■ W *Serwisie Informacyjnym „Solidarności”* podano, że w zakładach karnych w NRD odbywa karę 5 tys. więźniów politycznych. ■ 12 ciężarówek załadowanych podstawowymi artykułami żywnościowymi i pożywkami dla dzieci wysłała do Polski 27 lipca br. *Maltańska Służba Pomocnicza (MHD)*; zawartość 5 ciężarówek, których ładunek sfinansował *Caritas* w Akwizgranie, dotarła już do Lublina. Dalszych 5 ciężarówek zawiozła artykuły żywnościowe do Szczecina; żywność — dar *Związku Młodzieży Katolickiej* w Essen — przeznaczona jest dla dzieci i młodzieży. ■ Jerzy Sułek, radca ambasady PRL w Kolonii, w rozmowie z przedstawicielem dziennika *Die Welt* zalecał daleko idącą dyskrecję i nalegał na zachowanie „anonimowości zachodniemieckiej pomocy dla Polski”. Wartość prywatnej pomocy płynącej z RFN do Polski jest w dalszym ciągu przemilczana lub sztucznie pomniejszana przez prasę PRL-owską; np. *Polityka* pisze, że „w okresie 6 miesięcy tego roku nadesłano (z RFN — A.J.Ch.) artykuły żywnościowe i lekarstwa o wartości 340 tys. dolarów”. W rzeczywistości dotychczasową wartość prywatnej akcji pomocy ocenia się na sumę ok. 50 mln marek (20 mln dolarów). ■ W szpitalu w Świebodzicach k/Wałbrzycha z powodu przerw w dopływie wody oraz braku leków zmarło 14 noworodków. *NSZZ „Solidarność”* podjął natychmiast starania o zdobycie nieodzownych leków w celu uratowania życia pozostałym 28 niemowlętom. Dzięki pomocy Krzysztofa Hyli z Bonn (redaktor *Kontinentu*), udało się potrzebny lek zakupić i w ciągu jednego dnia, dzięki *PLL LOT*, dostarczyć do Świebodzic. Krzysztof Hyla zapłacił za lekarstwa (*Gamma M*) 3.677 marek. Z depezy *NSZZ „Solidarność” Regionu Dolny Śląsk*: „Chcemy wszystkim osobom, które pomogły w zakupieniu i dostarczeniu leku do szpitala, wyrazić nasze podziękowanie w imieniu własnym oraz dzieci, którym ten lek uratuje życie”. *Hamburski tygodnik Der Spiegel* pisze, że „polscy zwolennicy reform mają już swoich zwolenników w NRD”. W Berlinie Wschodnim rozdawano ulotki zatytułowane *Wezwanie do ludzi pracy*; anonimowi autorzy piszą m.in.: „Policja i służba bezpieczeństwa trzymają nas w strachu, żeby uniemożliwić siłą demokratyczną odnowę. Bez niej socjalizm nigdy nie będzie urzeczywistniony. Ożywiają znowu fatalnego ducha pruskiego militarysty (...). Rozwój wydarzeń w Polsce wskazuje, jak można stawiać opór”. Strajkowały załogi niektórych przedsiębiorstw. W kilku miastach, m.in. w Erfurt, Rostock, Karl-Marx-Stadt, Weimar i Eisenhütten-Stadt, doszło w ostatnim czasie do starć między młodzieżą a policją. Młodzi ludzie okupowali pusto stojące domy, które zamierzali na własną rękę przerobić na kluby kulturalno-roz-

rywkowe. ■ Ciekawą informację podaje paryski dziennik *France-Soir*: w miejscowości Plauen w Turynii grupa młodych ludzi odmówiła odbycia przymusowej służby wojskowej. Mieli oni oświadczyć, że nie zamierzają wkładać mundurów i brać broni do ręki, by w ten sposób ryzykować, że pewnego dnia zostaną wysłani do Polski, żeby strzelać do strajkujących robotników. ■ W NRD znajduje się obecnie ok. 20 tys. polskich pracowników (1980 — 28 tys.), w większości inżynierów, techników i wykwalifikowanych robotników. Jak donosi dziennik *Deutsche Tagespost*, władze wschodniemieckie zdusiły w zarodku wszelkie próby, podejmowane przez Polaków, utworzenia w przedsiębiorstwach kół „Solidarności”. W związku z tym NRD chce się jak najszybciej pozbyć polskich pracowników. Ale kto ich zastąpi? Władze NRD rozpoczęły starania o pozyskanie Niemców żyjących w Związku, tych, którzy ubiegają się o wyjazd do RFN (ok. 200 tys.). Zdaniem rządu w Pankow akcja przesiedlenia oraz zatrudnienia Niemców ze Związku Sowieckiego w NRD-owskich zakładach pracy w pełni odpowiadałaby duchowi proletariackiego internacjonalizmu. ■ Dzięki pośrednictwu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie Polska otrzymała od RFN zryczałtowaną kwotę 103 mln marek jako odszkodowanie dla ofiar pseudomedycznych eksperymentów. Władze PRL wypłaciły poszkodowanym jedynie 60 % otrzymanej kwoty. W 1975 roku rząd Polski otrzymał z Niemiec Zachodnich 1,3 mld marek, zgodnie z zawartą umową o zaopatrzeniu emerytalnym i wypadkowym. Na spotkaniu b. więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka zapytano wiceministra d/s kombatantów Kujdę o wyjaśnienie tej sprawy, tj. rozliczenia funduszu 103 mln marek. Min. Kujda odpowiedział, że według posiadanych informacji została rozliczona kwota około 75 mln marek — a pozostała kwota, tj. 25 mln marek, przejął do swojej „dyspozycji” i „zagospodarowania” b. premier i b. prezes ZBoWiD-u — Piotr Jaroszewicz. A co się stało z astronomiczną kwotą 1,3 mld marek? Zgodnie z relacją *Gazety Krakowskiej*, żyjącym jeszcze więźniom obozów hitlerowskich podniesiono renty do wysokości zaledwie 3,5 tys. złotych miesięcznie. Z listu Edwarda Pindelskiego z Krakowa: „Każdy z nas, 30 tys. (...) więźniów, otrzymałby do swojej dyspozycji po ok. 40 tys. marek. Tymczasem rząd premiera Jaroszewicza (...) położył na dewizach rękę. Otrzymałą rentę zaległą w sumie 10.800 marek wypłacono mi po 8 zł za markę”. *Gazeta Krakowska* zatytułowała artykuł o tej skandalicznej sprawie — *Gdzie się podział miliard marek?* Natomiast gazeta *Za Wolność i Lud* stawia m.in. takie oto pytania: — Jaki był przelicznik marki na złotówki? — Jaka rezerwa pozostała na wypadek spraw nowo udokumentowanych? — Ile pieniędzy pozostało, i na co zostały przeznaczone, dlaczego i przez kogo? *Gazeta Krakowska* ujawnia drobny, ale istotny szczegół: „W roku 1973, tj. po wypłaceniu pierwszej raty (ofiarom eksperymentów medycznych — A.J.Ch.), wstrzymano wypłatę II-giej raty na skutek dochodzeń przeprowadzonych przez organa NIK-u z powodu nadużyć przy wypłacaniu tego odszkodowania (osobom nieupoważnionym do ich pobierania)”. Sprawa, którą tutaj poruszam była już przedmiotem interpelacji poselskiej. Odpowiedź ministra d/s kombatantów gen. dyw. Mieczysława Grudnia była bardzo ogólnikowa i nie dała odpowiedzi na zarzuty stawiane przez środowisko b. kacetowców. Kiedy doczekają się ujawnienia szczegółów tej wielkiej afery? ■ W lipcu br. opuściło Polskę i przybyło do RFN 5.890 etnicznych Niemców. ■ W bież. roku przez obozy dla uchodźców i przesiedleńców przeszło ok. 17 tys. obywateli PRL, którzy starają się o uzyskanie stałego pobytu w Niemczech Zachodnich. Zdecydowanie przeważają młodzi Polacy poszukujący pracy. We Frankfurcie n/Menem 50 Polaków dziennie prosi o zezwolenie na czasowy pobyt. W czerwcu bież. roku 500 Polaków zwróciło się o azyl w obozie przejściowym we Friedlandzie (w maju 340 osób). ■ Tylko w czerwcu ambasada RFN w Warszawie wystawiła

48.700 wiz turystycznych obywatelom polskim; do 15 lipca przybyło 32.000 dalszych. ■ W zachodniobierlińskim piśmie *Der Gemeinsame Weg* (nr 22/1981) opublikowano interesującą pracę prof. Georga W. Strobla — „*Als Zeichen der Achtung für brüderliche Aufnahme*” (Jako znak szacunku za braterskie przyjęcie) na temat przyjaźni polsko-niemieckiej z lat 1830-1834 oraz jej znaczenia politycznego w społeczeństwie niemieckim, szczególnie wpływu polskiej myśli politycznej na niemiecką.

Andrzej J. CHILECKI

S i P

KAZIMIERZ OKULICZ

prawnik i dziennikarz wileński, Filister Arkonii, urodzony 4 marca 1880 r. w Karolowie na Litwie, zmarł 2 lipca 1981 r. na emigracji w Londynie.

Cześć Jego pamięci!

RODZINA W KRAJU
I NA EMIGRACJI

Ci, co odeszli

Zwolennik pojednania

(WSPOMNIENIA NIEMCA O KAZIMIERZU OKULICZU)

Z głębokim wzruszeniem piszę tę garść wspomnień o Kazimierzu Okuliczu, zmarłym 2 lipca w 92-im roku życia. Moge powiedzieć, że na różnych etapach swego życia spotkałem wielu Polaków — starszych ode mnie i rówieśników — których cenię bardzo wysoko. Lecz żadnego — z jednym może wyjątkiem mojego nauczyciela języka polskiego w niemieckim gimnazjum prywatnym w Poznaniu, śp. Władysława Suchcitz — nie postawiłbym tak wysoko w moim głębokim szacunku i przywiązaniu jak właśnie sędziwą postać Kazimierza Okulicza. Znałem go osobiście niecałe dwadzieścia lat, poznałem go, gdy już był po siedemdziesiątce, a więc w wieku, w którym ludzie zazwyczaj wycofują się z życia politycznego i albo piszą wspomnienia albo czasem tylko zabierają głos w prasie, i to raczej patrząc wstecz, a nie naprzód.

Z Kazimierzem Okuliczem było zupełnie inaczej. Miał on rzeczywiście co wspominać i dał temu wyraz między innymi na odczycie w uniwersytecie mogunckim, w grudniu 1967 roku, z okazji stulecia urodzin Józefa Piłsudskiego, kiedy to nakreślił sylwetkę Marszałka na podstawie własnych z nim spotkań. Okulicz był zresztą naocznym świadkiem dziejów ziem litewskich przed pierwszą wojną i po niej, i barwnie i niezwykle interesująco o nich opowiadał. To być może wystarczyłoby innym na pozostałe lata czy dziesięciolecia, ale Okulicz zajął się tak samo, a może jeszcze bardziej teraźniejszością i przyszłością Europy — nie darmo był przedstawicielem jej starej kultury i widział czym jej grozi szowinizm, małostkowość i egoizm. Myślał więc o tym i pisywał, jak należy te przesady przezwyciężyć i jak zbliżyć do siebie właśnie te narody, które przez tyle lat widziały w sąsiedzie „odwiecznego wroga”, a bez których zgodnej współ-

pracy i współżycia zjednoczona Europa będzie tylko ułamkiem tego, czym mogłaby być, a więc Polaków, Niemców, Czechów, Ukraińców, Litwinów, Białorusinów, nie pomijając zresztą Rosjan.

Takie nastawienie wyrosło na pewno na żyznej glebie wielonarodowościowych ziem starej Litwy, ale dla Kazimierza Okulicza nie było ono jedynie miłym wspomnieniem czy ideałem nie dającym się nigdy i nigdzie urzeczywistnić, lecz przewodnią ideą jego działalności w ciągu ostatniego dwudziestolecia. Z tej racji był również zwolennikiem i szermierzem pojednania polsko-niemieckiego, pojednania rzetelnego, gruntownego, bez owijania rzeczy w bawełnę, bez szumnych przemówień i bez powierzczonego, a w istocie nic nie znaczącego poklepywania po ramieniu.

Poznałem go najpierw nie osobiście, gdy w *Dzienniku Polskim* i *Dzienniku Żołnierza* z dnia 21 stycznia 1962 roku napisał recenzję o moim artykule „Stosunki polsko-niemieckie i ich punkty newralgiczne”. Była to recenzja dość krytyczna, w której recenzent w wielu wypadkach bynajmniej nie podzielał mojego punktu widzenia, ale m.in. napisał: „Poważny uczony niemiecki (przepraszam bardzo, ale to jest cytat) i niewątpliwy zwolennik porozumienia polsko-niemieckiego słusznie zwraca uwagę na konieczność rewizji wykładni historycznego przebiegu stosunków polsko-niemieckich i przezwyciężenia tezy o odwiecznej wrogości”.

W następnym już zdaniu wytknął mi błąd: „operuje przesłankami i argumentami prawie wyłącznie rozumowymi, racjonalistycznymi”, ale siebie samego przedstawił jako „zdecydowanego zwolennika pacyfikacji uczuć i stosunków polsko-niemieckich”.

Napisałem więc do niego długi list i od tego zaczęła się nasza żywa korespondencja, trwająca aż do ostatnich miesięcy jego życia. Ze wstydem muszę przyznać, że ostatni znak życia przyszedł od niego! Ta uprzejmość i wielkoduszność połączone z niezwykłą skromnością — to zresztą cechy jego charakteru, które od razu zjednały mu moje serce (przepraszam, ale tak było rzeczywiście), gdy poznałem go osobiście na konferencji międzynarodowej w Wiesbaden we wrześniu 1963 roku, na którą go zaprosiłem. Jednym z mówców był wtedy Lord Charles E. Carington, dzisiejszy minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii, którego Okulicz w swym sprawozdaniu w *Dzienniku Polskim* z dnia 12 października 1963 roku dosyć ostro skrytykował.

Potem był Okulicz seniorem i jednocześnie ostoją naszych niemiecko-polskich rozmów w Lindenfels, o których dużo już pisano, a które bez jego uczestnictwa na pewno nie miałyby tego powodzenia i tego rozgłosu, które mimo wszystko uzyskały.

Okulicz brał udział we wszystkich pierwszych sześciu sympozjach, od roku 1964 począwszy do 1972 roku włącznie. Nie wygłosił nigdy referatu, ale zawsze zabierał głos, bądź wskazując na problemy stosunków Polski ze Wschodem Europy, bądź nawołując do rozsądnego ujęcia i dyskusowania spraw sprzecznych. Jego autorytet i spokojne, choć zawsze pełne hamowanej namiętności słowa zawsze przyczyniały się do pogodzenia po-

ważnionych stron. Zresztą o wiele częściej były to spory między samymi Polakami niż między Polakami i Niemcami.

O szóstym spotkaniu w listopadzie 1972 roku napisał przychylnie sprawozdanie w numerze 304/304 *Kultury* (str. 121-123), streszczając przy tym swoje uwagi, „że należy zasadniczo odróżniać tzw. wymianę kulturalną, będącą funkcją polityki, a więc oficjalną i konwencjonalną, od wymiany bezpośredniej pomiędzy ludźmi — pisarzami, artystami, uczonymi, placówkami kulturalnymi itp.”. On sam — mając wtedy już 83 lata — urzeczywistniał właśnie tę wymianę „między ludźmi”, i na pewno więcej przyczynił się tym do obopólnego zrozumienia niż niektóre oficjalne spotkania.

Gdy go zaprosiłem na następne sympozjum w marcu 1974 roku, odmówił, pisząc, że teraz jest już nie seniorem, lecz emerytem, i że miejsca trzeba ustąpić młodszemu — znowu znak jego skromności. Ale w trzy lata później, gdy po długiej niestety przerwie spotkaliśmy się po raz ósmy, omawiając tematykę „Polska Rzeczpospolita Ludowa a podzielone Niemcy”, znowu dał się nakłonić do przybycia. Dobrze pamiętam jego sceptyczną wypowiedź co do postawy Stanów Zjednoczonych wobec problemu zarówno niemieckiego jak i polskiego. Jeszcze głębiej zostało w pamięci wszystkich bodaj uczestników jego przemówienie przy wspólnym obiedzie, wzruszające, pełne głębokich myśli, o jedności Europy i o wspólnej historii, pełne sceptycyzmu co do mocarstw zachodnich, ale nie bez nadziei na wewnętrzne siły narodów starej Europy. Bez względu na swój wiek wygłosił to przemówienie stojąc, wyprostowany jak zawsze, z błyszczącymi oczami — wzór szlachetności i „starej szkoły”.

Bez niego nasz świat — tak już ubogi w silne charaktery i ludzi dobrej woli — będzie jeszcze uboższy, ale tak jak Horacy mógł Okulicz o sobie słusznie powiedzieć: *Non omnis moriar*. Polscy czytelnicy wybaczą, że zakończę swoje wspomnienie o tym naprawdę wielkim człowieku cytatem w języku niemieckim:

*Ach, sie haben
Einen guten Mann begraben,
Und mir war er mehr.*

Gotthold RHODE
(Moguncja)

Kronika kulturalna

Umilknięcie "Wiadomości"

Duży, „skumulowany” numer londyńskich *Wiadomości* za marzec i kwiecień 1981 (nr 3/1816) jest ostatnim tego niegdyś tygodnika, ukazującego się na emigracji od 1946 roku. Kryzys, inflacja, trudności lokalowe i brak oparcia instytucjonalnego stały się owymi *plures*, wobec których herkulesowe wysiłki ostatniej redaktorki, Stefanii Kossowskiej, i szczupłego grona jej współpracowników redakcyjnych i administracyjnych okazały się mimo wszystko niewystarczające. *Wiadomości* przestały się ukazywać. To wielka strata!

Ciągłość, tradycja, trwanie w wyraźnym kształcie, nawarstwiająca się historia, możliwość odwołania się do jasno sprecyzowanej przeszłości (por. rubryki „25 lat temu”, „50 lat temu”) — to podstawowe rysy istnienia zbiorowego, istnienia cywilizowanego. Do listy polskich bied zaliczać należy nie tylko krew, łzy i popioły tego stulecia — a i ubiegłych również — ale także to jakże częste rwanie się nici łączących przeszłość z przyszłością, tlenie tkaniny zwanej polską kulturą. Może słowa te wydadzą się mniej patetyczne, gdy uświadomimy sobie, jak niewiele jest *wolnych* pism polskich w tej chwili na świecie i jak kruche są ich podstawy... Żal po uszczupleniu się jeszcze większym tego szczupłego stanu posiadania jest szczerzy, uzasadniony i nie łagodzi go świadomość, że *Wiadomości* nie całkiem umarły, bo trzydzieści sześć lat ich powojennego istnienia jest dużym i trwałym dokonaniem.

Rozstania podnoszą wartość ludzi, rzeczy i spraw odeszłych do właściwej ceny. Wśród czytelników *Wiadomości* znajdowali się nie tylko „gorący entuzjaści”; sądząc po sobie i wypowiedziach znajomych przypuszczam, że wielu było letnich, a nawet zimnych. *Wiadomości*, pismo głównie literackie i kulturalne, reprezentowały łatwo poddający się krytyce rys literatury i kultury polskiej: jej *towarzystwość* (określenie pochodzące chyba od Miłozza), jej charakter raczej mówiony niż myślany, jej poprawność,

łączącą zadowoloną z siebie zacość rodziną z — mniej pewną siebie — świadomością nieodbiegania od „wzorów obcych” (ach, ci Francuzi!...). Pismo to miało w sobie wiele ze starego wuja — a nawet ciotki — z dobrej choć podupadłej rodziny, mówiącego rzeczy w pewnym sensie ciekawe i użyteczne, ale także w pewnym sensie nudnawe i irytujące, bo oceniające świat współczesny z perspektywy miejsc i lat, które dla młodszych generacji są już tylko legendą. Takim właściwym miejscem mógł być majątek pod Buczaczem, kanapa w Małej Ziemiańskiej, w najlepszym razie obóz wojskowy w Syrii, ale *nie* współczesny pokój czy mieszkanie w Londynie, Ostrowie, Buenos Aires czy Melun („*bo obce kraje to hotele...*”); właściwym czasem był raczej sierpień 1914, maj 1926 czy wrzesień 1939 niż — dajmy na to — przeciętny czerwiec 1977. „*Ach, ty Krakowie krakauerski...*”, jak wzdychał Gałczyński, choć domeną *Wiadomości* była raczej Warszawa, czy może Warszawka. Dziś jednak, gdy starego Wuja zabrakło, zrobiło się pusto i smutno. Rodzina się zmniejszyła. I wśród osamotnionych budzi się refleksja, że nudnawe i irytujące może też być ciągle domaganie się zimnej doskonałości, szczytów i głębi, Brzozowskich i Gombrowiczów, bo przecież kultura jest dla ludzi, także i przede wszystkim dla tysięcy i milionów „zwykłych” czytelników, którzy — zmęczeni pracą, przejściami i wygnaniem — chcieliby trochę porozmawiać, powspominać, dowiedzieć się co porabiają inni Polacy w świecie i kraju, przeegzaminować znajomych ze znajomości „Trylogii”. *Silva rerum* — jakże trafnie zatytułował Mieczysław Grydzewski swoją ukochaną rubrykę!

Grydzewski był założycielem, redaktorem i Atlasem (w sensie mitologicznym) *Wiadomości* we wszystkich ich trzech wcieleniach. *Wiadomości Literackie* ukazywały się w Warszawie od stycznia 1924 roku do września 1939. Były technicznie i duchowo przedłużeniem *Skamandra*, dziedzicząc i propagując w ześwieczczonej formie i pozytywne i negatywne strony tej grupy towarzyskiej i poetyckiej, to znaczy głównie: nadawanie „nowego wyrazu” nie zawsze nowym myśłom i odczuciom. Już wtedy wielu irytowały; „skrzenie się dowieciem” Słonimskiego i Boya podkreślało tylko, a nie łagodziło wrażenia „kultury dla mas”, choćby mas inteligenckich, ale było to pismo ważne i znaczące i zasługi jego były ogromne. Kultura w końcu *powinna* być przecież dla mas... Odtworzone, zmartwychwstałe na zasadzie „ciągłości w zmienności” pismo *Wiadomości Polskie* (Paryż 1940 - Londyn 1944) było kolejną mutacją. Zostało zamknięte pod pozorem wojennego braku papieru, a w istocie z racji politycznych: redaktor i jego najbliżsi współpracownicy nie chcieli pogodzić się z utratą wschodniej części Rzeczypospolitej i dawali temu wyraz w sposób kłopotliwy dla rządu. Pismo odrodziło się po raz trzeci w kwietniu 1946 jako *Wiadomości* — bez przymiotnika i bez subwencji. Za życia Grydzewskiego (zmarł po czteroletniej chorobie w 1980) stanowiło jego prywatną własność; w formie w jakiej je dziś żegnamy było dziedzictwem po nim (i jego nieomal *alter*

ego, Antonim Bormanie, wydawcy pisma, który zapisał Grydzewskiemu cały swój dobytek), zarządzanym przez powierników pod przewodnictwem prezydenta Edwarda Raczyńskiego. Po piśmie pozostało archiwum, powierzone obecnie Fundacji z Brzezia Lancorońskich, nieukończona jeszcze bibliografia — i wspomnienie. Wspomnieniem tym żyć będzie wiele pokoleń polonistów, a także — po prostu — Polaków.

Nie czuję się na siłach nakreślić choćby szkicu historii tego pisma; odnotowuję tylko dla zainteresowanych kilka istniejących obecnie relacji o jego dziejach: relacja Grydzewskiego o losach *Wiadomości* od wybuchu wojny, zamieszczona w numerze tego pisma z 2-16 września 1979; rozdz. 34 „Szkiców o literaturze emigracyjnej” Marii Danilewicz Zielińskiej (Instytut Literacki, 1978); artykuł pt. „*Wiadomości* i komentarze” pióra Stefani Kossowskiej w ostatnim, pożegnalnym numerze. Kiedyś niewątpliwie zostanie napisana wielka monografia o tym piśmie: zadanie niełatwe, bo z konieczności będzie to zarazem monografia nieomal półwiecza polskiej literatury. Niewielu było piszących, którzy nie zamieścili tam choćby artykułu, a nie ma spraw ani postaci, które nie otarłyby się chociażby o te łamy.

Wiadomości były nie tylko czasopismem. W 1959 drogą plebiscytu wśród czytelników wybrały (chciałoby się rzec: sobie) jury nagrody za najlepszą polską książkę roku i grono 15 jurorów, odnawiane przez kooptację, urzęduje do dziś i urzędować ma nadal, o ile niezawodna dotąd ofiarność prywatnych fundatorów nagród będzie kontynuowana. Ta nieoficjalna polska akademia literatury, nazywana popularnie „Akademią Grydzewskiego”, jest ostatnią instytucjonalną formą istnienia *Wiadomości*. Jakiegokolwiek zastrzeżenia mieć by można co do jej reprezentatywności (członkami jej są tylko pisarze emigracyjni), znaczenia międzynarodowego czy innych jej aspektów (mam na myśli nieuchronną melancholię instytucji rodem ze stałego ładu przeniesionych na emigracyjną toń), życzyć sobie i spodziewać się należy, że instytucja ta będzie trwała jak najdłużej — nawet gdyby najcenniejszą nagrodą jakiej mogłaby udzielić było jabłko lub długopis! Piszę te słowa w chwili, gdy coraz wyraźniej widoczny staje się fakt, że jak od dawna w dziejach naszego narodu tylko wartości niematerialne — godność, rozum, słowo — są w stanie zapewnić trwałość temu, co rozumiemy pod słowem „Polska”. W chwili gdy ludziom i duchowi rodem z Azji udało się skutecznie przekształcić nasz kraj w rodzaj Ugandy, każdy strzępek cywilizacji staje się skarbem, bo podtrzymuje nadzieję. Nazwałem te uwagi pożegnalne „umilknięciem” *Wiadomości*, bo może jednak kiedyś odżyją. Bo i w tym wypadku zmuszam się do nadziei, że słowo „żegnamy” może okazać się tylko słowem „do widzenia”.

M. BRŃSKI

Widziane inaczej

Stary świat w nowej skórze

Paryż, 3 sierpnia 1981.

Siedzę 10 dni w Paryżu i czuję, jak się Polska ode mnie oddala, przez co zmienia perspektywę — to tak, jakby ktoś, odlatując z Ziemi kosmicznym pociskiem, widział ją w całości, w ogólnym, kulistym zarysie, podobnie jak widzimy Księżyc. Szczegóły opuszczają mnie z każdym dniem, zaś ogólny zarys kształtuje się po trochu tak, jak go widzą cudzoziemcy, i to nawet pomimo, że w redakcji *Kultury* mam do dyspozycji polskie pisma przeróżnych „obiegów”. Tak, traci się zapach, koloryt, smak wydarzeń, pozostają gołe fakty i ich interpretacja — uniwersalna, nie zaś subiektywna. Czy to źle czy dobrze? Na pewno dobra bywa taka kąpiel w zimnej wodzie i uświadomienie sobie, że nasza polska planeta to nie centrum układu słonecznego, lecz jego fragmencik. Bardzo to w końcu pedagogiczne: gdy siedzę w Warszawie, wydaje mi się, że to co nad Wisłą jest normalne, a to co gdzie indziej — dziwaczne. Instruktywną jednak jest rzeczą wcielić się czasem w sytuację przeciwną i pomyśleć, że my w Polsce, wraz z naszą od roku trwającą terapią wstrząsów zachwyceń, lęków i niespodzianek, jesteśmy właściwie bardzo dziwaczni, a ci tutaj na Zachodzie, odwieczni zjadacze i producenci realnego chleba, są właśnie jak najbardziej normalni. Choć co prawda ostatnio nawet harmonijna Francja ze swymi trzystu gatunkami sera i iluś tam wina w skurczu samoznudzenia zafundowała sobie polityczne elektrowstrząsy w postaci Mitteranda i socjalistycznego rządu. — Niech Pan się nie boi Mitteranda — powiedział mi kiedyś pewien polski Paryżanin — on taki akurat socjalista, jak i Pan! Jednakże nowy prezydent i jego ekipa zapowiadają nacjonalizację dziesiątka wielkich koncernów... Ciekawe, że tu na Zachodzie lewica uważa upaństwowianie przemysłu za wciąż aktualne lekarstwo na wszelkie społeczne cho-

roby, nie pomnąc mizernych w tej dziedzinie doświadczeń naszej strony świata. No cóż, widać 60 lat socjalizmu na Wschodzie nie liczy się tu jako lekcja, widać każdy niewierny Tomasz chce poznać rzecz na własnej skórze. Obyśmy nie dożyli czasów, gdy Francuzi zaczną pytać, tak jak Polacy: — Przepraszam, czy to już jest socjalizm, czy będzie jeszcze gorzej?! Bo w istocie nikt dotąd nie wytłumaczył, co ludowi przyjdzie z tego, że fabrykami, zamiast fabrykantów, kierować będą państwowi urzędnicy? Obyśmy nie dożyli francuskiego socjalizmu, bo gdzie się wtedy będzie jeździć na wypoczynek z normalnie dziwacznej Warszawy? Z deszczu pod rynnę?! Uchowaj Panie Boże!

Na razie jednak jestem tu i zakwitam pod skrzydłami redaktora Giedroycia nie najgorzej, choć frank spada a ceny się pną w górę, co nawet mnie, wschodniego nieboraka, uderza po kieszeni. I ciągle zastanawiam się nad Gierkiem: co ten człowiek właściwie zrobił?! Nie mając waluty wymiennej, oparł się na twardej walucie zagranicznej, nie mając rynku towarowego oparł się na wolnym rynku zachodnim! Na co on liczył, na stałe pożyczki i wielki eksport?! Toć czyste wariactwo i paranoja! Odebrali mu za to wszystkie ordery, ale francuski polityk Edgar Faure, który przed rokiem głosił w Warszawie chwałę Gierka jako fundatora wolności i dobrobytu na Wschodzie, dostał ostatnio od ambasadora PRL w Paryżu Komandorię z Gwiazdą Orderu Zasługi. Za co, za wypłatanie głupstw?! Zaiste, świat jest dziwny. O Gierku mówią, że chciał dobrze, ale mu się nie udało, na co Jan Pietrzak w warszawskim kabarecie oświadczył, że wołaby człowieka, który by CHCIAŁ ZŁE i by mu się nie udało! W dodatku teraz wszyscy wołają chórem, że to nie socjalizm był winien, lecz odejście od socjalizmu. Ja sędzę, że winien był system polityczny komunizmu, który pozwolił ekipie dyletantów rządzić wszechwładnie przez 10 lat gospodarką i życiem społecznym bez niczyjego sprzeciwu. Zaś Stalin rządził Rosją lat 30 i w imię doktryny zniszczył tamtejsze rolnictwo bardzo dokładnie i po wsze czasy. Ten ci przynajmniej chciał źle i udało mu się!

Ale wróćmy do mnie i do Paryża. Siedzę tu i czytam zaległe numery *Kultury*. Dobre pismo, choć i nawet ma teraz w kraju konkurencję potężną, w postaci mnóstwa przeróżnych druków, wychodzących poza cenzurę, a także oficjalna prasa krajowa ciekawa jest ogromnie. Mimo to *Kultura* się nie daje, profil zachowuje, a niektóre artykuły przynoszą syntezę, jakiej pozazdrościć by mogła cała prasa światowa — choć ona wcale o tym nie wie. Mam tu na myśli na przykład artykuł „Wariant optymistyczny” Jana Kowalskiego w numerze czerwowym (autor na pewno z kraju, bo gdzieżby na emigracji uchował się nieznanym nikomu Jan Kowalski tak świetnie piszący?). O perspektywach sowieckiej interwencji czy nieinterwencji w Polsce (temat-waż, niestety nie morski) na tle sytuacji światowej powiedział ów Kowalski zwięźle, na kilku stronicach, wszystko, co powiedzieć można — podobnie zresztą jak angielski ekspert Richard Portes

powiedział niedawno absolutnie wszystko o polskiej gospodarce (przedruk w *Forum* i w *Aneksie*). Do tego w *Kulturze* znakomicie piszą Kruczek (przeeglądy prasy sowieckiej o maksymalnym natężeniu komentatorskiej bystrości), Unger, Byrski (choć nie zawsze — miewa i wpadki), Koraszewski o Szwecji, Morawski o Rzymie. Zebrał znów Giedroyc, podbechtany konkurencją, grupę asów, wobec nich miałem tylko awantaż siedzenia w Warszawie, lecz i to tracę obecnie na jakie pół roku, przestając być prowincjonalnym nieco, ale zawsze ekspertem od polskich kolorów. Trzeba się uskromnić, stąd i zmiana nagłówka niniejszej rubryki, którą zastępuję również w moim krakowskim *Tygodniku Powszechnym*. „Wołanie na puszczy” to już hasło nazbyt pretensjonalne i pyszałkowane, w dodatku dziś zdezaktualizowane, bo w kraju nie jeden lecz wszyscy wołają dziś chórem. Zaś „Widziane inaczej” to próba przetworzenia siebie, swojej postawy, przetworzenia jeszcze raz. Bo ludziom brakuje różnorodności sposobów widzenia, trzeba tych sposobów szukać, chcąc nadal być pożytecznym. I podkreślam, ku zapamiętaniu: JA CZYNNĄ POLITYKĄ ZAJMOWAĆ SIĘ NIE ZAMIERZAM, ja tylko piszę o polityce, a to zupełnie co innego. Zresztą myślę, że w Polsce przyszedł całkiem nowy etap, nowe pokolenie, boję się, że w istocie pokolenia tego i jego problemów już nie rozumiem. Nie bardzo też wiem, kto będzie teraz rządzić Polską i co w ogóle w tej kryzysowej sytuacji znaczy słowo „rządzić”. Komuniści zbierają tu plon swoich 35 lat, choć winę zwałich chcą tylko na Gierka i Jaroszewicza. Uwikłali się w swe własne sidła, gdy oto wygłodzeni robotnicy zgłaszają się o mięso do... wojewodów czy do postów. Toć to nie są producenci, producentów zlikwidowano, zaś urzędnicy nic nie mogą! Trzeba zacząć odkręcać wszystko, a na to potrzeba lat! I „Solidarność” się uwikłała, boć to są dzieci reżymu, uwierzyli mimo wszystko w naszą sparafrasowaną ideę „państwa opiekuńczego”, od którego trzeba żądać. Stąd paradoksalna sprzeczność sama w sobie: bunt przeciw spowodowanej systemem nędzy i bunt przeciw gospodarczej reformie systemu, która pozbawić może tłumy robotników pracy. Obiecano im tu wszakże wieczne zatrudnienie, podczas gdy prywatny kapitalista żadnego takiego wiecznościowego kontraktu nie zawiera: on tylko wynagradza za pracę, póki produkcja mu się opłaca, a potem zamyka przedsiębiorstwo. A tu państwa zamknąć nie można, tymczasem nie ma ono z czego płacić, choć zawarto wieczny kontrakt. Chcąc reformować status państwa opiekuńczego, „Solidarność” musiałaby podciąć własną egzystencję. Póty jej siły, póki jest „przodującą klasą robotniczą”, stąd jej zwiążanie z socjalizmem i nieprzyjmowanie do wiadomości jego bankructwa. Kwadratura koła?!

Dla porządku przypomnijmy sprawy powszechnie znane. Dalekosiężna, zmieniająca ustrój reformę gospodarczą poprzedzić muszą doraźne zmiany strukturalno-selekcyjne, absolutnie konieczne dla uporządkowania życia ekonomicznego. Trzeba: 1) zamknąć zakłady i wstrzymać inwestycje nierentowne, pochła-

niające nadmiar energii i wymagające importu; 2) skoncentrować wszelkie możliwe wysiłki, nakłady, transport oraz kadrę roboczą na kopalnictwie, przede wszystkim węgla, ewentualnie siarki, miedzi etc.; 3) dać absolutny priorytet rolnictwu oraz zakładom przemysłowym pracującym dla rolnictwa; 4) stworzyć popierany wolny rynek dla rzemiosła, usług i drobnej wytwórczości, uwalniając je od jakichkolwiek ingerencji czy nacisków ze strony władz terenowych, wojewodów, sekretarzy partii etc.

I wreszcie najważniejsza decyzja strategiczna, niejako nadrzędna, zahaczająca o dalekosiężne nastawienie psychologiczne, a mianowicie: zdać sobie sprawę, że zagraniczne długi i odsetki (dziś już suma 27 miliardów dolarów) NIE BĘDĄ ZAPŁACONE. Nie pomoże tu ani „refinansowanie”, ani „odroczenie”, ani „konwersja”, ani „kompresja”, ani „moratorium”, trzeba sobie powiedzieć jasno, że płacić nie możemy (w tym roku na obsługę długów i kredyty zastępcze potrzeba nam... 10 miliardów dolarów!). Bankructwa ogłaszać też nie możemy, stracilibyśmy wówczas konta bankowe, samoloty, statki, zaś krótkoterminowe pożyczki towarowo-żywnościowe są nam konieczne potrzebne. Więc? Trzeba znaleźć globalne wyjście ekonomiczno-polityczne. Jakie? Nie wiem!

Na zakończenie resztką moich krajowych jeszcze doświadczeń. Asystowałem wraz z całą Polską wielogodzinnym transmisjom telewizyjnym ze Zjazdu Partii, rozmawiałem z niejednym spośród 450 zagranicznych dziennikarzy akredytowanych przy Zjeździe. Jaki to był Zjazd? Jak na kraj komunistyczny — rewelacja. Delegaci wybrani i wybierający w tajnych głosowaniach, swoboda dyskusji, demokratyzm, szczerłość, do tego niejednokrotnie młodość, świeży ton proceduralny w regulaminie i kierowaniu obradami, nieskrępowane zgłaszanie kandydatur, wniosków, propozycji...

Tak, dla Rosjan, którzy przysłali czwartorzędny garnitur, Zjazd musiał być rewelacyjny czyli szokujący. Od swobodnego strumienia dyskusji odbijały powitalne przemówienia gości z krajów komunistycznych, jakby programowo usztywnione, drętwe i wyprane z treści. Jednakże delegaci wysłuchiwali ich w powadze dobrze spełnianego obowiązku. Czyżby więc, jak to sugerowali entuzjastycznie zachodni dziennikarze, delegaci owi mieli pełną świadomość geopolitycznych ram, w których mieścił się obraz Zjazdu?

Tak i nie tak. Niewątpliwie list sowieckiego KC do takiegoż polskiego przywrócił ludziom świadomość przyciągania Ziemi, bo napędził im straszka. Dopomogło to Kani, wezwał do umiarkowania w wybieraniu delegatów, przeszli więc także niemal wszyscy „twardzi” i „betonowi”, odpadł za to atakowany chórem przez przeróżne jacejki, „forumy”, „Grunwaldy” Stefan Bratkowski. Kani list sowiecki i jego opublikowanie przysłużyły się więc bardzo, boć tylko on i Jaruzelski byli tam wymienieni z nazwiska, a jak kogoś Sowietnicy krytykują, to jest dobry, bez względu na wszystko inne. Jeszcze bardziej przysłużył mu się

Tadeusz Grabski swym nieopanowanym atakiem — myślał pewno, że to już interwencja w takiej czy innej postaci. Znacznie roztrośniejszy okazał się Olszowski — nabrał wody w usta, odłączył się od „partyjnej Targowicy” (jakżeż powtarza się w nowych formach stara historia: toć list KPZS do Kani to jak listy carowej Katarzyny do Stanisława Augusta) i w ostatniej chwili — ocalił swą polityczną głowę. Prawie wszyscy zatem znaleźli się wśród delegatów, co potwierdzało reprezentatywność Zjazdu, ale przy wyborach do Biura — istna rzeźnia! Tylko czterech starych się ocaliło: Kania, Barcikowski, Jaruzelski, Olszowski. Mam teorię, że odpadli ci wszyscy, co w ostatnim roku za dużo mówili: i Grabski i Moczar i dziwny Kociołek i rezoner Fiszbach i beztreściowo nadęty Jabłoński i Dąbrowa co poszedł na lewo i Zabiński co na prawo (choć gdzie teraz lewo a gdzie prawo?) i negocjator Jagielski i kunktator Kępa i nawet złotousty Rakowski, który chcąc się podobać i tym i tamtym, w rezultacie wszystkich podrażnił.

No dobrze, ale kto wygrał i po co? Prasa zachodnia zachętuje się z radości, że Stanisław Kania, i że jego rozgrywka to był „majstersztyk” taktyki i psychologii. Może tak, a może tak mu po prostu wyszło, brak wszakże ludzi w Partii, nie wiadomo, czym jest dzisiaj ta Partia, czy tylko pokrywką reprezentacyjną dla Rosjan? Owszem, Kania psycholog pozwolił się wszystkim wygadać o nędzy i niedemokratyczności, pomógł też zwalić wszystko na poprzednią ekipę, choć sam w niej uczestniczył, co i źle i dobrze, bo jednak gwarantuje ciągłość dynastyczną, ważną dla Rusów, nie lubiących zbyt radykalnej zmiany pokoleń. Partia całkiem niedemokratyczna rządzić by nie mogła, partia całkiem demokratyczna także nie (tu błąd taktyczny Bratkowskiego), poszli więc za Kanią rzekomym środkiem. Ale czy powstałe Biurowe Ciało ma oblicze, i jakie właściwie, od groteskowego demagoga Siwaka (zwią go w Warszawie Falconettim — to jedna z ciemnych postaci amerykańskiego serialu „Biedni i bogaci”) po demokratycznego Łabęckiego, co to za Biuro z beztwarzowymi profesorami, a także z zagranicznym Czyrkiem i wewnętrznym Milewskim? Kto tam właściwie będzie rządził? Kania pozostał tajemniczy, jego program działania i gospodarzenia również. A co z ową nieszczęsną gospodarką? Czy ekipa generałów dobra jest na nędzę i spekulację, czy „Solidarność” pójdzie na reformy, które przyniosą robotnikom prawo decyzji i... ciężkie życie? Związkowy projekt ustawy o przedsiębiorstwach społecznych świadczyłby, że tak, tyle że herbata od samego mieszania słodsza się nie robi, a cukru nie ma skąd dosypać. A czy wieś da sobie radę? A kogo i z jakim skutkiem Rosjanie wykreują na wroga ludu i agenta amerykańskiego? Moczulskiego, KOR-owców, Bratkowskiego? I czy głód pokona wszystkich, uspokoi lub zaogni, wywoła rezygnację lub rozwścieczy? I kiedy po Rewolucji przyjdzie Dyrektoriat a potem Bonapartyzm?

Długo to potrwa, och jak długo! „Zabić nas nie zabiją, ale zanutzić na śmierć mogą” — powiedział ktoś. Redaktor Gie-

droyc, obok zarzutu, że nie chcę być politykiem, a tylko innych podmawiam, wyrzucał mi jeszcze, że ciągle żartuję... Ale żarty to maska ochronna. Trzeba ją nosić w ciekawych czasach. W wielkich czasach. W zawiłych czasach. W perfidnych czasach. A także, by ukryć zażenowanie, że nie umie się rozwiązać równania z wieloma niewiadomymi. Zwłaszcza siedząc w Paryżu.

A zatem — próbujcie sami!

KISIEL

— NOWOŚCI WYDAWNICZE —

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 322 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

SKRYTKI

Nowa powieść autorki
„Baśki i Barbary”

i innych książek, które zapewniły jej wysokie miejsce
w literaturze emigracyjnej.

Str. 200.

Cena F. 55,00.

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

TOM 335 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

(1978 - 1979)

Zapisy pamiętnikarskie o charakterze osobistym na tle
wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 256.

Cena F. 75,00.

Książki

Cztery Czerwce

(ZAMIAST RECENZJI Z KSIĄŻKI
„POZNAŃSKI CZERWIEC 1956”)

1.

Miałem wtedy niecałe dziesięć lat. Choć „Czarny Czwartek” — 28 czerwca 1956 — spędziłem głównie w domu, widziałem i słyszałem wiele z tego, co się wokół działo. Trudno byłoby zresztą nie widzieć i nie słyszeć: nasz dom na Kościuszki (za rogiem Libelta) stał w samym centrum poznańskich wydarzeń, w środku trójkąta wyznaczanego przez Plac Stalina (gdzie odbyła się manifestacja), ulicę Kochanowskiego (gdzie oblegano budynek UB) i Młyńską (gdzie odbito więźniów). Słychać było strzały. Z naszego balkonu widzieliśmy czołgi, nadszczególnie ulicą Nowowiejskiego. Z okna — cywilów z karabinami, przemykających się po dachach przeciwległej kamienicy. Jakaś zabłąkana kula trafiła w szybę piętrową wyżej i omal nie zabiła sąsiadki.

Wieczorem rodzice przykazali surowo nam z siostrą, abyśmy nie wychodzili i nie zbliżaliśmy się do okien. Sami musieli wyjść, wezwani jako lekarze do pomocy przez jeden ze szpitali. Wrócili rano. Wtedy dopiero wymknąłem się z domu — niby po gazetę, ale głównie z ciekawości. I chyba wtedy dowiedziałem się od kogoś z sąsiadów, że Romek Strzałkowski z naszego podwórka (starszy ode mnie o 3 lata chłopak, który mieszkał pod numerem bodaj 104) nie żyje. Zginął od kuli.

W porannym słońcu ulica Libelta była pusta: tylko pod zamkniętym kioskiem z gazetami czerniała długa kolejka. Ludzie milczeli posępnie. Zawróciłem. Na rogu Kościuszki przyłączyłem się do małego tłumku, obserwującego, jak dwaj mundurowi milicjanci usiłują niezgrabnie, jakimś przypadkowym narzędziem — śrubokrętem czy dłutkiem — wyciąć ulotkę z ręcznym pismem, którą ktoś przykleił do grubej skóry słupa ogłoszeniowego. Pa-

miętał dokładnie, co wtedy myślałem: zastanowiło mnie właśnie to humorystycznie niedostosowane do swego celu narzędzie. Wszystko, co się zdarzyło poprzedniego dnia, zdarzyło się po raz pierwszy — również ta ulotka zaskoczyła milicjantów, nie mogli sobie z nią poradzić, nie mieli odpowiedniego przygotowania ani ekwipunku.

2.

Czy była w tym jakaś złośliwa symetria Historii, że premier Jaroszewicz zarządził swoją sławetną podwyżkę cen (potulnie zaaprobowaną przez Sejm, a nazajutrz również potulnie odwołaną) prawie dokładnie w dwudziestą rocznicę poznańskiego „Czarnego Czwartku”? W czerwcu 1976 miałem prawie trzydzieści lat i rodzinę na karku, ale mieszkaliśmy wciąż jeszcze u rodziców, w tym samym domu na Kościuszki za rogiem Libelta. Wierchołki trójkąta obrosły tymczasem nowymi znaczeniami. Na dawnym Placu Stalina, późniejszym Mickiewicza, ja sam w Marcu 1968 brałem udział w manifestacji i uciekałem przed milicją (tym razem nie zaskoczona przebiegiem wypadków i odpowiednio wyekwipowana — w potężne pałki zwane „bojowymi”). Na Kochanowskiego byłem po Marcu parokrotnie przesłuchiwany przez ubeków, którzy mimo przykrych wspomnień sprzed dwunastu lat nie zmienili swojej siedziby. Tylko z więzieniem na Młyńskiej nie miałem jeszcze styczności, ale przechodząc obok niego w późniejszych latach niejednokrotnie, śledziłem jego modernizację i rozbudowę, postępującą żwawo mimo ogólnych trudności gospodarczych.

Między jednym a drugim Czerwcem był więc i Marzec, i Grudzień: doświadczenia, po których ani czerwcowo podwyżka, ani bezsilny bunt Radomia i Ursusa nie mogły już być tak zupełnym zaskoczeniem. Tworzył się pewien, przygębajający swą powtarzalnością, model politycznych zachowań po jednej i po drugiej stronie barykady. Mieściły się w tym modelu i wiece, na które pędzono ludzi z fabryk i biur, aby zmanifestowali poparcie dla akcji „dać odpór warchołom”. Z całego tego Drugiego Czerwca najbardziej wrył mi się w pamięć widok tłumu ludzi w białych koszulach (był upał), wylewającego się z biur i urzędów śródmieścia Poznania i ciągnącego dokąd? — oczywiście na wciąż ten sam Plac Mickiewicza, gdzie miał się odbyć oficjalny wiec. Wyszedłem akurat z domu na Kościuszki, aby stanąć w jakiejś krochmalonych pielęgniarek, które miały widocznie reprezentować urzędniczych koszuł. Gdzieś w tłumie mignęła mi grupka wykrochmalonych pielęgniarek, które miały widocznie reprezentować na wiecu swoją grupę zawodową. Niektórzy z manifestantów nieśli „spontanicznie przygotowane” flagi i transparenty. Ci wyglądali najżałośniej. Zapamiętałem zwłaszcza pocącego się, rosnącego grubasa w średnim wieku, który dźwigał pod pachą szturmówkę z wymuszoną nonszalancją znamionną dla uczestni-

ków pochodów pierwszomajowych. „Dźwigam, bo mi kazali, i oczywiście uważam to za idiotyczny cyrk, ale w gruncie rzeczy jestem wyższy ponad to” — mówiła mi nieobecna mina grubasa i jego sztucznie swobodny krok.

Nazajutrz w miejscowej gazecie partyjnej można było oglądać coś zadziwiającego: panoramiczne zdjęcie z manifestacji, na którym metodą prymitywnego fotomontażu (jego śladów nawet nie starano się zatrzeć) wypełniony białymi koszulami plac Mickiewicza został poszerzony o jedną trzecią. Dzięki temu manifestacja poparcia narodu dla podwyżki cen, dla posłusznego Sejmu i dla milicyjnych „ścieżek zdrowia” wypadła na gazetowym papierze jeszcze okazalej niż w rzeczywistości.

3.

W czerwcu roku 1980 byłem starszy o cztery lata, jedno dziecko i kilka przymusowych wizyt na ulicy Kochanowskiego. Tego roku koniec czerwca był deszczowy. W niedzielny poranek wyszedłem z domu z parasolem, zapowiadając rodzinie, że wrócę albo za dwie godziny albo za dwie doby. Garstka moich poznańskich przyjaciół postanowiła w 24 rocznicę wydarzeń zamówić mszę na intencję poległych: a jakkolwiek w moim ostrożnym mieście tzw. opozycja demokratyczna składała się z nie więcej niż kilkunastu osób, ludzie z ulicy Kochanowskiego mogli uznać nawet taką grupkę za zbiegowisko i rozproszyć to ostatnie przy pomocy zatrzymania uczestników na 48 godzin. Takie rzeczy zdarzały się i nikogo nie dziwiły.

Kościół na Grunwaldzkiej okazał się pełny, ale w tłumie odświętnie ubranych poznaniaków, którzy przyszedli po prostu na niedzielną mszę, z trudem wyłowiliśmy parę twarzy znajomych działaczy opozycji. Samych tajniaków — też znajomych z rozmaitych przesłuchań i zatrzymań — było chyba ze dwa razy więcej. W kazaniu księdza mało kto chyba dosłyszał jedno bezbarwne zdanie, powiadające w wyważonych słowach o intencji mszy. Gdy tłum wylał się na zewnątrz, padał rześisty deszcz. Zebrałiśmy się pod parasolami: było nas nie więcej niż dziesięciu. I w tej wilgotnej szarości, rozczarowaniu i osamotnieniu zrobiliśmy jedną rzecz, która jeszcze pozostała do zrobienia, która była w stanie nadać temu dniowi jakiś sens: pojechaliliśmy na cmentarz złożyć kwiaty na grobie Romka Strzałkowskiego.

Ciągnąc za sobą orszak tajniaków, błakaliśmy się po rozległym cmentarzu na Junikowie, usiłując w lejącym wciąż deszczu odnaleźć grób. Nareszcie jakiś dozorca wskazał nam kierunek. Ktoś stał już nad grobem: starszy, zgarbiony pod parasolem mężczyzna. Kiedy złożyliśmy kwiaty i odśpiewali „Jeszcze Polska”, starszy pan podniósł na nas wzrok i, wyraźnie poruszony, wymówił kilka słów podziękowania. Był to Jan Strzałkowski — ojciec Romka. Dziś już, jak słyszę, nie żyje. Nie doczekał następnego czerwca, kiedy to jedną z ulic w Poznaniu nazwano imie-

niem jego syna — kiedy kwiaty na grobie zamordowanego chłopca składało już nie dziesięciu ludzi, lecz tysiące.

4.

Jest rok 1981; rocznicę Czerwca obchodziłem po raz pierwszy nie w Poznaniu, lecz za granicą. W chwili, gdy to piszę, jest już lipiec, siedzę w harvardzkiej Widener Library i zamiast korzystać z milionów zgromadzonych tu tomów, mam przed sobą książkę przyslaną przez przyjaciół z kraju — „Poznański Czerwiec 1956”^{*}.

Książka jest drukowana na przeraźliwie lichym papierze, ma brzydką i nietrwałą okładkę, nakład 30.000 został zapewne rozkupiony w ciągu pół dnia. Ale ważne jest, że się ukazała. Ważne z wielu względów. Mogę coś o tym powiedzieć, gdyż wyjechałem z Poznania w końcu marca — w okresie narastających przygotowań do masowych obchodów 25 rocznicy Czerwca, zażartych sporów o wybór projektu pomnika i jego usytuowanie (było pewne, że stanie na Placu Mickiewicza, domagano się jednak, zwłaszcza w środowiskach robotniczych, aby pomnik był widoczny z okien Komitetu Wojewódzkiego), gorączkowej pracy nad zebraniem i opracowaniem wspomnień, dokumentów i fotografii. Pracowali nad tym wszystkim moi przyjaciele z poznańskiej „Solidarności” (niektórzy z tych, co rok wcześniej śpiewali na cmentarzu hymn narodowy pod bacznym okiem tajniaków, dziś pełnią w „Solidarności” kluczowe funkcje). Znam z własnej obserwacji ogrom pracy, której podejmowały się bezinteresownie dziesiątki ludzi — wśród nich dwoje moich starszych kolegów i przyjaciół z poznańskiej polonistyki, prof. Jarosław Maciejewski i doc. Zofia Trojanowicz, którzy opracowali „Poznański Czerwiec 1956”. Wiem też — już z późniejszych relacji — jak wyglądały uroczystości odsłonięcia pomnika, jakie przemówienia wygłoszono, jak ogromne tłumy wypełniły Plac Mickiewicza, ten sam plac, pamiętny z robotniczych i studenckich demonstracji ale i z niesławnego wiecu sprzed pięciu lat. Teraz mam przed sobą jeden z trwałych śladów, jakie pozostały po obchodach: książkę. Szkoda, że nie mogę oglądać również nowych tabliczek z nazwami ulic: Romka Strzałkowskiego i 28 Czerwca; ta ostatnia, nie przypadkowo chyba, zastąpiła tabliczkę z napisem „Felixsa Dzierżyńskiego”.

Poznań obudził się, ośmielił, przypomniał sobie, że przecież to od niego się zaczęło. „Stąd po raz pierwszy upomniano się o prawo do ludzkiej godności” — głosi dziś tablica pamiątkowa, wmurowana przed głównym wejściem do Zakładów Cegielskiego, skąd wtedy, przed ćwierćwieczem, wyruszył na miasto pochód robotników. „Czarny Czwartek” pamiętano w moim mieście do brze — ale pamiętano do tej pory raczej jako groźną przestrożę.

^{*} *Poznański Czerwiec 1956*. Pod redakcją Jarosława Maciejewskiego i Zofii Trojanowiczowej. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1981, str. 348.

Często wspomnienie krwi przelanej w Czerwcu służyło tu usprawiedliwieniu oportunistów i bierności; niejedną raz sięgano po to memento, aby wytłumaczyć własnemu sumieniu, że wszelkie przejawy oporu — nie, niekoniecznie wyjście na ulicę, nieraz tylko podpis pod protestem, nieraz tylko niepodniesienie ręki w głosowaniu — nieuchronnie pociągają za sobą bezwzględne represje. Przyznam się: nie lubiłem w tych latach swojego rodzinnego miasta. Sławna poznańska ostrożność, z którą tyle razy się zetknąłem, obca była temu, co pamiętałem z Pierwszego Czerwca — kojarzyła mi się raczej z upokorzeniem Drugiego i beznadzieją Trzeciego. Z owym grubasem, śpieszącym ze szturmówką na wiec. Z owym obojętnym niedzielnym tłumem, który nie podążył za nami na cmentarz i po którym, co najsmutniejsze, nikt z nas nawet się nie spodziewał odruchu solidarności.

Rok temu wszystko to nagle się odmieniło. Odmieniła się zresztą i cała Polska. Sierpniowe strajki i ich zdobycze przekonały ludzi, że pozorne szaleństwo okazuje się nieraz najwyższą formą rozwagi, że to, co zdaje się niemożliwe i skazane na porażkę, bywa niekiedy jedynym wyjściem. Sukces bezkrwawej rewolucji obudził pamięć o rewolucjach krwawych i przegranych: skądinąd znowu jakaś złośliwa (dla rządzących) symetryczność Historii sprawiła, że mieliśmy w tym roku same okrągłe rocznice robotniczych powstań — dziesiątą rocznicę Grudnia, piątą — radomskiego Czerwca, dwudziestą piątą — Czerwca poznańskiego. Stąd i wskrzeszona pamięć o „Czarnym Czwartku”. Już od wczesnej jesieni zeszłego roku rozpoczęto w Poznaniu gromadzić materiały, dokumenty i wspomnienia, odszukiwać ludzi, którzy — jak przywódca robotników „Cegielskiego” Stanisław Matyja — żyli przez lata w zapomnieniu, wyciągać z szuflad fotografie, robione wtedy, w 1956, z narażeniem życia, z okien, w które w każdej chwili mogły trafić pociski. Książka „Poznański Czerwiec 1956” udostępnia z konieczności zaledwie niewielką część materiałów, które w ten sposób zebrano.

Poza poruszającymi, przeważnie zupełnie dotąd nie znanymi zdjęciami książka zawiera jakby trzy rodzaje głosów na temat Czerwca. Przede wszystkim wspomnienia naocznych świadków i uczestników wydarzeń: robotniczego przywódcy („Oskarżono mnie, że przygotowywałem zamach stanu, że rozdawałem dolary ludziom, aby wyszli na ulicę, współpracowałem z podziemiem i zagranicą”), ranionego zbłąkaną kulą obserwatora wypadków — poznańskiego pisarza („Lekarz powiedział, żebym czym prędzej wyniósł się do domu, bo tu chodzą i spisują wszystkich rannych”), urzędnika pracującego na odbywających się wtedy Targach Poznańskich („Odgłosy strzałów były wyraźnie słyszalne na terenie Targów... w godzinach popołudniowych od strony ul. Grunwaldzkiej weszła na teren targów grupa manifestantów ze skrwawionym sztandarem narodowym”), paru osób uczestniczących w wydarzeniach przed gmachem UB („Staliśmy, a UB zaczęło do nas strzelać... przy mnie została zastrzelona jakaś robotnica, na moich oczach... chłopczyk, może miał 11 lat, taki

ciemny blondynek, i on też został zabity”), lekarzy i pielęgniarki opatrujących rannych w strzelaninie („Zabitych umieszczono w dwóch kostnicach... następnego dnia dowiedziałam się o poleceniu premiera Cyrankiewicza, nakazującym bezwzględne usunięcie wszystkich zwłok”), wdowy po zabitym („UB zagroziło, że jeśli się nie uspokoję, to pochowają męża beze mnie... od państwa otrzymałam 600 zł renty na troje dzieci”).

Drugi rodzaj świadectw stanowią dokumenty: głosy ówczesnej prasy („Od pewnego czasu agentura imperialistyczna i reakcyjne podziemie starały się wykorzystać trudności ekonomiczne i błądki w niektórych zakładach Poznania dla sprowokowania wystąpień przeciwko władzy ludowej”), osławione przemówienie Cyrankiewicza („Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie”), fragment referatu Ochaba z VII Plenum, listy jednego z uwięzionych uczestników wydarzeń, zeznania biegłych i mowy obrońców z „procesów poznańskich”, przemówienie Gomułki z VII Plenum, wreszcie — dwa dokumenty już popaździernikowe: „postanowienie o nieuwzględnieniu zażalenia” w sprawie pobicia przez milicję oraz list Jana Strzałkowskiego do Prokuratury Generalnej w sprawie okoliczności śmierci jego syna.

I wreszcie trzecia — choć w książce umieszczona na wstępie — część, trzeci rodzaj spojrzenia na historię: dążące do obiektywizmu spojrzenie historyków, usiłujących z perspektywy czasu uporządkować fakty, ustalić, wbrew kłamliwym relacjom oficjalnej historiografii a w zgodzie z klasycznym przykazaniem Rankego, „jak to naprawdę było”. Nie zawsze zresztą jest o ten obiektywizm łatwo: niektórzy z piszących przeżywali w swoim czasie Czerwiec w sposób czynny, ustawieni po tej czy po tamtej stronie barykady (socjolog Władysław Markiewicz był np. w 1956 członkiem poznańskiego KW). Wymowa samych faktów, których się dokopano — chronologia wydarzeń, lista zabitych (siedemdziesięciu czterech — w wieku lat 18, 25, 16, 22, 15, 13...), opis okoliczności towarzyszących aresztowaniom i procesom — jest jednak wstrząsająca. Wiele pytań — zwłaszcza dotyczących koordynacji wydarzeń, ewentualnego wcześniejszego przygotowania manifestacji, mechanizmów jej masowego poparcia przez ludność itd. — pozostaje nadal bez odpowiedzi. Jedno natomiast jest pewne: od dawna upadła nie tylko prymitywna teoria agenturalnego spisku, ale nawet popaździernikowa teoria „dwu nurtów” obecnych rzekomo w wydarzeniach (nurt agenturalnej prowokacji i nurt „słusznego, choć sprowadzonego na złą drogę” protestu robotniczego). Poznański Czerwiec był spontanicznym odruchem społeczeństwa, które — raz jeszcze zacytujmy dzisiejszą tablicę pamiątkową — upomniało się o prawo do ludzkiej godności. Nie przypadkowo na gmachu Komitetu Wojewódzkiego partii demonstranci zawiesili — obok siebie i na równych prawach, jak pokazuje ocalała fotografia — dwa hasła: „Chleba” i „Wolności”.

Trzeba było ćwierć wieku, aby sterroryzowani, przytłoczeni

pamięcią o przelanej krwi mieszkańcy mojego miasta przypomnieli sobie — tak naprawdę, otwarcie i w masowej skali — co znaczy ludzka wolność i ludzka godność. Trwało to długo. Ale trudno nie zrozumieć ludzi, którym tak brutalnie wydarto ich wolność, których godność tak sponiewierano. Oby już nigdy nie pozwolili sobie odebrać tego, co dziś własnym wysiłkiem odzyskują.

Stanisław BARAŃCZAK

Cambridge, Mass., lipiec 1981

Oficina Poetów i Malarzy

PROZA

1. Książki Franciszka Gonczyńskiego¹ przynoszą wstyd wy dawnictwu. *Oficina* nie jest panną na wydaniu, ale wydaje się że warto dbać o dobre, stare cnoty. Autor tych głupot nie ponosi winy: ma swoje hobby, czy manię, a jest nią historia starożytna. Napisał dwa długie szkolne wypracowania, spisał wszystko co wiedział. Nie są to książki naukowe i nie o to chodzi. *Faraon* Prusa też nie był książką naukową. Wolno autorowi pisać tak, jakby mieszkał razem z Hatszepsut, obcował na co dzień z Mahometem i w ogóle był świadkiem wszystkich opisanych wydarzeń. Nie proszę o dokładność historyczną czy wątpliwości tam, gdzie archeolodzy i historycy nie wszystko jeszcze ustalili. Ani nawet o mały słownik wyrazów egipskich, perskich i innych. Nędma umysłowa tych tekstów jest przerażająca, ale jeszcze bardziej przerażający jest język. Nie pojmuję, jak wydawca może, po wydaniu tych książek, spojrzeć autorowi (i ewentualnemu czytelnikowi) w oczy i żadne względy ludzkie czy finansowe nie mogą być brane tu pod uwagę. Nawet jeśli wkład finansowy Gonczyńskiego w wydanie własnych książek umożliwił potem *Oficynie* — w co wątpię — wydanie arcydzieła! A jeśli Gonczyńskiego stać na wydanie dwóch książek w jednym roku, to powinno go było stać na opłacenie dobrej duszy, która przejrzałaby maszynopis i poprawiła karygodne błędy językowe. Stylu nie da się poprawić. Jest to oryginalny, własny styl Gonczyńskiego.

1. Franciszek Gonczyński, *Hatszepsut*, Londyn 1980, str. 110 i *Vayn nad Parsą*, str. 125.

Hatszepsut, jedna z ciekawszych władczyń Egiptu, panowała w latach 1503-1482; to nie jest informacja z książki, Gonczyński nie dba o takie detale. Zastępną m.in. z wyprawy handlowej do Punt (u Gonczyńskiego dokładny opis, ale brak informacji, że Punt to najprawdopodobniej Somalia). Współcześni badacze ustalili, że Hatszepsut była żoną i siostrą Totmesa II, wcześniej, że prawdopodobnie była najpierw żoną Totmesa II, potem III, swoich przyrodnich braci. Gonczyński informuje czytelnika bez wahania, że była żoną Tutmoziisa (niepoprawna grecka wersja) III, córką z nieprawego łoża kapłana Menechryta i przydziela jej kilku kochanków, których imiona zaczynają się na S, jak Semet i Szeszhat, ale żaden nie jest historyczną postacią, Senmutem, kanclerzem, kochankiem, wychowawcą dzieci Hatszepsut i architektem dworskim, projektantem słynnej świątyni-grobowca w Deir el-Bahari (przebieg budowy i motywację psychologiczną Hatszepsut znajdziemy u Gonczyńskiego).

Dawny świat zaludniony był przez ludy solennie ze sobą mieszcane i tych w książce nie brak. Gonczyński ma tu swoich pupili. Filistynów na przykład: „Na ziemiach późniejszej Fenicji, gdzie od półtora tysiąca lat żyje plemię babilońskie Chna, przymorskie ziemie napadli Filistyni, lud wojowniczy z Erebosu, pochodzenia sarmackiego, zmieszany od wieków z ludami Hellady. (...) Filistyni unieszkodliwiali współzawodnictwo ludów semickich w handlu, bowiem handel stanowił źródło dobrobytu ludów morskich” (str. 26). A jak wyglądali? Byli „...białoskórzy, rudawi o kasztanowatych oczach...”. Droga żmudnych poszukiwań udało mi się ustalić, że Filistyńczycy (Palestyńczycy) zamieszkiwali od około roku 1200 p.n.e. południowo-zachodnią Palestynę. Ich „sarmackość” jest dość wątpliwa do dzisiejszego dnia. Erebosu, skąd rzekomo pochodzili, nie udało mi się zidentyfikować. Owszem, Erebos to w greckiej mitologii miejsce podziemne przez które śmierć przechodziła w drodze do Hadesu. Niejasna jest także sprawa wielkiej wyspy (u Gonczyńskiego bez nazwy, ale z tekstu wynika, że leży w pobliżu Krety), którą zamieszkiwali Pelagowie („...lud rośli, jasnowłosy, niebieskooki, łagodnego usposobienia...”, str. 59). Historycy napomykają, że istniał taki lud prehistoryczny, który podobno zamieszkiwał także greckie wyspy, ale nic nie wskazuje na to, że te wyspy leżały w sąsiedztwie Krety (wyspa Pelagonisi, dawniej Polyaeos, leży w północnych Sporadach, daleko od Krety, liczy 24 km²). Gonczyński pisze w czasie teraźniejszym: „Pelagów cechuje w handlu uczciwość, nie znają niedomówień. Zawody nieuczciwości spotkają ich ze strony Kreteńczyków, uprawiających żywy handel z ludem semickim Chna...” (str. 59-60). Jesteśmy w domu! I tak do końca książki, do śmierci wyuzdanej Hatszepsut, która kochała wieśniaków i dała wolność niewolnikom (Gonczyński jest po stronie wyżyskiwanych). Gorzej z drugą książką, pierwsza przynajmniej miała bohaterkę, wokół której koncentrowała się paniczna akcja. Akcja drugiej książki toczy się w Iranie, od Abrahama poprzez Mahometa (który tu nazywa się inaczej, ale

i Mekka nazywa się Makka). Na niewielu stronach spisanych stylem telegraficznym lecz barwnym, poznajemy historię Persji, Bizancjum, Rzymu, Arabów, wszystkie możliwe odcienie wyznań religijnych, wojny, przyrodziewek, jedzenie. Haremy! Do ostatniej linijki nie wiadomo jednak, co to jest ów tytułowy Vayn (może ptak, który w ostatnim zdaniu „... rozpościera swe mgliste skrzydła...” nad zgłiszczami kolejnej dynastii). Podobnie niejasna jest sprawa z Parsą (albo Parsem; Goczyński odmienia tę nazwę swobodnie, raz w rodzaju męskim, raz w żeńskim). Wedle książki winna to być stolica Iranu. Ale tak prawdopodobnie nazywała się część Iranu, późniejsza Persja. Zaś Parsowie to Persowie, wyznawcy mazdaizmu, którzy nigdy nie przeszli na Islam.

Na dobrego Polaka czeka smaczny kąsek na stronie 67: „Najwierniejsi i najbitniejsi legionieści to wychowankowie *schola barbarorum*, pochodzący spośród szczepów Sarmacji a i cesarz Justynian I był pochodzenia sarmackiego, prawdopodobnie ze szczepu Polan, gdyż cechowała go sprawność administracyjna, systematyczność, strategia wojskowa i polityczna”. *No comments!* Chciałam tylko dodać, że Justinus I był analfabetą, synem chłopskim z Tracji albo Ilirii, rządził między rokiem 518-527. Jego bratanek Justinian objął po nim władzę i to on jest autorem słynnego kodeksu.

Obydwie książki przeczytałam.

2. *Bywajcie, wiara!*² nie należy do gatunku literatury pięknej czy dokumentalnej, lecz do gatunku literatury wzruszającej. W podtytule książka określona została jako powieść i żeby „fikcyjność” — ten rzekomy filar powieści — wzmocnić, opatrzona formalnym zastrzeżeniem autora, że „... wszelkie podobieństwa czy zbieżności...” są czysto przypadkowe. Najbardziej wzruszają w tej książce okładka — wdzięczna secesyjna winieta „rysowana przez Ojca Autora w 1910 r.” i życiorys autora na jej odwrocie, wraz z krótką historią rodziny.

Zawsze kapituluję przed takimi życiorysami; ścskąją mnie za gardło i okresowo uważam, że ludzie obarczeni nimi mają prawo do wszystkiego, także do pisania i wydawania książek. *Bywajcie, wiara!* toczy się, jak podaje autor, w Niemczech Zachodnich, jesienią 1974. Narrator przeszedł właśnie na emeryturę, spotkała go niewdzięczność i jest rozgoryczony. Z „trzymania się” uczynił filozofię życia. Dzień składa się z punktów do wypełnienia i ma to swój smutny sens. Dorobił się domu, w którym stoi puste mieszkanie, które pragnie komuś wynająć, i ładnego ogródka. Nie rozumiem tylko co robią tu ci wszyscy Polacy z narratorem włącznie. Na czym polega ich praca? W książce mowa jest o jednostce wojskowej czy paramilitarnej. W tej sprawie nic się do końca nie wyjaśni. Akcja książki toczy się wokół niejakiego Wasika, kolegi narratora, połączenie psychicznego inwa-

2. Józef Janin, *Bywajcie, wiara!*, Londyn 1981, str. 116.

lidztwa spowodowanego wojną i tułaczką ze smutno-chamskim sprytem. Narrator daje czytelnikowi do zrozumienia, że poziomem umysłowym przewyższa swoich kompanów (i na pewno ma rację), podkreśla swoją uczynność i dobrą wolę. W „jednostce” był kimś ważnym, ale nie powie nam jaką spełniał funkcję. Ukrywa także historię swojego życia, podkreślając, że nie chce się rozklejać. Wypożycza wolne mieszkanie Wasikowi, jedzą sobie codziennie kartofle, Wasik wprowadza go w swoją skomplikowaną historię rodzinną, potem sprowadza mu na kark trójkę strasznych dzieci, w końcu wyprowadza się, aby zamieszkać z innym kolegą. Wpada w alkoholizm i stacza się na dno. Narrator zostaje ze swoim ogródkiem, samotnością, pozornie zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Na końcu książki żegna się z Popłotkowem — tak nazywa swoich kolegów z owej tajemniczej, skoszarowanej Polonii.

Jest to historia biednych ludzi: w młodości żołnierzy lub więźniów niemieckich obozów, po wojnie pędzonych z miejsca na miejsce. W któryś z tych miejsc przycupnęli i zostali do końca życia, z poczuciem że dawno temu złożyli z siebie ofiarę, za którą nikt im nigdy nie potrafi zapłacić.

3. Niewielka książeczka pod tytułem *Autobiografie*³ jest dość nietypowa dla tego nie najlepszego wydawniczego plonu. Podpisana przez dwóch autorów, ale naprawdę napisał ją młody, pojedynczy emigrant z Warszawy, „rocznik 68”, mieszkający w Kopenhadze. *Autobiografie*, rodzaj alegorii na temat rozdwojenia osobowości, są z ałażką i książką, którą autor kiedyś powinien napisać. Fikcja rozdwojenia na dwie różne gatunkowo połowy jest niepotrzebna. Niepotrzebna jest cała alegoria i wlokąca się za nią poetycka podniosłość (niewystarczająco tuszowana ironią) i wszystkie niemal przypisy (z wyjątkiem kilku, które są dowcipne). Niepotrzebne są listy Jana do Bronisława i Bronisława do Jana. Wewnętrzny dialog wystarczyłby z powodzeniem.

Wygrywa gorsza połowa: Jan Świderski, konformista z Polski, konformista w Danii. Zbrodnia konformizmu polega na złożeniu podania o duńskie obywatelstwo, pochwale skandynawskiej demokracji i zaparciu się Bronisława. Zanim jednak do tego dojdzie, otrzymamy sporo trafnych obrazów z życia syna „szanowanego stalinowca”, oddanego partii z przekonania, głupoty i strachu. (Tutaj parę dobrych, groteskowych scen). Radziłabym Janowi, żeby połączył się z Bronisławem (to rozszczepienie to czysta dziecinada), żeby zrezygnował z poetyckich metafor i wszelkiej alegorii i napisał książkę od nowa. Książkę wypiehną konkretnymi, trochę w tym stylu jak radził mu prozaiczny Duńczyk, Knudsen. Książkę o zderzeniu Marca 68 z dzieciństwem, młodością i partyjnym domem. Książkę o perypetiach tego nieukształtowanego, okaleczonego (ale wcale nie rozdwojonego) „ja”

3. Jan i Bronisław Świderski, *Autobiografie*, Londyn 1981, str. 62.

w zderzeniu ze schizofreniczną duńską demokracją i bezlitosną *Gemütlichkeit*. Jest w *Autobiografiach* sporo trafnych spostrzeżeń i nie brak błyskotliwych stwierdzeń. Są stronicie stylistycznie czyste, sceny o dużej sile ekspresji. Nie brak smutku i nie brak wisielczego humoru. Trzeba tylko wybrać, odrzucić, scalić się i zacząć od nowa. I nie wysilać się na literackie sztuczki.

4. Pierwsza uwaga na temat książki Romualda Paporisza⁴ nie jest merytoryczna, odnosi się raczej do sposobu, w jaki Oficyna traktuje swoje książki. Niektóre — jak się wydaje — zasługują na korektę, inne na nią nie zasługują. Przy wielu nie ma to większego znaczenia; nawet najbardziej skrupulatna korekta niewiele by zmieniła. Przy innych, tej na przykład, korekta manuskryptu, poprawa drukarskich błędów, może nawet parę objaśnień w przypisach, miałyby decydujące znaczenie dla treści i odbioru. Można by także zachęcić autora do kilku fachowych zmian; nie mam pewności, ale mam nadzieję, że chętnie by się zgodził. Otrzymałbyśmy wtedy wstrząsającą i interesująco napisaną książkę. Może nie od razu opowiadania oświęcimskie Borowskiego, ale na pewno uczciwy, plastyczny i szczegółowy dokument. Istnieją błędy drukarskie, których zapewne nie da się uniknąć. Mogę się zgodzić z tym, że *diabli* pisze się przez *j*, że wyrazy przenoszone są nagminnie z jednej linijki do drugiej bez dzielącej je kreski, że *koszmar* zamienił się w *kaszmar*, ale dostają oczopląsu, kiedy cztery razy pod rząd czytam słowo *kożuch* napisane przez rz. *Korzuch!* Co oczywiście też nie należy do meritum sprawy.

Książka Paporisza nosi podtytuł *Strzępy dziennika*. Nie wiem, czy jest on szczęśliwy, nic nie wskazuje na to, że autor, w warunkach w jakich przeżył wojnę, mógł spisywać dziennik. Ale mniejsza z tym. Książka jest pamiętnikiem napisanym po wojnie, z epilogiem dołączonym już po wyjeździe z Polski. Historia małżeństwa, Romana i Nusi, które spędziło okupację częściowo w Wilnie, częściowo w obozie koncentracyjnym w Tarnopolu, do którego zgłosili się dobrowolnie (większa szansa przeżycia!) po likwidacji (wileńskiego, tarnopolskiego?) getta. Przyznam że wstydem, że nic o obozie w Tarnopolu nie wiem. Słyszałam o Sobiborze, ale nazwa ta w książce nie pada. Na końcu, w epilogu, autor streszcza to, co napisał. Jest to rodzaj skróconego pamiętnika dla syna urodzonego w bunkrze w ostatnich dniach wojny. Paporisz tak zaczyna swoje podsumowanie: „Ten list zaczęty w szóstym roku Twego życia, próbuję zakończyć w dwanaście lat później. Zaczęłam go pisać w Warszawie, a dziś kontynuuję w państwie dalekim o tysiące kilometrów od Polski, a tak małym, że zakłopotany kartograf, nie mogąc zmieścić jego nazwiska na nikłej plamce stałego lądu, zmuszony był ją wypisać obok na morzu”.

4. Romuald Paporisz, *Dokąd?*, Londyn 1981, str. 159.

Papiroszowie nie byli Żydami, wywodzili się ze szlachty. Żydów zrobiono z nich w roku 1956 lub 1968. Matka autora zginęła w Bełżcu. On sam twierdzi — jakby jeszcze ciągle osłupiały ze zdumienia — że jego rodzina wywodzi się od biskupa Ragera z Sewilli, który uciekł przed Inkwizycją do Francji. Nie wiem. W ogóle nie wiem, jak można wywodzić się od katolickiego biskupa. Nie jest wykluczone, że biskup był maranem i władze polskie w końcu miały rację. Paporisz pracował przed wojną w radiu, zaś tuż po wojnie w pierwszej polskiej radiostacji w Lublinie (razem z Józefem Henem). Tuż do wyjazdu pracował w radiu w Warszawie, jednak nie pisze, czym się tam zajmował. Ale w końcu nie o tym jest ta książka, ale o próbie przeżycia dwojga ludzi, o próbie przeżycia piekła, w ustawicznej walce także z pokusą, aby nie zażyć starannie ukrytego cjankali. Jest to książka o życiu codziennym i świątecznym (były i takie, straszne!) w *Judenlager Tarnopol*, książka o Niemcach, Ukraińcach, Rusinach i renegacie, komendancie obozu, Rokicie. *Dokąd?* jest jedną z niewielu książek napisanych na emigracji, która pomimo tematu i czasu jaki obejmuje nie jest książką polityczną. Jest to chyba także jedna z niewielu książek napisanych przez człowieka oskarżonego o żydostwo, który podkreśla — w retrospekcyjnej części — braterstwo Hallerczyków z Żydami. I chyba także jedyna, w której partyzanci sowieccy zostali przedstawieni niezmiernie sympatycznie. Trochę mnie nawet zdumiało, że tyłu z nich — z kaukaskich republik — studiowało filozofię i rozmyślało się w Heglu. Jest, przyznam, wiele miejsc w tej książce nie całkiem dla mnie jasnych, ale przypuszczam, że to raczej z pośpiechu, aby zatrzymać pamięć, a nie ze starania, aby czegoś nie dopowiedzieć. Kto nie zna lat okupacji na Wileńszczyźnie od dnia kiedy Hitler wypowiedział wojnę Sowietom, winien tę książkę przeczytać.

WIERSZE I AFORYZMY

1. *Odrastająca pamięć*¹, z piękną, jakby symbolizującą działalność *Oficyny* ilustracją Władysława Szomańskiego [paleta malarska, zarazem twarz, przebita (lub przepożwiona) ni to piórem, ni pędzlem] jest ósmym tomikiem twórcy tego wydawnictwa. Bednarczyk jest poetą doświadczonego, poetą pracującym nad wierszem, traktującym poezję poważnie i znającym reguły sztuki. Podstawową regułą sztuki jest odrębność poetyckiej mowy. Bednarczyk wkłada wiele, niekiedy za wiele wysiłku w to, aby tę odrębność zachować i podkreślić. Rzecz nie w tym, że język jego wierszy jest napuszony (bo nie jest), czy że unika sformułowań potocznych, lub za wszelką cenę stara się być „poetycki”. Myślę, że największym mankamentem jego poezji są zbyt wiel-

1. Czesław Bednarczyk, *Odrastająca pamięć*, Londyn 1981, str. 55.

kie odległości między poszczególnymi elementami składni. Droga od podmiotu do orzeczenia najeżona jest trudnościami. Mam wrażenie, że owo oddalenie zbyt często jest sztuczne i forsowane na siłę. Stwarza to semantyczne komplikacje, które nie wydają się konieczne ani dla faktury obrazu, ani dla myśli w nim zawartej. Czytelnik patrzy na linijki raz, drugi, i — czując w obrazie sens, widząc go niejako, pragnąc go razem złożyć i przybliżyć poszczególne elementy — zaczyna przestawiać wyrazy. Nie namawiam do prostoty ani niczego w tym stylu. Ale pole kojarzeń Bednarczyka jest trudne i rozproszone. Sięga daleko poza obraz i refleksje, które otrzymujemy w wierszu. Czytelnik musi, poprzez tekst, przejść drogę do owego punktu czy źródła, gdzie rodzą się skojarzenia. I musi ów punkt odnaleźć, lub bodaj przybliżyć go sobie, aby dojść do porozumienia z autorem. Podam dwa przykłady z wiersza *Przed wstaniem*; pierwszy na zbyt wielką, zbyt sztuczną odległość, drugi na odległość dopuszczalną i poetycko celową. W wierszu mowa jest o początku dnia, o „błękitnej pustce”, która „patrzy z zaświatów” i: „Pokory uczy, straszy, obiecuje, / spokojem wabi na wyobrażone słodkie oazy / białych ogrodów od słońca z szeptem smacznego cienia”. Oszczędzę czytelnikowi składniowych wariantów, które robiłam na własny użytek. Przykład drugi, pozytywny, z tego samego wiersza: „widzę jak wypowiedaną z zielonego wzrostu / łagodny wiatr gładzi uspokojoną trawę”. Czytelnik (ja) dopowiada sobie: trawa „wypowiedana”, trawa wyczesa na przez wiatr.

Najcystsze w tym zbiorze wiersze to liryki, wiersze miłosne pisane do kobiety-towarzyszki życia. Na przykład *Przedemną równiną*, spokojny hymn na cześć bliskiego człowieka, którego obecność pozwala zaakceptować śmierć. Wiersze *Przy śniadaniu*, *Butelki*, *Dwie niewiadome*, w których wyczuwa się lekkość, trafność skrótu, precyzję, która jest owocem nie tylko przemyśleń, ale także spontaniczności. Podobnie w wierszach, w których Bednarczyk wspomina swoją żołnierską, wojenną młodość i w tematycznie pokrewnych utworach, w których daje wyraz swej tęsknocie za Polską. Skąd właśnie tytuł tomiku — *Odrastająca pamięć*.

Jednak w zbyt wielu wierszach rozgadanie, niecelowe rozbudowywanie obrazu, niezręcznie kunsztowna antropomorfizacja doznania. Na przykład w wierszu *Rada*: „Krótki ból rozłoży ręce / i w pootwieranych źrenicach / szukać będzie miejsca / do wypełnienia”.

Cykl *Marginesy*, dziesięć wierszy bez tytułów, różni się od reszty tomiku. Są to utwory oparte na okazyjnych obserwacjach, nie pozbawione humoru, złośliwości i sceptycznej mądrości, dygresyjne i wielotematowe. Opowiada w nich Bednarczyk między innymi o życiu na obczyźnie: precyzyjnie, bez patosu, z lekką autoironią, która, wiem, wiele kosztuje: „Mało tu znacze / z ziemią pod polską podeszwą, / lecz widzę życie spokojne: / codzien nie mam mleko pod drzwiami”.

Z aforyzmów, które noszą tytuł *W skrótach* wypisuję jeden,

który mi się spodobał najbardziej: „Płyn z prądem, ale sprawdź w którą stronę rzeka płynie”.

I jeszcze jedno: chył głowę przed tym człowiekiem w hołdzie dla jego działalności. Pomimo że nie wydawałabym wielu z tych książek, które On wydaje.

2. *Próby Liryczne* Cybulskiej², niezwykle ładnie wydane, to zbiór 22 wierszy, w większości prób nieudanych. Tylko trzy próby udały się naprawdę, i w nich, mam wrażenie, autorka po-grzebała swą szansę. Wiersze, choć nie wiem czy ułożone chronologicznie, sprawiają wrażenie, jakby były pisane w różnych okresach czasu. Mam nadzieję, że owe trzy należą do ostatnich.

Zbiór Cybulskiej poświęcony jest jednemu tematowi: pamięci wojny i próbie trwania na przekór tej pamięci. Rozdwojenie tak sformułowane w wierszu *Pytanie*: „Wzdłuż i wszecz wieczności / czyhamy na siebie wzajemnie / Ja — ocalały kikut / On — człowiek zamknięty we mnie”. W innym wierszu powie po prostu: „Trwam i nie żyję”.

Zaprzepaszczonego czasu cykl *Dom* złożony z trzech utworów: *Drzewo*, *Ojciec*, *Taniec*. Właśnie te wiersze, bardziej opisowe niż dramatyczne i bez krzyczących pytań, winny były stać się wzorem dla autorki, próbą zaakceptowaną. Patronuje im Herbert; słyszy się go w budowie zdania, w intonacji, w sceptycznym, smutno-jowialnym humorze, w afekcie dla przedmiotów, w charakterystycznym sposobie animowania przedmiotów. Ale Herberta nie da się udatnie naśladować, jeśli w poecie nie tkwi naturalna skłonność, pokrewieństwo w sposobie przyglądania się światu. Owe trzy wiersze robią wrażenie, jakby były pisane przez inną osobę: spokojne, wyważone, poetycko zdyscyplinowane. Ładne. Początek wiersza *Drzewo* zasługuje na podwójną uwagę: jako zręczna introdukcja i wyraz (choć wiem, że żartobliwy) poetyckiego przesądu: „W domu / jak w solidnym wierszu / rymowało się wszystko”.

W tych trzech, jedynych w zbiorze „niesolidnych” wierszach rym zastąpiony został przez wewnętrzny, podporządkowany tematowi rytm. Najładniejszy wydał mi się wiersz *Taniec*, opowieść o naturalnej śmierci rodzinnego domu, o naocznym zapadaniu się wcześniej utraconego raju: „Nie zniósł go dziejowe burze / ani katastrofy / zniweczył się sam / startł na proch / nagle zaczął chwiać się / ... / drwił korytarzami / z zapewnień solennych / że zawsze z nim jesteśmy / i że go kochamy / ... / Płając niezgrabnie / zarył się powoli / w ciemną dobrą ziemię / / Dom mój. Słońce spadające / Jeruzalem kłęski. Za czystą wodą”.

Niestety kolejne wiersze są kontynuacją początku: przesadne, pełne jaskrawych porównań i dziwacznych zdrobnień. Nurt Herbertowski odzywa się czasem znieca, jakby wbrew autorce.

2. Maja Elżbieta Cybulska, *Próby liryczne*. Ilustr. Yvonne Skargon. Londyn 1980, str. 30.

W jednej, w dwóch liniijkach. Za wątyłch aby ocalić wiersz, przynięcionych i zakrzyczanych. Zła poezja wygrywa, ale dobrze że prawie w każdym wierszu daje się odczuć możliwość poezji dobrej. Jest wiele prawdy w poetycko nieudanej strofie z wiersza *Słowa*: „Są także słowa prawdziwe / Nieme studnie. / Zmęczone antygotony / w skwarne południe”. Niestety energiczny rym „studnie-południe” stawia „zmęczone antygotony” na nogi i unieważnia treść. Tak to jest...

Jeszcze w ostatnim wierszu, *Duszytka*, trzy trafne liniiki, nadzieja na przyszłość, blade odbicie tamtych trzech dobrych wierszy: „w ogóle — gotowa jest służyć wszystkim / Wygląda śmiesznie. / Ogryzek zawieszony w próżni”.

3. Aforyzmy winny być kwintesencją poezji i filozofii; objawiać ukryte, zaskakujące związki między rzeczami, faktami, pojęciami. Powinny wypływać z konieczności, z przeświadczenia, że żadna inna forma wypowiedzi nie potrafi unieść równie lekko, pozornie lekko, ciężaru myśli, którą chcemy przekazać. Aforyzmy pisywali Chamfort, Pascal, Lichtenberg i Lec. Być może *Kultura* wyda kiedyś aforyzmy Lichtenberga w tłumaczeniu Konstantego Jeleńskiego. Parę cudownych przykładów (i przekładów) znaleźć można w jego eseju o *Ziemi Ulro* Miłosza (*Kultura* nr 6, 1979). Ale Lichtenberg należy do XVIII wieku, a z żyjących do niedawna jako aforysta żywy jest tylko Lec. Nawet Kisielewski nie podołał tej formie. Jego *Aforyzmy z Zachodu* (*Zapiski* nr 9, 1979) są uboższe w niespodziankę myślową niż comiesięczne felietony w *Kulturze*. Aforyzmy winni pisać poeci, którzy już nie mogą zmieścić się w poezji. Albo filozofowie, którym filozofia przestała już wystarczać.

Zbiór aforyzmów Aleksandra Litwina³ podzielony jest na szereg części zaopatrzonych w tytuły, których celowości, przyznam, nie pojmuję. Nie pojmuję także, dlaczego każdy aforyzm został dodatkowo zaopatrzony w tytuł (myślałam najpierw, że to fraszki) i rozbitý na wersy. Aforyzmy winny być celne, klarowne, oparte na paradoksie. Powinny zadawać gwałt naszym nawykom myślowym i jednocześnie skłaniać do zadumy. Aforyzmy Litwina nie spełniają warunków gatunku, ale nie wątpię, że dla wielu czytelników będą przynajmniej potwierdzeniem ich własnych przemyśleń. Ludzie lubią skrótowość. „Bohaterami” aforyzmów Litwina są, zgodnie z tradycją, pojęcia. Na przykład „bohaterem” części pt. *Jasne jest pojęcie „zdrowy rozsądek”*. Litwin jest przeciwnikiem „zdrowego rozsądku”, „praktycznego rozumu” i temu podobnych. To dobrze. Ale niektóre jego aforyzmy są niezrozumiałe, a inne zbyt oczywiste i płaskie. Na przykład (przepisuję bez podziału na wersy): „Łatwowiejnie nie stanie się nigdy Jednostką Ludzką”. „Co jest groźniejsze? — Konsekwencje z myśli czy konsekwencje wobec myśli?”. „Cynizm

3. Aleksander Litwin, *I bogowie błędzili...*, Londyn 1980, str. 84.

i perfidia były zawsze elementami zdrowego rozsądku”. Lub taki: „Czy człowiek z *Weltschmerzem* może być dobrym patriotą?”. Odpowiadam: wyłącznie! Ale być może o to właśnie Litwinowi chodziło.

Do najgorszych należą te, które swoją oczywistością zaprzeczają istocie aforyzmu. Na przykład: „Czy ilość nadskakiwaczy jest wskaźnikiem wielkości wodza?”. Najtrafniejsze zbudowane są na paradoksie natury etycznej. Na przykład: „Potępiajmy heretyków! — O ile nie będą posłuszni swoim zasadom”.

Jaki człowiek, jakiej wiary, objawia się w tych sformułowaniach? Na pewno ostrożny, wątpiący w autorytety, bojący się pewników liberała. Ale w sumie należało wydać znacznie cieńszą książkę, wybór najtrafniejszych aforyzmów ze zbioru. Tylko że takich operacji dokonuje najczęściej nie autor, lecz wydawca. Jeśli czuje, że ma do tego prawo: moralne, finansowe, jakiekolwiek...

Janina KATZ HEWETSON

P.S. Nie jestem w stanie zrecenzować zbioru fraszek Aleksandra Messing Mierzejewskiego, wydanych w Nowym Jorku w roku 1980. Każdy sąd mnie niewinni. Nie mogę się jednak oprzeć pokusie zacytowania jednej, pod tytułem *O prawach człowieka*:

Kto czeka
na człowieka
Docyka się
byka.

J. K. H.

Przewodnik po łagrach i więzieniach

Trudno znaleźć na całej kuli ziemskiej choć jeden kraj, w którym by nie było więzień. Jest jednak tylko jedno państwo, w którym zliczono nie mniej niż 2.000 więzień, obozów pracy poprawczej i więzień psychiatrycznych. Nie trzeba dodawać, że jest to pierwsze w świecie państwo socjalistyczne — Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich.

Mapy zawsze napawały strachem przywódców sowieckich, żyjących w atmosferze tajemności i czujności. W „Atlasie Świata” wydanym na pięćdziesiątce rewolucji październikowej wszystkie mapy Związku Sowieckiego są umyślnie niedokładne — żeby wróg nie wiedział, gdzie zrzucić bomby! Książki telefoniczne

i plany miast są tajemnicą państwową — wrogowie przyjeżdżający do Moskwy lub Tyflisu miotają się, nie wiedząc dokąd iść ani do kogo zadzwonić. Przyjeżdżający do kraju świetlanej przyszłości przyjaciele trzymają się turystycznych szlaków, idąc w ślad za opiekunem z „Inturistu” i specjalnymi przewodnikami, w których wyliczone są stare cerkwie, pomniki nieznanego żołnierza i bitwy pod Borodino, a także mauzoleum Lenina i moskiewskie drapacze chmur.

„Przewodnik po obozach, więzieniach i więzieniach psychiatrycznych”, sporządzony w Izraelu przez Abrahama Shifrina i opublikowany po niemiecku i angielsku¹ w Szwajcarii, przeznaczony jest dla turystów, udających się do ZSSR. „Przewodnik” zawiera dokładne adresy ponad 2.000 karnych zakładów odosobnienia i wskazówki, jak do nich dojechać. Czasami jest to bardzo proste: do centralnego więzienia KGB na Łubiance można się dostać metrem — wysiada się na stacji „Dzierżyńska”. Zresztą do większości spośród 31 więzień moskiewskich dojeżdża się metrem; do tych, do których nie doprowadzono metra, dojeżdża tramwaj. Niekiedy dojazd jest trudniejszy: na Kołymę nie jeżdżą nawet pociągi. „Przewodnik” zawiera mapę ZSSR i 120 map *obłasti* i miast sowieckich: na mapach tych zaznaczone jest położenie obozów i więzień oraz numery tramwajów, autobusów, trolejbusów, stacji kolejowych, portów i lotnisk, które do nich prowadzą.

Jak lubią mówić poeci sowieccy: nikogo i niczego nie zapomniano. „Przewodnik” wymienia kolonie pracy poprawczej (tak brzmi oficjalna nazwa sowieckich obozów) zwykłego i surowego reżymu, ponad 150 łagrów kobiecych, w których przebywają więźniarki z dziećmi przy piersi i obozy dziecięce. Na jednej z zamieszczonych w „Przewodniku” fotografii widać kolumnę więźniów-dzieci, wychodzących do pracy. Bramę obozową zdobi dumny napis: „Ucziwa praca — drogą na łono rodziny!”. Troska o dzieci wyraża się w danym przypadku tym, że napis apeluje bezpośrednio do nich: w obozach dla dorosłych dewiza ta głosi: „Ucziwa praca — drogą do przedterminowego zwolnienia”.

Na oddzielnej mapie zaznaczone są szpitale psychiatryczne, które mają oddziały dla więźniów politycznych oraz specjalne więzienia psychiatryczne. Jest ich 83, z tego 17 w samej Moskwie, w tym sławny Instytut Medycyny Sądowej im. Serbskiego (Kropotkinskij Prospekt 23, stacja metra „Kropotkinskaja”).

Jak za dobrych stalinowskich czasów więźniowie budują drogi (w tym i słynną „magistralę kolejową wieku” BAM — Bajkalsko-Amurską Magistralę), elektrownie i zapory wodne, fabryki i domy, wyrębiają lasy, pracują na roli, wydobywają złoto i węgiel. I rudy uranu.

„Przewodnik” podaje adresy 41 obozów śmierci. Są to obozy,

1. Avraham Shifrin, *The First Guidebook to Prisons and Concentration Camps of the Soviet Union*. Str. 378, 170 map, fotografii i rysunków. Wyd. Stephanus Edition, Uhdigen/Seewis, Szwajcaria 1980.

w których praca przy wydobywaniu i oczyszczaniu uranu nieuchronnie prowadzi do śmiertelnego napromieniowania; obozy, w których więźniom grozi napromieniowanie i gdzie często zapadają na białaczkę przy oczyszczaniu dysz podwodnych łodzi atomowych i produkcji głowic dla rakiet nuklearnych; obozy, w których długotrwała praca bez wentylacji przy polerowaniu szkła, rozszczepianiu miki i malowaniu acetonowymi lakierami w rozpylaczach prowadzi do silikozy i gruźlicy. Obozy te rozlokowane są zarówno w miejscach trudno dostępnych dla turystów — na przykład na wyspach Nowa Ziemia lub Wajgacz, jak i w centrum kraju — na przykład na Ukrainie, koło wsi Rachow, Czołowka, Żółte Wody.

Błędem byłoby mniemać — jak może uważają zagraniczni turyści — że w obozach śmierci pracują tylko więźniowie skazani na karę śmierci. Na śmierć posyła się skazańców z piętnastoletnimi wyrokami (humanitarne sądy sowieckie wyższych wyroków nie dają), a także ludzi skazanych na 10, 7 i 5 lat.

Wrażenie, jakie na Zachodzie zrobił „Archipelag GUŁAG”, szybko się zatarło: wszystko to jest daleka przeszłość, epoka stalinizmu, dziś w ZSSR terroru nie ma. Ci, którzy tak uważają, w jednym się nie mylą — GUŁAG-u już nie ma. Główny Zarząd Łagrów (GUŁAG) zastąpiono Głównym Zarządem Kolonii Pracy Poprawczej (GUITK). Zamiast Archipelagu GUŁAG mamy dziś Archipelag GUITK. Brzmi to może nie tak ładnie, ale „Przewodnik po obozach, więzieniach i więzieniach psychiatrycznych” dowodnie świadczy, że pod zmienioną nazwą kryje się stary znajomy: obóz koncentracyjny.

Adam KRUCZEK

Nadesłane nowości wydawnicze

WYSZYŃSKI (Stefan, kardynał). *Kościół w służbie narodu. Nauczanie Prymasa Polski czasu odnowy w Polsce sierpień 1980 - maj 1981. Teksty autoryzowane*. Str. 344 i 8 nłb. (Wyd. staraniem ośrodka „Corda Cordi” i Delegatury Biura Prasowego Episkopatu Polski w Rzymie, Rzym 1981). *Armia Krajowa w dokumentach. 1944-1945*. Tom V: październik 1944 - lipiec 1945. Str. 534 i 4 nłb. (Wyd. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1981).

Pamiętnik kijowski. Tom IV. Str. 212 i 4 nłb. (Wyd. staraniem Koła Kijowian i nakładem Orbis Books, Londyn 1980).

Polski Sierpień 1980. Reedycja Almanachu Gdańskich Środowisk Twórczych Punkt nr 12/80. Str. 302 i 8 nłb. Fotografie. (Wyd. Biblioteka Pomostu, Nowy Jork 1981).

PANKOWSKI (Marian). *Nasz Julo czerwony i siedem innych sztuk*. Str. 301 i 3 nłb. (Wyd. OPiM, Londyn 1981).

- LANGROD (Witold L.). *O niespokojnym życiu i smutnej śmierci Karola Beneskiego*. Str. 266 i 6 nlb. Fotografie. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981, cena zł 50).
- TOPORSKA (Barbara). *Spójrz wstecz, Ajoni!* Powieść. Str. 295. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1981).
- WYHOWSKA DE ANDREIS (Wanda). *Między Dnieprem a Tybrem*. Str. 200. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1981).
- KRONSKI (Bohdan). *Wspomnienia płyną jak okryty*. Str. 191. (Wyd. Odnova, Londyn 1981).
- ŁAPINSKI (Zdzisław). *Między polityką a metafizyką. O poezji Czesława Miłosza*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn 1981 — przedruk z wydania NOW-iej, seria wykładów TKN, Warszawa 1980).
- DUSZA (Edward). *Malarz zapomnianego pejzażu*. Str. 31 i 5 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1981).
- ŚWIDERSKI (Jan i Bronisław). *Autobiografie*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1981).
- DŁUBAK (Grzegorz). *Staraj się przeżyć. Migawki z życia współczesnej Łodzi*. Str. 34 i 2 nlb. (Wyd. wydawnictwo pisma PPS *Przemiany*, Monachium 1981).
- WILCZEK (Ignacy). *Feliks Perl*. Str. 12. (Wyd. Komitet Główny PPS w Niemczech, Monachium 1980. Przedruk z biuletynu PPN nr 30, który ukazał się w Polsce poza cenzurą).
- BIELOBRADEK (Joanna). *Bracia Żydzi*. Wiersze. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1981).
- BONIECKI (Adam, ks.). *Budowa kościołów w diecezji przemyskiej*. Str. 147. (Wyd. Biblioteka *Spotkań*, wyd. III).
- BUKOWIŃSKI (Władysław, ks.). *Wspomnienia z Kazachstanu*. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1981).
- Poznański czerwiec 1956*. Redagowali Jarosław MACIEJEWSKI i Zofia TROJANOWICZOWA. Str. 345 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnic-

two Poznańskie, Poznań 1981, cena zł 100).

BRÜCKNER (Aleksander). *Starożytna Litwa. Ludy i bogi*. Szkice historyczne i mitologiczne. Opracował i wstępem poprzedził Jan Jaskanis. (Wyd. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1979, cena zł 84).

Wybór tekstów źródłowych i publicystycznych obejmujących problematykę wydarzeń lata i jesieni 1980 roku w Polsce. Wyboru dokonał Wiesław ZABŁOCKI. Str. 95. (Wyd. Uniwersytet Jagielloński, Instytut Nauk Politycznych, Kraków 1981).

Dokumenty i materiały XII Kongresu Stronnictwa Demokratycznego. Str. 77 i 2 nlb. (Wyd. Wydział Ideologii, Prasy i Propagandy Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, Warszawa marzec 1981).

GRUSZYŃSKI (Jan). *Spółeczność polska we Francji w latach 1918-1978. Problemy integracyjne trzech pokoleń*. Str. 313. (Wyd. PWN, Warszawa 1981).

MORAWSKI (Dominik). *Chrétiens en Pologne*. Przeł. z włoskiego J. Joha. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. France-Empire, Paryż 1981).

MAREK (Edmond). *Le massacre de Katyń à la lumière des archives publiques et privées*. (Conférence du Club Polonia-Nord, wyd. Club Culturel „Polonia”, (Nord), Lille 1981).

May One Believe in Russia? Violations of Religious Liberty in the Soviet Union. Edited by Michael Bordeaux and Michael Rowe in collaboration with the International Committee for the Defence of Human Rights in the USSR, Brussels. Str. 113. (Wyd. Darton, Longman and Todd, London 1981, cena £ 3,45).

KALUSKI (Marian). *Sir Paul. E. Strzelecki — The Man Who Climbed and Named Mt. Kosciuszko*. Str. 55. (Wyd. Polish-Australian Historical Society and Polish-Australian Cultural Society, West Sunshine VIC, 1981).

SINGER (Daniel). *The Road to Gdansk. Poland and the USSR*. Str. 256 i 2 nlb. (Wyd. Monthly Review Press, New York and London 1981).

BLYSKOWSKI (Anton H.). *The Discovery of Cancer Enigma*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Scientific Press, London 1981, cena £ 6).

Homage to Mandelstam. An Anthology of Poems. Edited by Richard Burns and George Gömöri. Str. 37. (Wyd. Los Poetry Press, Cambridge England, 1981).

Harvard Ukrainian Studies. Vol. V, number 1. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MASS).

Polish Veterans of World War II, Inc., Post No 19 and Poles in Massachusetts. Str. 12.

Who Are the Polish Veterans? Where Did They Come From? What Have They Done? Why Are They Here? Str. 44. (Broszura wydana przez Polish Veterans of World War II Inc., Boston MA, 1981).

WANDYCZ (Piotr S.). *Colonel Beck and the French Roots of Animosity* (Nadbitka z *The International History Review*, vol. III, nr 1, str. 115-127, styczeń 1981).

STANKIEWICZ (W. J., prof.). *Behaviouralism, Biosociology and the Perils of Biobehaviouralism*. (Nadbitka z *Politikon*, vol. 6, nr 2, grudzień 1979, str. 154-160).

KOMUNIKAT

Dwutygodnik *USSR NEWS BRIEF*, wydawany przez *Cahiers du Samizdat* w Brukseli, dostępny jest od numeru kwietniowego (1980) w językach rosyjskim i angielskim.

Wydawnictwo to systematycznie informuje o zagadnieniach praw człowieka i ruchu opozycyjnym w Związku Sowieckim. Informacje dotyczą aresztowań i wyroków, warunków w jakich żyją poszczególni więźniowie, powstawania nowych grup i innych ważnych wydarzeń. Sporządzane przy szerokiej międzynarodowej współpracy, wiadomości te pochodzą z wielu niezależnych źródeł.

Wydawcą *USSR NEWS BRIEF* jest dr Kronid Lubarskij, znany naukowiec, żyjący obecnie na Zachodzie. Dr Lubarskij odsiedział sam pięć lat w sowieckich obozach i więzieniach za działalność opozycyjną. Zanim został w 1977 roku wygnany ze Związku Sowieckiego, był przedstawicielem Solżenicynowskiego Funduszu Pomocy Sowieckim Więźniom Politycznym i ich Rodzinom.

Ceny prenumeraty *USSR NEWS BRIEF* na rok 1981:

Roczna prenumerata:

Europa, Środkowy Wschód	750 FB — 19 \$ US
USA, Kanada, Ameryka Południowa, Afryka, Azja	900 FB — 23 \$ US
Australia, Nowa Zelandia	1.050 FB — 26 \$ US

W cenie prenumeraty zawarte są koszty wysyłki pocztą lotniczą.

Redakcja prosi o dokonywanie wpłat bezpośrednio na Post Office Giro (CCP) nr konta 000-0971885-42 Bruksela, albo mandatem pocztowym.

W razie wpłaty czekiem należy dodać 40 FB (1 \$ US) na koszty bankowe.

Przekazy bankowe i чеки muszą być wystawione na *Cahiers du Samizdat*, Bruksela.

Redakcja prosi o wyraźne zaznaczenie, jaką edycję językową prenumerator abonuje.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-4-81

Na inaugurację festiwalu „Poznańska Wiosna Muzyczna” wykonano pod dyrekcją Renarda Czajkowskiego „Symfonię w kwadracie” Stefana Kisielewskiego. Utwór ten wycofany był dwa lata temu na życzenie władz politycznych z programu festiwalu muzycznego we Wrocławiu. Po koncercie odbyło się spotkanie S. Kisielewskiego z członkami „Solidarności” instytucji artystycznych Poznania, które trwało do późnych godzin nocnych.

6-6-81

Wiceminister Spraw Wewnętrznych PRL gen. Władysław Pożoga oświadczył na konferencji prasowej, że w latach 1973-1980 sądy wojskowe skazały za szpiegostwo 163 osoby. Obecnie toczy się śledztwo w kilkunastu wypadkach. W ciągu ostatnich dwóch lat odmówiło powrotu do Polski około 16 tys. osób.

10-6-81

Zmarł w wieku 81 lat profesor Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisław Bąk. Był on jednym z wybitniejszych językoznawców polskich.

21-6-81

W Warszawie odbyło się dwudniowe pierwsze ogólnopolskie spotkanie niezależnych wydawnictw (Niezależna Oficyna Wydawnicza — Warszawa, Wyd. ABC — Kraków, Wyd. Alternatywy — Gdańsk, Wyd. im. Konstytucji 3 Maja — Warszawa, Wyd. Krag — Warszawa, Wyd. Młoda Polska — Gdańsk, Wyd. Spotkania — Lublin-Kraków-Warszawa, Oficyna Wydawnicza Signum), na którym — a) powołano biuro informacji wydawniczej o przygotowywanych do druku tytułach; b) ustalono, iż wszystkie wydawnictwa będą starały się uczestniczyć w kolportażu dla bibliotek zakładowych; c) przyjęto zasadę ustalania cen książek na podstawie kosztów produkcji, a nie zysków. Zgodzono się, że maksymalna cena jednej strony książki powinna wynosić: — dla techniki offsetowej, sitodrukowej i typograficznej format A5 — 1 zł; format A6 — 0,6 zł; dla techniki powielania białkowego: format A4 — 0,8 zł; format A5 — 0,5 zł. Normy te przyjęto, aby przeciwstawić się dotychczasowej dowolności w ustalaniu cen sprzedaży wydawnictw niezależnych. Dla uniknięcia spekulacji ustalono umieszczenie cen na książkach. Następnie przedyskutowano problemy związane z prawem autorskim i wydawniczym. Postanowiono zdecydowanie przeciwstawić się wydawaniu książek bez porozumienia z autorami i posiadaczami praw autorskich. Uczestnicy spotkania zadeklarowali pomoc tworzącym się wydawnictwom w rozwiązywaniu problemów prawa wydawniczego i autorskiego oraz problemów edytorskich. Wydano oświadczenie w sprawie projektu ustawy o cenzurze.

24-6-81

Jak podaje Agencja „Solidarności”, minister łączności postanowił wstrzymać emisję programu zgłuszającego programy radia Wolna Europa nadajnikiem w RON Oksywie, zaś 25. 6. br. „Solidarności” w Warszawie zwróciła się do ekspertów NSZZ o podanie kosztów zgłuszania zachodnich stacji radiowych, a przede wszystkim o ocenę zużycia energii elektrycznej i przeliczenie tego na ilość ton węgla.

25-6-81

W Radomiu i Ursusie miały miejsce uroczystości w piątą rocznicę wyda-

rzeń 1976 roku. Jednocześnie został rozstrzygnięty konkurs na pomnik upamiętniający te wydarzenia. Został zaakceptowany projekt artysty rzeźbiarza Bronisława Kubicy, autora pomnika Chopina w Londynie. ■ W związku z próbami stworzenia związku zawodowego Milicji Obywatelskiej zwolniono ze służby 362 milicjantów za uczestnictwo w pracach założycielskich, w tym 68 w Warszawie. Zwolnionym milicjantom nie przysługują prawo odwołania się od tej decyzji. ■ Zmarł w Warszawie dr Jan Gebethner, współzałożyciel oficyny wydawniczej Gebethner i Wolf, wieloletni prezes i członek honorowy Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.

1-7-81

Radio Warszawa podaje, że „port szczeciński ponownie dławi się zbożem. Portowy elewator EWA, największy tego typu obiekt w naszych portach, w którym jednorazowo mieści się ponad 50 tys. ton zboża, jest już pełny. Tymczasem w porcie przebywa 14 statków krajowych i zagranicznych armatorów załadowanych zbożem. Tylko na trzech z nich prowadzi się rozładunek... Postój statków dodatkowo obciąża konto dewizowe naszego kraju oraz dezorganizuje pracę portu”.

3-7-81

W. Piłatowski, wiceprezes NIK, oświadczył na konferencji prasowej, że przy kontrolowaniu w ostatnich latach prywatnych inwestycji budowlanych 3.422 osoby (w tym trzech byłych sekretarzy KC, 23 byłych pierwszych sekretarzy KW, 34 sekretarzy KW, siedmiu wicepremierów, 18 ministrów, 56 wiceministrów, 21 wojewodów, 30 wicewojewodów) zostały postawione w stan oskarżenia.

9-7-81

PAP przestrzega osoby podróżujące przez terytorium NRD przed kłopotami, jakie mogą je spotkać z powodu niezajomości przepisów celnych NRD. Władze NRD nakładają rygorystycznie tak poważne sankcje, jak konfiskaty samochodów, środków płatniczych czy wydawnictw. Konfiskacie ulegają samochody wprowadzone do NRD przez jednego kierowcę, zaś przez innego wywożone. Władze NRD uważają te samochody za przedmiot nielegalnej transakcji dokonanej na terytorium republiki. Nie wolno też wywozić samochodów zakupionych w NRD przez cudzoziemców tam pracujących. — Berliński korespondent PAP, Jerzy Tomaszewski, pisze dalej, że na poważne straty narażeni są ci podróżni, którzy na granicy NRD nie dopełniają obowiązku zgłoszenia przywożonych lub wywożonych dewiz, środków płatniczych wszystkich krajów a także czeków, weksli, papierów wartościowych. W przypadku niezgłoszenia walory te są konfiskowane, a ich odzyskanie jest sprawą bardzo skomplikowaną. Wartości dewizowe powinny być zgłaszane przez podróżnego, a nie dopiero ujawnione w wyniku kontroli celnej. Dlatego, aby zgłosić te pieniądze, podróżni powinni zażądać do wypełnienia deklaracji celno-dewizowej NRD. — Wszystko to dotyczy również osób jadących tranzytem przez NRD. Korespondent PAP pisze, że w razie niewypełnienia deklaracji zdarzają się przypadki konfiskaty dewiz otrzymanych w prezencie od rodziny czy tytułem wynagrodzenia za pracę. Dotyczy to też przewożonego przez NRD z Zachodu złota i kosztowności. Red. Tomaszewski pisze dalej, że często obywatelom polskim podróżującym tranzytem przez NRD władze celne zatrzymują czasopisma ilustrowane i książki, płyty gramofonowe i kasety, lekarstwa i zegarki elektroniczne, o ile nie zgłoszono ich do odprawy celnej. — Kto więc ma zamiar jechać tranzytem przez NRD, powinien szczególnie z zapoznać się z przepisami prawnymi i celno-dewizowymi tego państwa.

13-7-81

Biuro Polityczne KC PZPR wystąpiło do Rady Państwa o anulowanie odznaczeń państwowych: E. Gierkowi, E. Babiuchowi, Z. Grudniowi, P. Jaroszewiczowi, J. Łukasiewiczowi, T. Pyce, J. Szydłakowi, T. Wzruszczykowi, Z. Zandarowskiemu, A. Glazurowi, F. Kaimowi, W. Lejczakowi.

18-7-81

Częstochowski Klub Inteligencji Katolickiej wystąpił z inicjatywą usypania kopca ku czci Kardynała Wyszyńskiego.

21-7-81

Zygmunt Mycielski otrzymał nagrodę pierwszego stopnia Ministra Kultury i Sztuki PRL za wybitne osiągnięcia w dziedzinie twórczości kompozytorskiej i eseistykę muzyczną.

27-7-81

Nareszcie wszedł w Polsce na ekrany ostatni film Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza”.

30-7-81

Postawie na Sejm PRL: Andrzej Borkowski, Józef Buziński, Zbigniew Chodyla, Stanisław Cieślak, Ryszard Dziobak, Zdzisław Grudzień, Kazimierz Janiak, Władysław Juskiewicz, Bolesław Koperski, Leon Kotarba, Alfred Kowalski, Stanisław Kulesza, Zdzisław Legowski, Józef Majchrzak, Stanisław Serwicki i Jerzy Zasada zrzekli się mandatu poselskiego. Sejm zatwierdził wygaśnięcie mandatu wyżej wymienionych posłów. ■ Na granicy węgiersko-jugosłowiańskiej policja węgierska zatrzymała w trakcie nielegalnej próby ucieczki byłego rektora Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach, Józefa Jonka. Po deportowaniu go do Polski został osadzony w więzieniu. Byłemu rektorowi zarzuca się poważne przestępstwa gospodarcze, związane z kierowaną przez niego placówką naukową.

3-8-81

Jerzy Putrament został udekorowany na Kremlu Orderem Przyjaźni Narodów. Order ten otrzymał „za wybitne zasługi w dziele utrwalania przyjaźni polsko-radzieckiej, aktywną działalność na polu zbliżenia literatury obu krajów oraz w związku z 70-tą rocznicą urodzin”.

8-8-81

Sekretarz generalny Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, gen. Czesław Czubryt-Borkowski oświadczył, że na terenie Polski jest ponad 25 tys. miejsc pamięci narodowej, wśród nich wiele pomników, tablic, cmentarzy i mogił żołnierzy armii sowieckiej. Generał nie wspominał natomiast, czy groby i cmentarze polskie na terenie Związku Radzieckiego znajdują się pod opieką tej Rady czy też Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. ■ Tygodnik *Polityka* podaje: Kłopoty z benzyną mobilizują do myślenia o sposobach jej oszczędzania. Dyr. departamentu w Głównym Inspektoracie Gospodarki Energetycznej dr inż. Ludwik Bednarz stara się spopularyzować pomysł, by tylko w piątki, soboty i niedziele mogły jeździć wszystkie samochody osobowe, a w pozostałe dni — na przemian wozy o numerach parzystych i nieparzystych. Propozycja zakazu używania samochodu co drugi dzień nie spotkała się ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem, zwłaszcza wśród osób rozwożących codziennie dzieci do przedszkoli i szkół oraz pracujących z dala od miejsca zamieszkania. A już całkiem absurdalny wydaje się pomysł stosowania tej zasady wobec kierowców wyruszających w podróż trwającą dłużej niż 1 dzień. Doprowadziłoby to do sytuacji, w

której jeśli ktoś jednego dnia wyjedzie ze swego miejsca zamieszkania, to następnego nie będzie mógł wrócić, lub też jadąc np. na urlop z Przemyśla do Międzyzdrojów będzie musiał robić obowiązkową całodzienną przerwę w podróży. A swoją drogą, z radia można było dowiedzieć się, że rafineria w Płocku wykonuje miesięczne plany produkcji benzyny z dość nawet okazałymi nadwyżkami. Tyle, że w opracowanym dla niej rozdzielniku nie uwzględniono np. woj. bydgoskiego, które „jedzie” prawie wyłącznie na własnych zapasach. Stąd słuszne wydaje się zadawane często pytanie, dlaczego dolegliwości wynikające ze złej organizacji, czyjejs nieudolności i braku operatywności — mają znowu pokornie brać na siebie kierowcy?

ZACHÓD — EMIGRACJA

29-5-81

Prof. dr Z. J. Lipowski, psychiatra z Dartmouth Medical School, otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Helsińskiego. Uniwersytet ten przyznał w bieżącym stuleciu 13 doktoratów *honoris causa*, w tym 4 w dziedzinie nauk medycznych. Spośród trzynastu odznaczonych naukowców dwóch było pochodzenia polskiego: Z. J. Lipowski i Hilary Koprowski.

1-6-81

Juliusz Godlewski otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego. J. Godlewski, mieszkający stale w Szwajcarii, jest znanym mecenasem sztuki polskiej. ■ Ojciec Anatolij Dubliński został wyświęcony przez Metropolitę Mstysława na stanowisko biskupa ukraińskiego autokefalicznego kościoła prawosławnego na Europie zachodnią, z siedzibą w Anglii. ■ Stowarzyszenie Polskiej Kultury w Austrii, z siedzibą w Wiedniu, na walnym zjeździe przedłużyło ustępującemu zarządowi kadencję na rok 1981/1982. Prezesem jest nadal inż. Roman Żukowski.

15-6-81

Tadeusz Konwicki otrzymał włoską nagrodę Premio Mondello za powieść „Mała Apokalipsa”.

23-6-81

W Londynie odbyła się w Teatrze ZASP premiera rzadko granej komedio-farsy Fredry pt. „Gwałtu co się dzieje!”.

25-6-81

Na zaproszenie Związku Pisarzy Izraela przyjechał do Tel-Awivu Jerzy Ficowski. W czasie jego miesięcznego pobytu w Związku Żydów Krakowskich zorganizował mu wieczór autorski. Ostatnio na rynku księgarskim Izraela ukazał się wybór wierszy Czesława Miłosza w przekładzie Dawida Weinfeldta i zbiór wierszy Anny Kamińskiej w przekładzie Rywki Gurfajn. ■ Zmarła w Londynie Ewelina z Komorowskich Augustowa Zaleska. ■ Zmarł w Winterthur (Szwajcaria) w wieku lat 79 dr Mieczysław Wyderko, przed wojną sędzia Sądu Apelacyjnego w Warszawie, wieloletni doradca departamentu ustawodawczego Ministerstwa Sprawiedliwości RP w dziale ustawodawstwa cywilnego, w roku 1940 żołnierz Armii Polskiej we Francji.

26-6-81

Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie urządziło prof. Andrzejowi Ehrenkreutzowi w jego drodze powrotnej z międzynarodowego kongresu orientalistycznego w Jeruzolimie odczyt pt. „Wyprawy krzyżowe — inna strona medalu”. Prof. Ehrenkreutz jest od pięciu lat przewodniczącym

Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich. ■ Szwedzki Czerwony Krzyż otrzymał od swego rządu dotację w wysokości miliona koron, przeznaczoną na doraźną pomoc humanitarną dla Polski. Subwencja ta jest przeznaczona na częściowe sfinansowanie wysyłki do Polskiego Czerwonego Krzyża lekarstw, środków opatrunkowych i odżywek dla dzieci.

1-7-81

Decyzją francuskiej Rady Ministrów dwóch wybitnych pisarzy otrzymało obywatelstwo francuskie: Argentyńczyk Julio Cortazar i Czech Milan Kundera.

2-7-81

Zmarł w Londynie w wieku 91 lat Kazimierz Okulicz, b. redaktor naczelny *Kuriera Wileńskiego*, poseł na Sejm RP; na emigracji był przez pewien czas ministrem sprawiedliwości i zajmował się działalnością publicystyczną.

3-7-81

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. bp Szczepan Wesoły wygłosił odczyt pt. „Duszpasterstwo polskie na emigracji”.

6-7-81

W okresie tygodnia 30 czerwca - 6 lipca odbyły się w Londynie, niemal dzień po dniu, zebrania ludzi przybyłych z Kraju lub z nim związanych. Otworzyły ten cykl „Spotkanie z prof. Stanisławem Barańczakiem”, zorganizowane przez Polskie Towarzystwo Naukowe i Studium Spraw Polskich w Wielkiej Brytanii. Nazajutrz odbył się pod egidą Związku Pisarzy (prez. Józef Garliński) wieczór Henryka Grynberga, prozaika i poety, obecnie pracownika „Głosu Ameryki”. Trzecim z kolei był obszerny odczyt prof. Jana Kielanowskiego, członka KOR-u i inspiratora Towarzystwa Kursów Naukowych o opozycji demokratycznej w Polsce. Zamknął ten szereg wieczorem informacyjnym pt. „Polski kryzys — wyżywienie — rolnictwo” p. Wiesław Kęcik, również członek KOR-u, współorganizator i doradca „Solidarności Wiejskiej”. Jednocześnie odbyły się trzy występy artystki-recytatorki z Polski, założycielki „Teatru Nicogromnego”, ściśle mówiąc teatru jednego aktora, Krystyny Szafrńskiej („Warszawo-kobieto”, „Pani Słowacka”, wieczór poezji Miłosza).

9-7-81

Tadeusz Samitkowski, długoletni sekretarz generalny centrum informacyjnego międzynarodowych organizacji katolickich w Genewie, został odznaczony Krzyżem Kawalerskim francuskiej Legii Honorowej.

10-7-81

Zmarł w wieku 81 lat (w Orléans — Francja) Aleksander Demidecki-Demidowicz, znany działacz Stronnictwa Narodowego.

13-7-81

Zmarł w Londynie w wieku 85 lat Kazimierz Trębicki, b. konsul generalny RP w Genewie, współzałożyciel i prezes Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Londynie. ■ Według licznych raportów dyplomatów zachodnich rezydujących w Pekinie, w licznych wielkich zakładach chińskich tworzą się wolne związki zawodowe, wzorowane na „Solidarności”.

22-7-81

Wymiana handlowa między ZSSR a Stanami Zjednoczonymi w pierwszych czterech miesiącach br. wzrosła o 59,2% w porównaniu do tego samego

okresu 1980 roku. Wymiana między tymi dwoma krajami reprezentuje 1,1 mld dolarów. Wartość eksportu amerykańskiego wynosi 942 mln dolarów, zaś import — 170 mln dolarów. Jest to spowodowane przede wszystkim zniesieniem przez prezydenta Reagana embarga na zboża i zaawansowaną technologię.

24-7-81

Ks. Prałat dr Bolesław Kurzawa został rektorem Polskiej Misji Katolickiej na kraje Beneluxu.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Polonijna uczelnia Alliance College w Pensylwanii przyznała doktorat *honoris causa* Lechowi Wałęsie. ■ 4. 7. br., w dniu amerykańskiego święta narodowego, miasto Filadelfia przyznało Lechowi Wałęsie Medal Wolności. ■ Do Polski wysłano nici chirurgiczne wartości około 100 tys. dolarów. Jest to dar dr. Andrzeja Kalisza z Chicago. ■ W *New York Times* ukazało się całostronicowe płatne ogłoszenie z apelem do Prezydenta Reagana o spowodowanie wycofania wojsk sowieckich z granic Polski. Apel został zorganizowany przez grupę *Pomost*. Podpisało go wiele organizacji i osób prywatnych. ■ W odpowiedzi na zapytania Radio Swoboda przyznało, że w rosyjskich audycjach tej rozgłośni znalazły się wypowiedzi antypolskie i krytyczne w stosunku do Papieża. Kierownictwo zapewnia, że podobne wypowiedzi nie będą więcej nadawane. ■ 31. 7. br. Maria-Ludwika Zych obroniła tezę doktorską na temat „Problemy polskiego przekładu powieści Józefa Conrada *Szaleństwo Almayera*” na uniwersytecie R.P.I. w stanie Nowy Jork. ■ Związek Absolwentów Uniwersytetu Katolickiego — The Catholic University of America Alumni Association przyznał p. Danucie Mostwin odznaczenie Alumni Achievement Award for Social Service. P. Danuta Mostwin została zaproszona i bierze czynny udział w National Advisory Committee, który przygotowuje White House Conference on Aging. Komitet ten jest ciałem doradczym w przeprowadzaniu uchwał konferencji dotyczących problemów i uprawnień Amerykanów po 60-tym roku życia. Ponadto Arno Press opublikowało pracę doktorską p. Mostwin na temat „The Transplanted Family”. ■ W dniach 26. 6. - 1. 7. br. na Konwencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy A.L.A. księgarnia „Polonia” z Chicago urządziła Wystawę Polskiej Książki. W Konwencji tej wzięło udział 12 tys. bibliotekarzy amerykańskich. Odbyło się także spotkanie-przyjęcie dla bibliotekarzy Sekcji Słowiańskiej A.L.A., zorganizowane przez księgarnię „Polonia” i przez p. Szwede z Palo Alto, Cal., a zainicjowane przez przewodniczącego sekcji dr. W. Zalewskiego z Biblioteki Stanford University. Następnie wystawę przeniesiono do San Mateo dla miejscowego środowiska polonijnego.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Australia staje się jednym z największych skupisk polskich uchodźców (przybywających głównie z Austrii) oraz najnowszej fali polskich emigrantów, opuszczających kraj za zezwoleniem władz PRL, sprowadzanych przez rodziny itd. Oblicza się, że w ciągu ostatnich trzech lat przyjechało do Australii ponad sześć tysięcy polskich uchodźców oraz około trzech tysięcy emigrantów. Ogólna liczba wynosi więc około dziesięciu tysięcy osób. Za-

powiada się, że liczba Polaków przyjeżdżających do Australii na osiedlenie będzie wzrastała. Rok temu australijski rząd federalny podniósł kwotę polskich uchodźców z dwóch tysięcy do trzech tysięcy rocznie, obecnie mówi się o podniesieniu jej do czterech tysięcy a może i więcej. Prowadzone przez polskie organizacje biura informacji i opieki społecznej w stanowych stolicach (przy pomocy dotacji rządowej), w dużej mierze skierowały swoją działalność na pomoc dla nowoprzybyłych (ogólne informacje, różnego rodzaju porady, pomoc w utrzymaniu pracy i mieszkania itp.). Znaczna większość przybywających na osiedlenie Polaków jest w wieku poniżej trzydziestu lat; duży procent posiada wyższe wykształcenie, głównie techniczne. Uchodźcy sprowadzani są na koszt australijskiego rządu i są na jego utrzymaniu w hotelach imigracyjnych, do czasu znalezienia pracy, w czym pomagają rządowe biura zatrudnienia. Należy zaznaczyć, że Australia produkuje w przyjmowaniu uchodźców. Poczynając od roku 1945 przyjęła dotychczas czterysta tysięcy, włączając pięćdziesiąt tysięcy z Indochin (od 1975 roku). W pierwszych latach powojennych Australia sprowadziła z byłych obozów koncentracyjnych, obozów wysiedleńców z krajów okupowanych przez Niemcy oraz byłych jeńców wojennych — około sto osiemdziesiąt tysięcy osób, które nie chciały wracać do swoich macierzystych krajów wschodniej Europy, włączonych do bloku sowieckiego. W ramach tej liczby przybyło do Australii około 60 tysięcy Polaków. Po powstaniu w Budapeszcie w roku 1956 Australia przyjęła około 14 tysięcy węgierskich uciekinierów, a po powstaniu w Pradze w roku 1968 — około 5.500. ■ Ponad stutysięczna Polonia australijska, która w okresie ostatnich kilku miesięcy wzmogła akcję zbiorczą, pod patronatem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, przekazała na pomoc krajowi (na zakup żywności i lekarstw) kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Akcja ta staje się obecnie jeszcze bardziej intensywna. W każdym prawie stanie Australii działają, we współpracy z Radą Naczelną, stanowe komitety pomocy krajowi, których działalność obejmuje nie tylko pieniężne akcje zbiorcze ale również informowanie australijskiej opinii publicznej o sprawach polskich. ■ W związku z kryzysem gospodarczym w Polsce powiększyła się znacznie ze strony australijskiej Polonia pomoc dla kraju. Roczna wartość paczek żywnościowych, lekarstw i bonów dolarowych, wysyłanych przez PKO przez tutejsze polskie firmy, znacznie przekracza cztery miliony dolarów. ■ Na ostatnim walnym zjeździe Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii prezesem wybrano ponownie Krzysztofa Łanicuckiego (lat 46); wyłoniono też prezydium w następującym składzie: Franciszek Gumółka — wiceprezes i członkowie — Jerzy Jabłoński, Piotr Kozieł, Witold Krupiński, Tomasz Ostrowski, prof. Szomański, Danuta Trzaskowska, Roman Winiarski. Po raz pierwszy od wielu lat do wyborów stanęło więcej kandydatów niż było miejsc w prezydium. W zjeździe uczestniczyło 85 delegatów z wszystkich większych polskich ośrodków z całej Australii. ■ W bieżącym roku działalność prezydium Rady Naczelnej, oprócz dużego zaangażowania się w akcje na rzecz kraju, koncentruje się na sprawach Roku Młodzieży, zainicjowanego przez Radę Koordynacyjną Polonii Wolnego Świata. Po ustąpieniu Piotra Kozieł, kierownika wydziału młodzieżowego prezydium, wydział ten objął Józef Kuszell. W programie wydziału jest m.in. ogólnaustralijski zjazd polskich działaczy młodzieżowych w końcu br., w Polskim Ośrodku Młodzieżowym „Polana” koło Melbourne. ■ Na odbytym zjeździe Okręgu ZHP w Australii wybrano Zdzisława Drzymulskiego komendantem Chorągwi Harcerzy i przewodniczącym Okręgu, zaś Wiesławę Paszkiewicz — komendantką Chorągwi Harcererek. Harcerstwo w Australii zorganizowane jest w Okręg Harcerstwa Polskiego, który reprezentuje i koordynuje działalność trzech członów harcerstwa i Kół Przyjaciół. Ogółem ZHP w Australii skupia ponad 700 osób. ■ Ukazało się nowe, szóste wydanie (w formie broszury) *Informatora Polskiego w Australii* (na rok 1981). Wydawcą *Informatora* jest Federacja Polskich

Organizacji w Wiktorii, opracował go znany działacz polonijny Jerzy Jabłoński. *Informator* zawiera około 400 adresów i stanowi bogate źródło wiedzy o życiu polonijnym w Australii (m.in., że istnieje 30 Domów Polskich, 6 ośrodków młodzieżowych kolonijno-wakacyjnych, 9 stałych polskich audycji radiowych itd.). ■ W czerwcu br. została oddana do druku druga już z kolei książka Andrzeja Gawrońskiego pt. „Do góry nogami” (pierwszą była „Z kangurem pod rękę”), która zostanie wydana drogą subskrypcji publicznej. Będzie ona zawierała wiersze satyryczne, felietony oraz nieco poważniejszej poezji i tłumaczeń z literatury australijskiej.

Jerzy GROT-KWASNIEWSKI

P.S. S. Gotowicz, z ramienia zarządu Domu Polskiego w Adelajdzie, zaprosił p. Stefana Kisielewskiego. Stefan Kisielewski przyjedzie z wizytą na początku listopada br. i odwiedzi większe ośrodki polskie w Australii i w Nowej Zelandii.

KRONIKA KANADYJSKA

Komitety Pomocy Polsce Kongresu Polonii Kanadyjskiej, okręg Quebec, otrzymał zezwolenie arcybiskupa Montrealu na przeprowadzenie zbiórki na terenie wszystkich kościołów. Akcja zbiorkowa odbyła się przy udziale młodzieży polonijnej. Organizatorzy postawili sobie za cel zebranie miliona dolarów. ■ Skwer w Toronto, na którym znajduje się pomnik ku czci ofiar Katynia, został przemianowany na Katyn Memorial Square. ■ Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy rozpisął drugi konkurs na pamiątnik imigranta. Pierwszy, przeprowadzony przed 10 laty, doprowadził do opublikowania kilkunastu nagrodzonych i wyróżnionych pamiątników. Ukazały się one w trzech tomach, w języku polskim oraz w jednym tomie wybór w języku angielskim. Termin nadsyłania prac pamiątnikarskich na konkurs upływa z dniem 31 grudnia br. Należy je wysłać na adres: Canadian Polish Research Institute, 288 Roncesvalles Avenue, Toronto, Ontario M6R 2M4. W osobnej kopercie należy podać imię, nazwisko, adres i dane personalne autora. Pierwsza nagroda wynosi tysiąc dolarów. ■ 14. 1. br. zmarła w Australii p. Teresa ze Staniewiczów Achmatowicz. Urna z jej prochami zostanie pochowana na cmentarzu muzulmańskim na Powązkach w Warszawie.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Wracający do Polski dr Jan Walc, współpracownik *Biuletynu Informacyjnego* i tygodnika *Solidarność*, został 17. 8. zawrócony przez czeską służbę graniczną z powrotem do Austrii. Dr. Walcowi nie pozwolono na przejazd tranzytem przez Czechosłowację, mimo że polscy obywatele posiadający paszporty nie potrzebują czeskiej wizy. Czeski oficer służby granicznej powiedział do dr. Walca: „Niech Pan *Solidarność* robi w Austrii, nie u nas”. — Jest to pierwszy tego rodzaju wypadek.

Listy do Redakcji

Granada, 25 czerwca 1981.

A PROPOS, czyli A PROPOSITO, albo BY THE WAY
(niestety nie znam polskiego odpowiednika tego wyrażenia)

W związku z notatką p. Józefa Łobodowskiego (*Kultura*, numer czerwcowy) na temat hiszpańskich świętych, to imię Isidoro nosił nie tylko arcybiskup Sewilli (Isidorus Hispalensis, którego święto przypada dnia czwartego kwietnia), ale też arcybiskup Saragossy, umęczony tam w roku 466 (święto trzeciego stycznia) oraz mnich z Kordoby, umęczony w Kordobie w roku 856.

Gdy chodzi o świętego „Isidro Labrador” — Isidora Rolnika, którego ja bym wolał przetłumaczyć jako „Oracza” (wiek XI — święto 15 maja) to legenda o nim, którą wolałbym przyjąć nie mówi, że się „wysypiał pod drzewkiem”, podczas gdy Aniołowie orali za niego, ale że dokonczyli za niego orki (może tylko raz jeden), podczas gdy on był zatopiony w modlitwie. Ożeniony był z kobietą też znaną z ogromnej pobożności i też świętą, znaną jako Santa Maria de la Cabeza (Święta Maria od Głowy).

Z szacunkiem pozostaję,

S. K. BURDA

Marcellus, N.Y., 4 czerwca 1981.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W latach sześćdziesiątych wielokrotnie zwiedzałem Polskie Muzeum w Chicago i starając się dopomóc kierownictwu w metodach współczesnej ekspozycji, przez kilka lat dokonywałem pobieżnej konserwacji szabel Marszałka Józefa Piłsudskiego*.

Szable te, zanim wrócą na Wawel czy do Belwederu, winny znaleźć się w posiadaniu prawowitych właścicieli, tj. Córek Marszałka, albo przynajmniej w lepszych warunkach ekspozycyjnych, gdyż lokacja muzeum w Chicago naraża je na zanieczyszczenie chemiczne powietrza, szczególnie tej części metropolii Chicago.

Muzeum Polskie (Polish Museum of America) nie posiada odpowiedniego lokalu i rodzaju ekspozycji, na jaką tego typu pamiątka narodowa zasługuje.

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

Tadeusz M. JANOWSKI
Profesor Architektury, USA.

* Byłem jednym z pierwszych członków Towarzystwa Miłośników Dawnej Broni i Barwy przy Muzeum Narodowym w Krakowie oraz sam posiadałem — częściowo odziedziczoną — bogatą kolekcję militariów, sięgającą XI wieku.

Hobart (Tasmania), 18 lipca 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 4/403 z kwietnia 1981 podano w dziale „Wydarzenia miesięca” na dzień 1-3-81 piętnaście miejscowości w świecie, w których Polonia upamiętniła zbrodnię katyńską ufundowaniem pomników lub tablic. Z prasy polonijnej zebrałem, prócz tych piętnastu, następnych dziewięć: w Australii, Bowen Hills w Brisbane i na Hindmarsh Island w Południowej Australii, we Francji w Roubaix, w Niemczech w Monachium, w Ameryce w Chicago, Detroit i Connecticut, New Britain, w Szwecji biskup Rubin poświęcił pomnik już w 1975, a ostatnio Polonia afrykańska ufundowała pomnik w Johannesburgu. Tak więc dwadzieścia cztery dowody pamięci tej zbrodni rozsiane po świecie, coraz liczniejsze uroczystości obchodzone w Polsce dają gwarancję, że prawda historyczna nie pozwoli się zdusić tym razem pod żadną szerokością geograficzną i nie przysporzy chwały w przyszłości reżymowym współnikom dezinformacji.

Pozostaję z poważaniem,

Tadeusz KEMPA

21 czerwca 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wilno było stolicą kultury żydowskiej (nie hebrajskiej). Język żydowski ma 4 odmienne wymowy, z których wileńska zajmowała czołowe miejsce jako język literacki, teatralny. W Wilnie istniał teatr *Di Wilner Truppe*, który uchodził za najlepszy teatr żydowski. Zwłaszcza od roku 1923, gdy zezwolono pewnej grupie inteligencji żydowskiej wyjechać z Rosji do Wilna, liczna grupa aktorów i pisarzy zajęła przodujące stanowiska w grupie wileńskiej i przyczyniła się do rozwoju literackiego języka żydowskiego i rozpowszechnienia go po całej Polsce.

Ilość Żydów polskich w Wilnie liczone na co najmniej 35 % całej ludności. W Izraelu oblicza się, że ilość Żydów w Wilnie wynosiła (i zginęła wymordowana) około 400 tysięcy. Nie wiem, czy cyfra ta odpowiada rzeczywistości, ale jest przybliżona. Na uniwersytecie wileńskim uczyła się pokaźna ilość Żydów i tam podnosiła swe kwalifikacje. Później część ich zaczęła wyjeżdżać do Izraela, gdzie się osiedlała i krzewiła mowę żydowską, co prowadziło do sporów z hebraistami.

Język żydowski miał 4 regionalne wymowy: „polską”, ze stolicą w Warszawie, galicyjską ze stolicą we Lwowie, drobna grupa mówiła po wołyńsku, oraz najpowszechniejszą — wileńską. Inteligencja starała się rozmawiać po wileńsku, który uchodził za podstawę języka literackiego, to był język teatrów i bardzo się rozpowszechnił. Nawet obecnie w Izraelu aktorzy w teatrach starają się mówić w wymowie wileńskiej.

Język żydowski nie jest językiem narodowym. Żydzi sefardyjscy (hiszpańskiego pochodzenia) mówią żargonem hiszpańskim. W literaturze żydowskiej najwybitniejsi pisarze pisali w wymowie wileńskiej: Mendele Mocher Sfarim, Perec, Szolom Alejchem itd. posługiwali się wymową „ludową” lub wileńskim dialektem. Żargon hiszpański nie stworzył właściwie jakiegś znaczącej literatury. W Izraelu właściwie wszystkie żargony są pogardzane, choć żydowski ma wielką literaturę i wybitnych pisarzy. Żydowska literatura powstaje więc głównie nie w Izraelu, ale w wielkich osiedlach żydowskich, np. w USA czy na zachodzie Europy. Ale to są wszystkie odpryski żydowskiej mowy wschodnioeuropejskiej. Laureat Nobla — Singer — pisze potoczną mową „polską”, ale nie literacką mową wileńską.

Obowiązujący w Izraelu język hebrajski nie stał się jeszcze językiem „ludowym”, nie ma on jeszcze cech języka żydowskiego, który był właściwym językiem ludowym. Literatura żydowska jest dlatego literaturą ludową. Literatura piękna żydowska jest pisana wymową „wileńską”. Jaki przyjęcie ona teraz kształt, trudno powiedzieć i przewidzieć, gdyż w Izraelu mowa wileńska jest właściwie mową potępianą. Jak się to dalej rozwinie — trudno przewidzieć.

A. LITWIN

London, 23 lipca 1981.

Drogi Panie Redaktorze,

Ponieważ zawsze z prawdziwą przyjemnością czytam artykuły pani Marii Danilewicz Zielińskiej, które przynoszą wiele interesujących wiadomości, pragnęłabym zrobić moją uwagę do jej artykułu pt. „Uwagi o sytuacji książki emigracyjnej”.

Chodzi mi o stwierdzenie, że „brak rozeznania sytuacji krajowej przyspieszył kłeskę *Wiadomości*”. Jako że już od 1970 roku robiłam protokoły zebrań powierników *Wiadomości*, znam chyba niezgorzej sprawę tego tygodnika.

Zamknięcie pisma spowodowane było brakiem funduszy, koniecznością zmiany lokalu i zbyt szczupłym personelem. Już przeszło rok temu Stefania Kossowska ogłosiła SOS w *Wiadomościach*, czytelnicy pośpieszyli z pomocą finansową, ale nie dość wydatną, by móc redakcję przenieść do innego lokalu i zaangażować więcej osób. Za czasów Mieczysława Grydzewskiego, który się zajmował tylko redagowaniem *Wiadomości*, całą stronę administracyjną prowadził Antoni Borman, parę osób pracowało w redakcji i administracji i były środki finansowe. Przez ostatnie lata S. Kossowska miała świetną pomoc, ale tylko na pół dnia, i sama musiała zajmować się sprawami administracyjnymi, prawnymi etc. etc., co przerastało siły jednej osoby.

A ponieważ *Kultura* paryska, *Tydzień Polski*, *Aneks* itd. zajmowały się nade wszystko bieżącymi sprawami krajowymi — dokumentami — *Wiadomości* zostały wierne swej tradycji i własnie cenione są nie tylko przez starsze pokolenie, ale nade wszystko przez młode przyjeżdżające z kraju i w kraju za wspomnienia minionych czasów, o których nigdy nie słyszały; czytały zachłannie piękne opowiadania i eseje, jakich niewiele ukazuje się w periodykach jak to obecnie się mówi „zaangażowanych”. I to było wielką wartością *Wiadomości*, że nie powtarzały tego co już było opublikowane w którymś z tygodników, miesięczników czy kwartalników, ale że dawały raczej literackie opracowania. Brak tego pisma odczuwają boleśnie i ci, którzy od pierwszego numeru je czytali, i całe rzesze świeższej daty prenumeratorów. Tak że „nie brak rozeznania sytuacji krajowej” był przyczyną smutnej konieczności zamknięcia z honorem zasłużonego tygodnika.

Szczegółowe wyjaśnienie pióra Stefanii Kossowskiej znaleźć można w ostatnim numerze *Wiadomości*.

Serdeczne słowa łączę,

Aniela MIECZYŚLAWSKA

Paryż, 16 lipca 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Drugiego lipca odbyła się w Kolonii dyskusja, poświęcona aktualnej

sytuacji w Polsce, zorganizowana z inicjatywy grupy „Evangelische Studentengemeinde”.

Nie warto byłoby rozwodzić się nad tym jednym z wielu podobnych spotkań, gdyby nie zdumiewające i unikalne w swoim rodzaju wypowiedzi przedstawiciela Konfederacji Polski Niepodległej p. Macieja Pstrąg-Bieleńskiego. Nie wiem, czy wyrażał on stanowisko organizacji czy swoje własne, gdyż nie sposób ostatnio wyjaśnić, kto reprezentuje to ugrupowanie poza Krajem. Pełnomocnik Rady Politycznej KPN Władysław Gauza i jego zastępca Tomasz Strzyżewski wydali na początku kwietnia oświadczenie (patrz: *Kultura* nr 404), w którym twierdzą, że p. Pstrąg-Bieleński samowolnie ogłosił się pełnomocnikiem Rady Politycznej na Zagranicę. Miesiąc później kilka pism polonijnych opublikowało dementi, dotyczące „(...) mnożących się intryg przeciwko współzałożycielowi i Pełnomocnikowi KPN na Zagranicę” i stwierdzające, że pp. Gauza i Strzyżewski nie reprezentują KPN. Tekst ten wydano 15 maja w Warszawie a sygnowany jest przez „Radę Polityczną KPN” bez podania jakichkolwiek nazwisk gwarantujących jego autentyczność. Tak więc dojść prawdy nie sposób. Ale nie tym chcę się tutaj zajmować.

Podczas całego spotkania p. Pstrąg-Bieleński konsekwentnie czynił wszystko w kierunku maksymalnego zafałszowania obrazu dzisiejszej Polski, kierunku przemian społeczno-politycznych, charakteru niezależnych ugrupowań, działających od kilku lat.

Na wstępie jednoznacznie podzielił on całe społeczeństwo na dwie grupy: „ich” — czyli całą partię i aparat władzy państwowej, oraz „nas” — czyli społeczny ruch oporu z Konfederacją na czele, stanowiącą „jedyną sformułowaną dotychczas polityczną alternatywę w stosunku do rządzącej partii zdrady narodowej. KPN — twierdził Pstrąg-Bieleński — ma kolosalne poparcie społeczne. Dowodem mogą być masowe akcje protestacyjne na rzecz uwolnienia jej więzionych przywódców”. I kilka innych wypowiedzi (żadna nie jest cytatem): „Program i statut KPN są wywieszone we wszystkich lokalach 'Solidarności' (...) KPN odgrywa ogromną rolę, oferując konkretny program polityczny, który uzyskał społeczną akceptację (...). W przyszłych wolnych wyborach grupy z programem socjalistycznym nie będą miały żadnych szans. Nikt w Polsce nie wierzy w socjalizm (...). Zbliżający się zjazd PZPR nie ma żadnego realnego znaczenia dla Polski. Jest to kolejna szopka partyjnych aparatczyków, marginalna w skali społeczeństwa (...). W ciągu najbliższych lat Polska uzyska pełną niezależność; dni Związku Sowieckiego są już policzone. W wyniku silnych wewnętrznych ruchów niepodległościowych dojdzie tam do otwartego konfliktu, w wyniku którego Syberia zostanie oderwana — a Związek Sowiecki bez Syberii przestaje być imperium. Wtedy staniami się krajem niepodległym”.

Można by jeszcze wymienić dalsze przykłady, ale brak miejsca zmusza do skróconego potraktowania tematu.

Dla każdego, kto choć wrywkowo śledzi doniesienia z Kraju jest sprawa bezdyskusyjną, że podział całego społeczeństwa na „złą partię” i „dobry lud” nie ma dziś żadnego zastosowania — chyba, że stawia się tezy, których nie sposób obronić w obecnej polskiej rzeczywistości.

Gdy masowe, zorganizowane wystąpienia w obronie uwięzionych działaczy KPN interpretuje się jako miarę poparcia dla ich programu politycznego, jest to zwyczajne fałszerstwo. We wrześniu ubiegłego roku sam brałem udział w opracowywaniu rezolucji Niezależnego Zrzeszenia Studentów w Krakowie, protestujących przeciw więzieniu Leszka Moczulskiego, lecz jednocześnie program i metody działania KPN były dla mnie przykładem kompletnego oderwania (świadomego czy nie — nie wiem) od rzeczywistości. Od sprzeciwu wobec przesładowania za publicznie głoszone przekonania do akceptacji tych przekonań wiedzie daleka droga.

P. Pstrąg-Bieleński nie miał okazji przebywać w żadnym lokalu „Solidarności”, nie wiem więc skąd otrzymał fałszywe informacje o wywieszonych tam programach KPN, co — jak się domyślam — ma pośrednio sugerować poparcie niezależnego ruchu związkowego.

P. Pstrąg-Bieleński nie ograniczył swoich wypowiedzi do tego jednego spotkania. Rozjeżdżając po świecie jako „pełnomocnik najpoważniejszej organizacji opozycyjnej w Polsce” (patrz: *Wiadomości Polskie* nr XII. 1980/I. 1981) prowadzi w środowiskach polonijnych konsekwentną — i, niestety, często skuteczną — kampanię dezinformacyjną. Na podstawie doświadczeń z kolońskiego spotkania pragnę ostrzec przyszłych potencjalnych słuchaczy p. Pstrąg-Bieleńskiego przed łatwowiernym traktowaniem go jako źródła obiektywnej informacji o sprawach krajowych. Jeśli komuś powyższe przykłady nie wystarczą — odsyłam do wspomnianych już *Wiadomości Polskich**, które publikując wystąpienia p. Pstrąg-Bieleńskiego od ponad roku pośredniczą w tej akcji.

Andrzej MIETKOWSKI

(przedstawiciel

Niezależnego Zrzeszenia Studentów)

23 lipca 1981.

Drogi Panie Redaktorze!

Myszę, że nie przesadzam twierdząc, iż każdy numer *Kultury* to nie tylko „Szkiecy — Opowiadania — Sprawozdania”; to także dokument, który niewątpliwie będzie pomocny dla przyszłych historyków w odtworzeniu obecnego okresu historii Polski.

Dlatego uważam za wskazane zwrócić uwagę na notatkę w dziale „Wydawnictwa miesięczne” (nr 7/8 z 1981 r.), w której mój zmarły przyjaciel Marian Szczepanowski został omyłkowo nazwany Adamem.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Adam NASIELSKI

Sztokholm, 17 lipca 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Coraz większego rozgłosu nabiera sprawa uchodźców z Polski. Wraz z potęgującym się kryzysem gospodarczym, niedostatkami żywności i lekami przed agresją sowiecką, rośnie liczba Polaków, zwłaszcza młodych, którzy decydują się opuścić kraj na zawsze. I to u progu jednocześnie zapowiadającej się przemiany demokratycznej w Ojczyźnie i rosnącej nadziei na niezależne współdecydowanie o Jej losach poprzez „Solidarność”. Obóz uchodźczy w Wiedniu jest przepelniony, ludzie mieszkają już w namiotach, rząd austriacki apeluje do państw zachodnich o zwiększenie kwot przyjęć uchodźców wschodnioeuropejskich. Zasiłki na utrzymanie Polaków oczekujących decyzji emigracyjnych w RFN przekraczają możliwości budżetowe władz lokalnych. Policja szwedzka odmawia przyjmowania podań o azyl, odsyłając, na podstawie wprowadzonych od 1 kwietnia nowych przepisów, każdego przybysza z Polski nie-turystę na lotnisko lub do portu i siłą wydalając z granic państwa. Tylko prasa szwedzka czasami nieśmiało przeciwko temu protestuje; policja robi swoje. Nawet Radio Warszawa, dotychczas milczące —

* Wychodzą w Sztokholmie.

wraz z pozostałymi środkami przekazu PRL — o „wstydlivej” sprawie uciekinierów, zorganizowało nagle dyskusję (bez wniosków) w popularnej audycji młodzieżowej „Radio-kurier”. W USA prezes Kongresu Polonii Aloysius Mazewski złożył podobno wizytę w Białym Domu, był przyjęty i prosił o zwiększenie „kwoty” uchodźców-Polaków, lecz prośba, uprzejmie oczywiście wysłuchana, niekoniecznie była spełniona... Czyżby więc po głośnym *exodus* uchodźców kambodżańskich, wietnamskich i afgańskich dojrzał problem uciekinierów polskich? Dotychczasowy brak zainteresowania się sprawą ze strony Komisarzy do Spraw Uchodźców ONZ i Międzynarodowego Czerwonego Krzyża powoduje, że tragedie jednostkowe osób i rodzin stają się tragedią zbiorową, gdy tysiące zrozpaczonych, zrujnowanych finansowo, lecz zdeterminowanych do emigracji naszych rodaków oczekuje w niepewności swojego losu. O ogromie nieszczęścia dowiadujemy się przypadkowo, np. prasa szwedzka doniosła niedawno, że ludzie, którym odmówiono prawa azylu, porywali się na swoje życie... Zwracam się do Szanownego Pana Redaktora z prośbą, aby za pośrednictwem swoich Czytelników poruszył ten aktualny problem z myślą o umiędzynarodowieniu pomocy polskim uchodźcom, na wzór zorganizowanej już pomocy żywnościowej i medycznej dla Kraju, ponieważ „Solidarność” sprawy tej z oczywistych względów podjąć nie może.

Z wyrazami szacunku,

Władysław NOWIK

SPROSTOWANIE

Zamieszczony w podwójnym numerze *Kultury* (7/406-8/407) artykuł pt. „Aktywizacja mniejszości ukraińskiej w Polsce” (str. 125-130) przez niedopatrznie podpisany został „Benedykt Heydenkorn”, podczas gdy autorem tego artykułu jest dr Roman SOLCHANYK. Za ten przykry błąd serdecznie przepraszamy Autora.

REDAKCJA KULTURY

Dokumenty

KONWERSATORIUM „DOŚWIADCZENIE I PRZYSZŁOŚĆ”*

Raport trzeci

WSTĘP

Od chwili ogłoszenia pierwszego raportu Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” upłynęło ponad półtora roku; od chwili ogłoszenia drugiego raportu — ponad pół roku. W skali spraw poruszonych w tych raportach nie jest to czas bardzo długi — tym bardziej, że owe sprawy nie zostały do dzisiaj rozwiązane lub rozwiązano je tylko prowizorycznie i bez gwarancji trwałości, wysunięte zaś przez nas propozycje nie utraciły — generalnie rzecz biorąc — aktualności. Wiele z tych propozycji uzyskało zresztą szerokie uznanie nawet w środowiskach, które początkowo dość nieufnie odnosiły się do orientacji reprezentowanej przez nasze Konwersatorium.

Niemniej jednak sytuacja naszego kraju wymaga dziś ponownego rozważenia. Po wydarzeniach lata i jesieni 1980 roku społeczeństwo polskie jest już innym pod wieloma względami społeczeństwem, chociaż wciąż pilnie wymaga demokratycznych reform i rozumnego programu działania. Sformułowane wcześniej postulaty i programy, jeśli nawet nie budzą zastrzeżeń co do swego zasadniczego kierunku, nie mogą dzisiaj wystarczyć, a to z paru powodów:

1. Jeszcze przed kilku miesiącami najważniejszym problemem było wydobycie naszego kraju ze stanu totalnej stagnacji, rzeczą

* Zespół Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”: Wojciech Adamiecki, Stefan Bratkowski, Kazimierz Długokęcki, Kazimierz Dziewanowski, Bohdan Gotowski, Jan Górski, Cezary Józefiak, Andrzej Krasiński, Jan Malanowski, Andrzej Stelmachowski, Jerzy Stembrowicz, Jan Strzelecki, Jerzy Szacki, Klemens Szaniawski, Lech Tomaszewski, Andrzej Wielowieyski, Andrzej Zakrzewski, Witold Zalewski, Jerzy Zieliński.

zaś najtrudniejszą okazywało się z reguły wskazanie sił społecznych, które potrafiłyby tego dokonać. Niejednemu z nas wydawało się wtedy, że lepszy jest jakikolwiek ruch niż dalsze pograżanie się w obojętności i demoralizującej apatii. Obecnie mamy wprowadzić do czynienia z trwającą stagnacją gospodarczą i niezmiennym skostnieniem wielu struktur organizacyjnych, ale nie może już być mowy o stagnacji politycznej czy społecznej. Wprost przeciwnie, jesteśmy świadkami największego w dziejach Polski ruchu masowego. Chwilami zmiana wydaje się wręcz wszechobecna i troszczyć się trzeba nie o to, by doszła do skutku, ile o to, by miała właściwy kierunek i rozsądne tempo. Inaczej mówiąc, musimy uczyć się działania w warunkach politycznej i społecznej niepewności, w sytuacji, która do działania zmusza. Nikt nie może pozwolić sobie na neutralność. Nikomu nie jest też dany prosty wybór między bezwarunkowym poparciem władzy, a moralnym wobec niej protestem. W każdym momencie trzeba uwzględnić wielość działających czynników i przeciwstawiających się sobie sił społecznych.

2. Przed kilku miesiącami wydawało się jeszcze możliwe i sensowne obmyślanie rozmaitych cząstkowych reform i układanie prognoz, których realizacja rozciągałaby się na długie lata nieokreślonej przyszłości, kiedy to pojawią się bardziej sprzyjające warunki dla przebudowy społecznej. Wybiegające w przyszłość programy potrzebne są, oczywiście, i dzisiaj, są nawet wręcz niezbędne, ale po pierwsze, niczego nie można już odkładać, po drugie zaś — reforma skuteczna musi być całościową rekonstrukcją systemu. Konieczność pośpiechu wynika stąd, że zmiany i tak się dokonują, w związku z czym nadmierne przedłużenie namysłu prowadzi jedynie do tego, że mają one charakter żywiołowy i chaotyczny. Rezygnacja z inicjatywy oznacza nie opóźnianie zmian, lecz kapitulację przed żywiołem. Konieczność całościowej rekonstrukcji wynika stąd, że istniejący system polityczno-społeczno-gospodarczy (przypominamy wprowadzone przez nas rozróżnienie „systemu” i „ustroju”) uległ daleko posuniętej dekompozycji. W istniejących obecnie warunkach ograniczanie reformy do minimum skazuje ją na porażkę. Samo tylko pojawienie się wielomilionowej „Solidarności”, która jest drugą obok Kościoła katolickiego potężną siłą społeczną, niepodatną na nakazy płynące z politycznego centrum, daje dostateczne wyobrażenie o skali przeobrażeń, jakim musi ulec system, aby przystosować się do zmienionych warunków. Mamy do czynienia z zasadniczo nową sytuacją, która wymaga rozpatrywania niezbędnych zmian w sposób globalny i uwzględniający wszystkie nowe realia.

3. Przed kilku miesiącami można było się łudzić, że wyjście

z kryzysu będzie stosunkowo bezbolesne. Złudzenia te wynikały w części z ograniczenia dostępu do informacji o rzeczywistej sytuacji gospodarczej, w części zaś stąd, że słabości naszej gospodarki nie ujawniły się jeszcze w całej pełni. Wiadomo było, oczywiście, że nieuchronny będzie zauważalny spadek płacy realnej, postępujący rozkład rynku czy też szereg perturbacji związanych z niedostatkiem energii i środków transportu. Brakowało jednak wyobraźni, aby przedstawić sobie cały dramatyzm sytuacji, która ze względu na stopień rozregulowania najważniejszych mechanizmów gospodarczych może być porównana tylko do sytuacji z pierwszych lat powojennych. Jeszcze dzisiaj wielu ludzi zdaje się mniemać, że istniejące trudności mogą zostać szybko przezwyciężone. Otóż najwyższy czas powiedzieć sobie, iż musimy nauczyć się życia w warunkach długotrwałego kryzysu, pod presją trudności wszelkiego rodzaju, w obliczu zagrożenia, z jakimi nie każde pokolenie się spotyka. Niezależnie od tego jak rozkłada się wina za doprowadzenie Polski do jej obecnego stanu, nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo będzie musiało zapłacić koszty naprawy. Rzecz w tym tylko, aby koszty te były sprawiedliwie rozłożone, a nieuniknione wyrzeczenia milionów ludzi pracy nie poszły na marne. Trzeba to sobie uświadomić, aby nie dawać posłuchu demagogom, którzy nie będą, być może, szczerzyli obietnic, aby zawrócić społeczeństwo ze słusznej drogi społecznej przebudowy, którą na poły instynktownie wybrało.

Rozdział I

SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE PO SIERPNIU 1980 ROKU

Aby opracować właściwy program działania, trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę, na czym polega wspomniana inność polskiego społeczeństwa po wydarzeniach lata i jesieni ubiegłego roku. Wiemy, że prawie nietknięte zostały strukturalne źródła kryzysu. Wiemy, że do tej pory nie wyłoniła się żadna wyrazista i realistyczna wizja narodowego odrodzenia. Wiemy, że brak spójnego i akceptowanego przez większość społeczeństwa projektu reform. Wiemy też, aż nadto dobrze, iż życie codzienne stało się jeszcze trudniejsze, a niepokój milionów Polaków obejmuje dziś najbardziej podstawowe sprawy bytu narodowego. Niemniej jednak, można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że w naszym życiu społecznym dokonały się ogromne zmiany na lepsze, dzięki którym Polska stanęła przed historyczną szansą większą zapewne niż w październiku 1956 roku. Trzeba prze-

ciwstawić się stanowczo tym wszystkim, którzy w nowej sytuacji dostrzegają wyłącznie objawy dezorganizacji i chaosu, tendencyjnie je zresztą wyolbrzymiając w złudnej nadziei, że przestraszone perspektywą anarchii społeczeństwo zrezygnuje ze swoich aspiracji.

Optymistyczną w sumie ocenę współczesnego społeczeństwa opieramy na następujących przesłankach:

1. Nigdy w całym okresie powojennym aktywność polityczna nie objęła tak szerokich kręgów społeczeństwa. Aktywizacja ta nie objęła w równym stopniu wszystkich środowisk i wszystkich regionów kraju, masowo jednak pojawiają się nowe ośrodki inicjatywy społecznej, a większość społeczeństwa otrząsa się z apatii, w jaką popadła w poprzednim okresie na skutek braku perspektyw i politycznego ubezwłasnowolnienia. Temu ożywieniu nie zawsze towarzyszy jasne rozpoznanie zbiorowych potrzeb i zadań, ale nie ulega wątpliwości, że jest ono koniecznym warunkiem naprawy Rzeczypospolitej. Szczególne znaczenie ma solidarne wystąpienie na rzecz radykalnej zmiany stosunków w naszym kraju ze strony klasy robotniczej, która objawiła się jako siła społeczna, o wysokim stopniu świadomości politycznej i zdolnościach organizacyjnych. Robotnicy wzięli na serio to, co przez lata, a bez żadnych praktycznych konsekwencji, mówiono im o przodującej roli klasy robotniczej. Ucieleśnieniem tej wielkiej siły społecznej stał się NSZZ „Solidarność”, którego lawinowy rozwój, aczkolwiek nie wolny od niebezpieczeństw, stanowi najważniejszą gwarancję nieodwracalności odbywających się w Polsce procesów demokratyzacyjnych. Powstanie tego związku otworzyło nową fazę w ewolucji polskiego społeczeństwa socjalistycznego, wprowadzając do niego element rzeczywistego pluralizmu, który nie może być zepchnięty — jak to usiłowano zrobić z Kościołem katolickim — do sfery prywatności, czy też potraktowany jako przeżytek. Zrzeszeni dziś w NSZZ „Solidarność” robotnicy jednoznacznie wyrazili swą dezaprobatę dla monocentrycznego porządku społecznego, odbierając zarazem podtrzymującym go instytucjom prawo do przedstawiania siebie jako ich jedynych reprezentacji. Przyszłe drogi NSZZ „Solidarność” nie zarysowały się jeszcze wyraźnie, ale już teraz nie ulega wątpliwości, że jako reprezentacja interesów pracowniczych stał się on trwałym elementem naszego systemu społecznego, mogącym pełnić funkcję przeciwwagi odradzających się tendencji centralistyczno-biurokratycznych. Tak więc mamy do czynienia nie tylko z aktywizacją, ale i z organizacją społeczeństwa.

2. Mimo nierównomierności rozwoju masowego ruchu demokratycznego w naszym kraju, a nawet istnienia grup w dużej swej części biernych lub zgoła niechętnych reformom, uderzającą

cechą obecnej sytuacji jest burzenie barier międzyrodowiskowych, wytwarzanie się więzów solidarności i współdziałania, odnawianie się więzi społecznych wymykających się spod reglamentacji administracyjnej. Okazało się, że w sprzyjających warunkach zniszczone więzi społeczne stosunkowo szybko się regenerują, obserwowana zaś od wielu lat atomizacja i dezintegracja społeczeństwa nie była bynajmniej procesem nieodwracalnym. Płyńcie stąd wniossek, że droga do umocnienia dyscypliny społecznej i narodowej jedności nie musi prowadzić przez wyłączenie spod jakiegokolwiek kontroli rozbudowę organów władzy państwowej; drogą skuteczniejszą bywa dobrowolne współdziałanie zaktywizowanych środowisk społecznych. Doniosłe znaczenie ma zwłaszcza zawiązana w okresie strajków współpraca między inteligencją a klasą robotniczą, albowiem właśnie brak tej współpracy przesądził o niepowodzeniu wielu wcześniejszych wysiłków reformatorskich. Na uwagę zasługuje społeczna aktywizacja środowisk twórczych, wykraczająca daleko poza tradycyjne już w Polsce wystąpienia literatów i stosunkowo niewielkiego odłamu pracowników nauki. Powstaje intelektualne zaplecze masowego ruchu demokratycznego, kształtują się koncepcje, których nie można już będzie zbyć stwierdzeniem ich niezgodności z ustalonymi kanonami myśli marksistowskiej. Koncepcje te świadczą m.in. o odradzeniu się przebogatej myśli socjalistycznej, której zbyt często nadawano wyłącznie etatystyczną wykładnię. Nowej treści nabiera też całkowicie na pozór skompromitowane hasło sojuszu robotniczo-chłopskiego, albowiem chłopci śledzą z sympatią nowy ruch robotniczy, ten ostatni zaś — jak widać na przykładzie NSZZ „Solidarność” — nie rezygnuje z obrony interesów chłopskich, w szczególności z obrony prawa chłopów do zrzeszania się.

3. Masowy ruch społeczny, który rozwinął się w Polsce, wykazuje zaskakującą dla wielu obserwatorów dyscyplinę i zmysł organizacji. Przebieg wydarzeń był i jest stosunkowo spokojny, co widać nawet na podstawie skłonnych do panikarstwa źródeł oficjalnych. Tym samym obalony został w praktyce przesąd, według którego jedynym źródłem ładu społecznego jest aktywność administracji i innych władz. Stało się też jasne, że trwające w naszym kraju od wielu lat zamieranie pracy społecznej było tylko wyrazem niechęci do jej urzędowych organizatorów i zrytualizowanych form. Liczne kręgi społeczne odkrywają dzisiaj na nowo ideę zrzeszenia, powstającego z woli swych uczestników dla samorządnego rozwiązywania problemów doniosłych dla danego środowiska. Przyczynia się to do przewyciężenia bierności cechującej do tej pory wielu Polaków. Godne uwagi jest nie tylko powstawanie nowych struktur organizacyjnych, ale i budzenie się z letargu wielu istniejących od dawna organizacji, a więc

podstawowych organizacji partyjnych, szerokiego aktywu stronnictw sojuszniczych, branżowych związków zawodowych, organizacji młodzieżowych, związków twórczych, towarzystw naukowych, itp. Obserwujemy liczne przypadki bezinteresownej aktywności społecznej, podejmowanej nierzadko przez ludzi, którzy przez długie lata trzymali się na uboczu, zamykając się w wąskim kręgu rodzinnym i przyjacielskim.

4. Wydarzenia ostatnich miesięcy pokazały raz jeszcze, jak wielką siłą społeczną jest w Polsce katolicyzm. Kościół i ludzie wierzący manifestowali od dawna swoją obecność w życiu publicznym kraju, często spotykając się z lekceważeniem i brakiem zrozumienia ze strony władz. Wybór papieża-Polaka oraz działalność Episkopatu i laikatu, nacechowana głęboką troską o przyszłość kraju, wydatnie wzmocniły pozycję katolicyzmu. Żaden polski polityk nie może abstrahować od faktu, że działa w społeczeństwie o znacznej większości ludności katolickiej. Katolików nie można już traktować jako obywateli drugiej kategorii, którzy mogą wprawdzie się modlić, ale mają ograniczony dostęp do stanowisk i ciał przedstawicielskich, ograniczone prawo do wypowiedzi i zrzeszania się. Jest rzeczą oczywistą, że w obecnych warunkach Kościół katolicki staje się istotnym czynnikiem równowagi społecznej i odnowy moralnej. Zarysowuje się przeto realna szansa polskiego „kompromisu historycznego”, opartego na zrozumieniu przez obie strony historycznych i społecznych realiów.

5. Przeobrażanie się społeczeństwa polskiego z masy bezsilnych i połączonych głównie wspólną zależnością od władzy jednostek w społeczeństwo w pełnym tego słowa znaczeniu umożliwiło pojawienie się tego szczególnego zjawiska ostatniego okresu, które publicystyka nazwała umową społeczną. Rozwiązania są coraz częściej negocjowane, nie zaś wymuszane, chociaż oczywiście element nacisku odgrywa istotną rolę w poczynaniach rządu, jak i w działalności zorganizowanych sił społecznych. W każdym społeczeństwie istnieją sprzeczne interesy i dążenia, toteż rzecz nie w tym, by wyeliminować z życia społecznego wszelkie konflikty, lecz w tym, by znajdować formy ich pokojowego rozwiązywania lub przynajmniej minimalizować szkody, jakie wynikać muszą z otwartego starcia między grupami o przeciwstawnych interesach, a zwłaszcza starcia między społeczeństwem a władzą. Aby to było możliwe, każda z zainteresowanych stron musi mieć szansę publicznego artykułowania swych interesów, a także musi odznaczać się gotowością do rezygnacji z fałszywego identyfikowania interesów własnych z interesem społecznym. Dzięki dopełnieniu tych dwóch warunków doszły do skutku porozumienia w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu, które stały się faktycznym fundamentem ładu społecznego w naszym

kraju. Władza uznała *de facto* istnienie równoprawnego partnera w postaci społeczeństwa, społeczeństwo zaś — reprezentowane w tym wypadku przez strajkujących robotników — wystąpiło jako jeden z podmiotów przy podejmowaniu decyzji o zasadniczym znaczeniu dla przyszłości kraju. Tak więc w praktyce okazało się możliwe usunięcie tego mankamentu naszego systemu politycznego, który w pierwszym raporcie nazwaliśmy „brakiem uzgodnionych porozumień”. Niezbędne jest zrozumienie, na szczęście coraz w Polsce powszechniejsze, że również w przyszłości żadna inna droga rozładowywania konfliktów nie będzie możliwa. W tym miejscu świata każda inna droga jest związana z ryzykiem zbiorowego samobójstwa.

6. Wydarzenia ostatnich miesięcy zerwały zasłonę ideologicznego zakłamania, która od wielu lat pokrywała wszystkie dziedziny naszego życia. Aczkolwiek styl pracy środków masowego przekazu zmienia się bardzo opornie a nawet obserwujemy niebezpieczne tendencje do metod manipulowania i blokowania informacji, obywatelom naszego kraju rzeczywistość zaczyna jawić się bez upiększeń i bez osłonek. Stają się oni coraz bardziej niepodatni na propagandowe slogany — te zwłaszcza, które jawnie przeczą ich codziennemu doświadczeniu. W szczególności skompromitowana została praktyka utożsamiania socjalizmu z dorażnymi posunięciami aktualnego kierownictwa i dopatrywania się ataków na socjalizm wszędzie tam, gdzie te posunięcia nie spotykały się z bezwarunkową i natychmiastową aprobatą. Powstało zapotrzebowanie społeczne na całą choćby i najbardziej gorzką prawdę, a także na nową legitymizację istniejącego w naszym kraju ustroju politycznego.

7. Zachodzące w Polsce przemiany nie ominęły z natury rzeczy partii, która nie znalazła w sobie dość siły, aby dokonać zasadniczego zwrotu, zanim jeszcze doszło do kulminacji kryzysu. Nie potrafiła — mimo odzywających się w jej łonie głosów przestrogi — dotrzymać kroku wydarzeniom, działała kunktatorsko i defensywnie, zajmując stanowisko zgodne ze społecznymi oczekiwaniami dopiero wtedy, gdy nie mogła go już nie zająć. W partii ujawnił się głęboki konflikt między zawodowym aparatem partyjnym a masami członkowskimi i terenowym aktywem. Znaczna część aparatu okazała się niezdolna do nawiązania dialogu ze społeczeństwem i swymi zachowaniami przyczyniała się niejednokrotnie do zwiększania napięcia. Jednocześnie wielu szeregowych członków partii znalazło się w ruchu protestu, reform i zmian lub podjęło problem niezbędnych przeobrażeń w samej partii. Trzeba również stwierdzić, że za zmianami opowiedziało się również niemało ludzi z aparatu partyjnego, którzy zrozumieli, że trwanie na starych pozycjach grozi całkowitym wyobcowaniem

ze społeczeństwa i ostatecznym bankructwem politycznym. Proces ten przebiega nie bez oporów i zahamowań, a nawet natrafia na obserwowaną ostatnio kontrakcję sił konserwatywnych, których wszak porażka jest warunkiem odbudowy autorytetu PZPR. Sytuacja w PZPR nie jest jeszcze całkowicie jasna i najpewniej komplikuje się dodatkowo pod wpływem międzynarodowego kontekstu wydarzeń, mamy jednak z pewnością do czynienia z dążeniami do przekształcania tej partii w partię polityczną, która nie pretenduje do zarządzania wszystkim i wszystkimi, stara się natomiast odgrywać swą przewodnią rolę przez organizowanie sił społecznych, skupianie ich wokół jednolitej platformy zadań podstawowych, inicjowanie odpowiednich działań i — kiedy potrzeba — doprowadzanie do odpowiednich kompromisów. Jeżeli to przekształcenie się zostanie pomyślnie zakończone, będzie można mieć nadzieję na uzyskanie przez PZPR autorytetu niezbędnego do wypełniania jej funkcji ustrojowych, które w warunkach polskich muszą pozostać nienaruszalne.

Zarysowane powyżej zjawiska i procesy świadczą o głębokości zmian, jakie dokonały się w Polsce latem i jesienią ubiegłego roku. Świadczą one również o tym, że nadzieje na wydobyć się z kryzysu mają dzisiaj realną podstawę, chociaż naiwnością byłoby mniemać, że to, co najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne mamy już poza sobą. Wprost przeciwnie, najcięższy egzamin społeczeństwa polskiego dopiero się rozpoczął i będzie go ono nieraz zdawać w warunkach niesprzyjających, z jednej strony widocznej już dziś aktywizacji sił konserwatywnych, z drugiej zaś — zniechęcenia lub niebezpiecznej radykalizacji sił postępowych. Co więcej, ten egzamin będzie najpewniej trwał przez wiele lat, które nie oszczędzą nam nowych kłopotów i zagrożeń. Stało się bardzo dużo i bardzo mało zarazem. Mało, ponieważ nie nastąpiły jeszcze niezbędne zmiany instytucjonalne, nie utrwaliły się nowe struktury i mechanizmy działania społecznego, nie dokonała się poprawa warunków życia i nie zmałyły poważne niedobory surowcowe i energetyczne. Tym bardziej nie zmieniły się żadnym czarodziejskim sposobem postawy i nawyki, utrudniające przyjęcie na wszystkich szczeblach nowego stylu pracy i ułożenie po nowemu stosunków między ludźmi. Ludzie ukształtowani w dawnych strukturach z trudem, a nierzadko i niechęcią, uczą się nowych metod działania, ludzie zaś tworzący nowe struktury muszą niekiedy zaczynać od politycznego elementarza. Nie brak też jawnej wrogości, uprzedzeń, niezdolności zrozumienia cudzych racji i potrzeb. Nie brak zapewne również celowego szkodnictwa i aktów o charakterze prowokacji.

Trzeba jasno powiedzieć, że edukacja, jaką odebrało polskie społeczeństwo, nie przygotowała go do codziennej działalności

w tak zmienionych warunkach, które wymagają jednocześnie czujności i zaufania, inicjatywy i dyscypliny, demokracji i samoo graniczeń, obrony własnych interesów i stałej troski o interes wspólny. Nie nauczyliśmy się jeszcze demokracji na codzień; słowom nie zawsze towarzyszą czyny, hasła nie zawsze są wypełnione konkretną treścią. Nie dostaje nam myślenia problemowego. Fala dyskusji przetaczająca się przez nasz kraj jest doniosłym faktem społecznym, ale nie jest jeszcze, niestety, faktem intelektualnym. Zbyt wiele mówi się o objawach, zbyt mało o przyczynach, zbyt wiele o ludziach, zbyt mało o instytucjach, zbyt wiele o nadziejach, zbyt mało o programach. Dyskusje są częściej ekspresją tłumionych przez lata uczuć aniżeli wypracowaniem przemyślanych planów społecznej rekonstrukcji. Dlatego tak dużo jest w nich ogólników i to nie wykraczających przeważnie poza horyzont ideowy 1956 roku. Grozi nam, że społeczeństwo będzie mogło wprawdzie się wygadać, ale praktyczny program reform powstanie w gabinetach polityków, którzy owych reform najchętniej by w ogóle nie robili. Grozi nam również, że zwolennicy naprawy Rzeczypospolitej będą ostatecznie grupowali się nie wokół idei, lecz wokół osób, nie wokół programów, lecz wokół wczorajszych i przedwczorajszych konfiguracji personalnych. Kiedy brak myślenia problemowego, krytycyzm łatwo przekształca się w swoje przeciwieństwo: argumenty przestają się liczyć i odrzucamy lub przyjmujemy poglądy nie ze względu na to, ile są warte, ale ze względu na to, kto je głosi. A to utrwała tylko istniejące podziały zamiast torować drogę wspólnemu działaniu.

Uwagi te adresujemy do wszystkich. Kultury politycznej musi uczyć się władza i społeczeństwo, lecz od tej pierwszej oczekuje się więcej. Nikt nie jest przygotowany do działania w nowych warunkach, w których nie ma miejsca na żadną grę pozorów i na żadne poczynania arbitralne, podejmowane w celu jednostronnego narzucenia komuś własnego rozwiązania. W ciągu ostatnich miesięcy tego rodzaju skłonności ujawniły się niejednokrotnie, wydatnie opóźniając osiągnięcie społecznego pokoju i konstruktywne działanie, w którym wszyscy powinni być zainteresowani. Świadectwem niedostatku kultury politycznej jest też skłonność do zastępowania analizy układu sił społecznych interpretacją zachowań się publicznych w kategoriach mafijnych intryg.

Wszystko to sprawia, że stawianie czoła spodziewanym trudnościom i zagrożeniom nie będzie rzeczą łatwą. Tym ważniejsze jest zdanie sobie sprawy z natury owych trudności i zagrożeń, a także problemów, które wypadnie nam rozwiązywać.

Rozdział II

KONFLIKTY I ZAGROŻENIA

Wydaje się, że temat ten to przede wszystkim pytanie o sposoby, możliwości i cenę utworzenia stałego systemu porozumień społecznych we wszystkich tych sferach, gdzie istnieje konflikt i gdzie doszło do starć interesów i aspiracji.

Zanim jednak podejmiemy próbę odpowiedzi na to pytanie konieczne jest rozpatrzenie tych sfer i dziedzin, w których doszło do konfliktu: o jakie sprawy chodzi, w jakich dziedzinach życia możemy się spodziewać nowych zderzeń, a także jakie siły czy grupy społeczne będą w tych konfliktach zaangażowane. Chodzi zatem o przypatrzenie się istniejącym i spodziewanym konfliktom w dwojaki sposób. Po pierwsze: o co w nich idzie i czego dotyczą. Po drugie: kto w nich uczestniczy.

W pierwszym ujęciu sprawy przedstawiają się, naszym zdaniem, w sposób następujący:

- W dziedzinie politycznej — konflikty dotyczą swobód obywatelskich i dostępu do władzy, funkcjonowania aparatu rządzącego i w ogóle zasad uprawiania polityki.
- W dziedzinie gospodarczej — modelowania gospodarki, równowagi rynkowej, mechanizmów podejmowania decyzji, mechanizmu korekty błędów, wydajności pracy, a także społecznych konsekwencji niezbędnej racjonalizacji zatrudnienia.
- W dziedzinie spraw społecznych — zasad podziału dochodu narodowego, problemów sprawiedliwości i moralności społecznej.

Jeżeli zaś chodzi o to, kto uczestniczy w tych konfliktach, należy przede wszystkim wyróżnić podział najbardziej ogólny: na ludzi o postawie konserwatywnej i ludzi o postawie reformatorskiej. W ujęciu szczegółowym należy przyjrzeć się stosunkom pomiędzy:

- szeroko rozumianym społeczeństwem a szeroko rozumianą władzą,
- pracownikami a grupą decydującą o organizacji wytwarzania i o podziale dochodu narodowego,
- związkami zawodowymi a partią,
- wsią i miastem.

Niektórzy uważają też, że wyróżnić tu należy inne jeszcze

pląszczyzny potencjalnych konfliktów: biedni — bogaci oraz młodzi — starzy.

Władza — społeczeństwo

W tej sferze stosunków trzeba się liczyć z nieuchronnym występowaniem i zaognianiem się konfliktów. Proces osiągania porozumienia społecznego będzie procesem długotrwałym i falującym. Nie powinno to nikogo dziwić, ani zaskakiwać — jest to po prostu nieuniknione. Konflikty te, jak sądzimy, mają dziś i będą jeszcze miały przez dłuższy czas następujące trzy zasadnicze źródła:

- Nieufność i niecierpliwość obywateli w stosunku do czyniań władzy.
- Nieufność i niechęć władzy wobec samorządnych i autonomicznych poczynań i inicjatyw obywateli.
- Trudności gospodarcze i rynkowe, a zwłaszcza niedostępność pożądaných przez obywateli dóbr konsumpcyjnych.

Pierwsza przyczyna jest najmniej skomplikowana i najłatwiejsza do zrozumienia. W wielu grupach społecznych pojawiają się dążenia, aby uzyskać od razu jak najwięcej, chociaż wielu obywateli zdaje sobie sprawę z faktu, że to jest niemożliwe. Jednakże nie brak i takich, którzy sądzą, że w celu osiągnięcia czegokolwiek najlepiej jest żądać od razu wszystkiego. Inni są tak niepewni trwałości obecnego wpływu mas na politykę w kraju, że chcą, póki można, osiągnąć jak najwięcej, spodziewając się, że w przyszłości władza znów przestanie się liczyć z postulatami społecznymi. Za takim podejściem przemawia, niestety, doświadczenie historyczne. Nie można też od ludzi spychanych przez lata do roli bezmyślnych wykonawców poleceń wymagać aby z dnia na dzień zaczęli myśleć kategoriami ogólnospołecznego interesu. Jeżeli w naszym kraju brak dzisiaj nawyków demokratycznego myślenia i działania, to odpowiedzialność za to spada na tych, którzy konsekwentnie tępiłi takie nawyki, a nie na tych, którzy nie mieli ich gdzie się nauczyć. Jednakże bez względu na to jak łatwo jest wytłumaczyć owe postawy zniecierpliwienia, nie ulega wątpliwości, że kryje się w nich niemałe niebezpieczeństwo dla gospodarczej i społecznej stabilizacji kraju.

Druga przyczyna jest groźniejsza i trudniej ją usprawiedliwić, choć jej korzenie historyczne są również jasne. Rozbudzone aspiracje polityczne szerokich kręgów społecznych, podobnie jak rozbudowa różnych form samorządności, natrafiają i będą przypuszczalnie natrafiały na opór licznych ogniw władzy. Ludzie sprawujący władzę na różnych szczeblach również podlegali edukacji

praktycznej, podobnie jak rządzeni — tyle, że skierowanej inaczej. Aparat władzy jest zbyt przyzwyczajony do posiadania wyłącznego monopolu inicjatyw i decyzji, aby można było oczekiwać z jego strony chętnego wychodzenia naprzeciw przedsięwzięciom, które ten monopol w jakiejś mierze ograniczają. Widzieliśmy już wielokrotnie, że wszelka inicjatywa oddolna, nie uzgodniona i nie nakazana — budzi wręcz instynktowny opór i niechęć ludzi z kręgu władzy, a o tym, aby mogła być powitana i popartą nie ma na ogół mowy. Wszystko wskazuje na to, że upłynięcie jeszcze sporo czasu, zanim w skali całego kraju wykształcą się odpowiednio sprawne mechanizmy mediacji, osiągania kompromisu, a tym bardziej współpracy dla wspólnych celów. Powstanie autentycznych związków zawodowych może być traktowane dopiero jako pierwszy krok na drodze do utworzenia ram instytucjonalnych dla stałego i skutecznego rozładowywania konfliktów, a w perspektywie dla rzeczywistego „społecznienia władzy”.

Wreszcie trzecia przyczyna konfliktów: potęgujące się trudności gospodarcze, których najbardziej wymownym i dotkliwym dla każdego niemal obywatela objawem jest fatalne zaopatrzenie rynku. Malejąca podaż artykułów konsumpcyjnych w połączeniu z rosnącym na skutek podwyżki płac popytem i zamrożeniem cen podstawowych towarów musi przez dłuższy jeszcze czas prowadzić do dalszego pogarszania się sytuacji, a w konsekwencji do wzrostu niezadowolenia i nieufności we wszystkich grupach społecznych, nawet jeżeli rząd będzie dla przywrócenia równowagi rynkowej robił więcej, niż robi obecnie. Dochodzi do tego, że już brakuje i będzie brakowało niektórych podstawowych artykułów pierwszej potrzeby, a także licznych towarów i środków produkcji niezbędnych dla pracy rolnictwa i rzemiosła. Może to mieć głęboki wpływ na kształtowanie się negatywnych postaw wobec władzy, którą wielu obywateli zazwyczaj obarcza odpowiedzialnością za wszystkie braki.

Decydenci — pracownicy

Jest to obszar rzeczywistych podziałów społecznych, których geneza sięga najwcześniejszych lat Polski Ludowej. Opisany w poprzednich raportach brak rzeczywistej kontroli społecznej, brak mechanizmów negocjacji i osiągania porozumienia, brak autentycznych form wyrażania potrzeb, interesów i aspiracji różnych grup społecznych sprzyjał od początku powstawaniu trwałych podziałów w społeczeństwie i powstaniu ściśle związanej z elitą rządzącą grupy biurokratycznej administracyjno-partyjno-gospo-

darczej skupiającej w swych rękach ogromną i niekontrolowaną władzę.

Pierwsza połowa lat siedemdziesiątych stworzyła ekonomiczne podstawy dla dalszego rozwarstwiania. Potężny zastrzyk pożyczek, który umożliwił ożywienie gospodarki stworzył jednocześnie szczególnie dogodne warunki dla wzmocnienia pozycji grupy tzw. „decydentów”, a także dla mariażu władzy z bogactwem, a w efekcie dla degeneracji znacznej części aparatu rządzącego.

Z tego punktu widzenia rok 1976 jest ważną datą. W związku z załamaniem się gospodarczym ujawniły się wówczas rzeczywiste linie podziału i różnice interesów. Spowodowało to jednocześnie zacieklą obronę swej pozycji przez ekipę rządzącą i jej zaplecze biurokratyczne. Sięgnięto bez żenady i na masową skalę do metod niepraworządnych, a nawet przestępczych. W trakcie zaś tego procesu biurokratyczne zaplecze zostało wzmocnione politycznie i ekonomicznie poprzez masowe stosowanie przywilejów, tolerancję dla korupcji i łamania prawa.

Formalnie rzecz biorąc grupa „biurokracji” składa się również z pracowników, ale pracowników szczególnego rodzaju, którzy faktycznie władają środkami produkcji, ustalają zasady podziału dochodu narodowego (uwzględniając przede wszystkim własne cele), i sami decydują o własnych dochodach, formalnych i nieformalnych, jawnych i ukrytych. Dlatego też przewidywać można, że ta grupa, a przynajmniej jej znaczna część, w chwili ukonstytuowania się autentycznej reprezentacji świata pracy, jaką jest „Solidarność” znajdzie się z nią w stanie konfliktu. Można bowiem sądzić, że nowe związki zawodowe będą dążyły do rzeczywistego uspołecznienia środków produkcji, a także będą zainteresowane istnieniem możliwie jasnych i zrozumiałych reguł gry zarówno gdy idzie o stosunki pracy, jak i o swoje miejsce w życiu publicznym. Grupa biurokratyczna wręcz przeciwnie: walczyć będzie o utrzymanie monopolu władzy i swobodnego władania środkami produkcji bez żadnej kontroli.

Dla związków i w ogóle dla zatrudnionych (mimo naturalnych różnic interesów, jakie nieraz między nimi występują) takie zasady tradycyjnie uznawane za socjalistyczne jak sprawiedliwość społeczna w podziale dochodu narodowego, uzależnienie płacy od pracy, ochrona grup ekonomicznie najsłabszych itd. — są korzystne i do zaakceptowania. Już dziś widzimy w licznych zakładach pracy starania grup „Solidarności” o trwałe ustanowienie tych zasad. Natomiast dla „biurokracji” są one trudniejsze do zaakceptowania, ponieważ pozbawiłyby ją uprzywilejowanej sytuacji nic w zasadzie w zamian nie dając.

Podobnie ostre różnice interesów występują i w innych kwestiach. Na przykład, dla pracowników i ich związków zawodowych istnienie partii (PZPR), kierującej się zasadami sprawiedliwości społecznej i na tyle silnej, by móc spełniać rolę arbitra — byłoby zapewne korzystne. Natomiast dla „biurokracji” taka partia byłaby zagrożeniem i stąd bierze się dążenie do zatarcia podziałów między nią a partią, dążenie do wzajemnego przenikania i osłabiania zdolności działania partii jako siły politycznej, do przemieniania jej w zbiurokratyzowany aparat.

Uświadomienie sobie przez społeczeństwo tej sytuacji jest o tyle ważne, że można się spodziewać, iż w obronie swoich przywilejów i stanu posiadania część „biurokracji” — nie bacząc na związane z tym zagrożenie państwa i narodu — będzie dążyć do:

- kompromitowania idei nowych związków zawodowych, przeszkadzania im w działalności, tworzenia konfliktów, które uzasadniałyby tezę, że nowa umowa społeczna jest niemożliwa;
- sprzeciwiania się powstawaniu samoregulatorów w gospodarce i w życiu społecznym, co może grozić uniemożliwieniem wszelkich reform gospodarczych;
- przeciwdziałania tworzeniu się nowych reguł gry między związkami zawodowymi a partią, co grozi kolejnym kryzysem zaufania między władzą a społeczeństwem.

Partia — ruch zawodowy

Jest to bez wątpienia najważniejszy dziś problem polityczny w Polsce. W nim też zawierają się zarówno największe niebezpieczeństwa jak i największa szansa na dokonanie odnowy i przełamanie kryzysu.

W sporządzonej w dniu 26 listopada 1980 roku (a więc w okresie wielkiego napięcia w Polsce) „Ocenie sytuacji” — Zespół Usługowy „DiP” napisał między innymi:

„W ośrodkach władzy zdaje się w tej chwili przeważać pogląd, że ‘Solidarność’ zmierza nieustannie do zwiększania napięcia i destrukcji ładu politycznego. Sądzimy, że przekonanie to wynika z licznych konfliktów, często lokalnych, które gromadziły się latami i nie mogą rozładować z dnia na dzień, a które normalnie towarzyszą procesom przemian. Przekonanie to wynika chyba także z lektury oderwanych wypowiedzi niektórych przywódców ‘Solidarności’, nie będących przecież politykami... Warto też podkreślić z całą mocą, że przebieg dotychczasowych wydarzeń w Polsce roku 1980 był niezwykle spokojny. Obraz ich

jest jednak wypaczony w oczach tych przedstawicieli władzy, którzy dotychczas nie przywykli do dyskusowania i negocjowania istotnych spraw z obywatelami”.

„Wielu działaczy 'Solidarności' z kolei widzi czasami władzę jako monolit nie rozróżniając w niej ludzi o różnych intencjach i stosunku do przemian. Uważają oni, że cała władza nie pogodziła się z porozumieniami gdańskimi, usiłuje oszukać nowe związki zawodowe i wycofać się z zobowiązań. Działania władz terenowych, a czasem i centralnych umacniają to przekonanie...”.

„Kierownictwo partii uważa, że 'Solidarność' przechodzi do drugiego etapu eskalując żądania i świadomie wzmagając napięcia. 'Solidarność' natomiast uważa, że poprzez prowokację typu policyjnego, przez wygrywanie atutu branżowych związków zawodowych, wreszcie przez zgłaszania przez rząd nieudanych projektów (na przykład ustawy o cenzurze, o wolnych sobotach, w dziedzinie rolnictwa, czy niektórych rozwiązań płacowych) — rząd usiłuje podważyć porozumienie gdańskie i wycofać się z niego”.

„Takie wydarzenia jak niepotrzebny konflikt wokół rejestracji 'Solidarności', który ogromnie wzmógł napięcie społeczne, jak wypadki częstochowskie... utrzymują załogi fabryczne w przekonaniu, że władze nie są szczerze, i czekają tylko momentu, aby obrócić koło wstecz. Upewnia je w takim myśleniu to, że nie wyciągnięto dotychczas żadnych konsekwencji wobec winnych katastrofy gospodarczej, korupcji, łamania prawa itp... Rząd nie ogłosił do tej pory wiarygodnego programu naprawy. Mamy tu na myśli nie program reformy ekonomicznej, bo na to potrzeba czasu, lecz program posunięć politycznych i prawnych, które zagwarantowałyby, że minione błędy nie zostaną powtórzone. Chodzi tu także o poczucie bezpieczeństwa osobistego obywateli...”.

„'Solidarność' nie jest organizacją scentralizowaną, sterowaną odgórnie. Różnią się często między sobą poglądami przywódcy, komitety a tym bardziej członkowie. W nowych związkach nie ma jeszcze okrzepłego i doświadczonego kierownictwa. Ci ludzie stoją przed zupełnie nową dla siebie sytuacją. Mają ograniczone możliwości oddziaływania na członków. Nie ma w 'Solidarności' doświadczonego aparatu wykonawczego i prawie nie ma własnych środków przekazu. Załogi robotnicze i masy członkowskie nowych związków są często bardziej radykalne od swoich przywódców i podejmują niekiedy działania na własną rękę. Również w kierownictwie nowych związków zdarzają się osoby bardzo nieufne, ponieważ mają za sobą ciężkie przejścia. Trzeba to zrozumieć. Natomiast robotnicza nieufność zrodziła się z wieloletniego doświadczenia, kiedy traktowano robotników jako ubezwłasnowolnionych”.

„Kierownictwo partii i rządu jest przekonane, że jego dobra

wola nie została zrozumiana i doceniona. Społeczeństwo jednak dotychczas niewiele wie o tej dobrej woli. Spotyka się natomiast na codzień z działaniami i reakcjami starego aparatu, który dowodów dobrej woli nie daje. W wielu zaś przypadkach całkowicie skompromitowani ludzie ze starego aparatu są przesuwani na inne, równie odpowiedzialne stanowiska, co wzmagą nieufność”.

„Najważniejszym wymogiem chwili jest zachowanie spokoju, nie pogłębianie wzajemnego niezrozumienia i braku zaufania. Wszelkie pomysły idące w kierunku zaostrzenia napięcia i ewentualnego wprowadzenia stanu wyjątkowego byłyby wręcz samobójcze. Mogą one doprowadzić do unicestwienia państwa, partii, związków zawodowych i życia zbiorowego narodu. Stan taki, gdyby usiłowano go wcielić w życie doprowadziłby w ciągu kilku dni do wojny domowej. A w Polsce wojna nie może być domowa”.

Tak przedstawiała się naszym zdaniem sytuacja w dniu 26 listopada 1980 roku. Nadal uważamy tę ocenę za słuszną, chociaż od tego czasu nastąpiły ważne wydarzenia. Z jednej strony, sprawy polskie przybrały wyraźnie wymiar międzynarodowy. Z drugiej: miały miejsce pewne okresowe złagodzenia napięć. Część kierownictwa Partii wypowiedziała się wyraźnie za nieodwracalnością procesu odnowy, a na VII Plenum KC przystąpiła do zarysowania programu dalszych działań i do wyciągania konsekwencji wobec winnych stanu, w jakim znalazł się kraj. Podjęto też szereg ważnych kroków zmierzających do przekształcenia życia publicznego w Polsce, choć czyniono to naszym zdaniem nie dość konsekwentnie i nie dość szybko.

Z kolei „Solidarność” wyraźnie okrzepła, wypowiedziała się za działaniami stanowczymi, lecz spokojnymi, zwiększyła zarówno swój ogólny autorytet w społeczeństwie, jak i autorytet swych instancji kierowniczych, opowiedziała się wyraźnie za realizacją idei umowy społecznej, w licznych przypadkach przystąpiła do działań mających na celu uporządkowanie gospodarki w ogóle, a sytuacji w poszczególnych zakładach pracy w szczególności.

Spokojny, godny i przejmujący przebieg grudniowych uroczystości na Wybrzeżu wykazał, że porozumienie społeczne w Polsce jest możliwe i opowiada się za nim przytłaczająca większość narodu.

Są to zjawiska budzące otuchę. Trzeba jednak pamiętać, że sprawa nie jest i nie będzie łatwa. Brak jest doświadczeń we współpracy między partią a siłami społecznymi, wyposażonymi w prawdziwą autonomię. Z jednej strony, PZPR przeżywa głęboki wstrząs: kłopoty kadrowe wynikające z braku demokratycznych mechanizmów wewnątrzpartyjnych, które ułatwiłyby uwol-

nienie się od osób skompromitowanych, nacisk biurokracji partyjno-administracyjno-gospodarczej, dla której ewentualny proces samooczyszczenia się partii i porozumienia ze związkami — jest po prostu zagrożeniem. Z drugiej zaś — mamy dość jeszcze płynną sytuację w organizującej się dopiero „Solidarności”, działającej nieraz w uzasadnionym poczuciu niepewności i zagrożenia, ale zarazem i własnej siły. Sytuacja ta sprzyjać może z jednej strony próbom manipulowania przez władzę związkami w terenie, a z drugiej — skłonnościom do radykalizacji organizacji związkowych. Już dziś obserwujemy pewnego rodzaju niebezpieczne błędne koło, gdy żąda się od „Solidarności” by przejęła współodpowiedzialność za sytuację w kraju, a jednocześnie w wielu przypadkach odwołuje się do przyznania jej pozycji równoprawnego partnera. Trudno też przewidzieć konsekwencje sytuacji, gdy nowe związki zawodowe staną się pełnoprawnym partnerem w procesach gospodarczych, zderzając się z inercją gospodarki nie-zreformowanej i pozbawionej mechanizmów samoregulujących.

W omawianych wyżej obszarach konfliktowych przeważają elementy polityczne. Jednak równie, a może i bardziej niebezpieczne mogą się okazać konflikty związane z sytuacją gospodarczą, a przede wszystkim sytuacją rynkową. Istnieje więc niebezpieczeństwo otwarcia się rozległego obszaru zderzenia między szeroko pojętą władzą, a szeroko pojętym społeczeństwem.

Wieś — miasto

W tej dziedzinie istnieją, jak sądzimy, pewne niebezpieczeństwa konfliktu, który może się zaostrzyć w miarę pogłębiania się trudności gospodarczych i rynkowych, a także w przypadku wystąpienia poważniejszych zaburzeń na rynku pracy. Niebezpieczeństwo to zasadza się przede wszystkim na wzajemnej niewiedzy, która podsyci obustronną nieufność. Zjawiska tego rodzaju można było szczególnie wyraźnie zaobserwować w lecie 1980 roku. Niejednokrotnie też można było zauważyć tendencje niektórych ogniw władzy do podsycania owej nieufności i niechęci, w czym sekundowały im nieraz masowe środki przekazu.

Zjawiska tego rodzaju mogą być spotęgowane przez:

- fakt, że jak na razie odnowicielski ruch społeczny objął wieś w mniejszym stopniu, niż miasto (choć i na wsi ruch ten również się objawił, lecz dzieje się to wolniej i z większymi trudnościami);
- fakt, że sytuacja na wsi po sierpniu 1980 roku uległa dalszemu pogorszeniu na skutek pogorszenia się zaopatrzenia w podstawowe środki produkcji i nawozy;

- fakt, że oszczędnościowe cięcia w sferze szeroko rozumianej polityki społecznej (zdrowie, oświata, kultura) wiesi odczuje z pewnością najsilniej i różnica w jej położeniu społecznym jeszcze się pogłębi.

Niektórzy pesymistycznie nastawieni fachowcy uważają, że na wsi daje się obecnie zauważyć osłabienie roli złotówki wynikające z dotkliwie odczuwanych braków w zaopatrzeniu. Braki dotyczą zarówno towarów konsumpcyjnych jak przede wszystkim środków produkcji (nie tylko traktorów, lecz także łopat i innych podstawowych narzędzi, nie mówiąc już o węglu i materiałach budowlanych). Rzutuje to na zachowania społeczne i może nawet spowodować cofnięcie się podstawowej grupy producentów (to znaczy gospodarstw rodzinnych) na pozycje gospodarki naturalnej. To produkowanie „dla siebie” oznaczałoby pogłębienie napięć rynkowych i odcięcie się wsi od całości gospodarki. Drastyczna już dziś sytuacja żywnościowa zaostrzyłaby się przez to jeszcze bardziej, co miałyby z kolei dalszy wpływ na postawę wsi i zaostrzenie konfliktów z miastem.

Dodatkową bolesną sprawą jest sytuacja społeczna wielkiej rzeszy mieszkańców wsi pracujących w miastach, tak zwanych chłoporobotników.

Nowy ruch związkowy stara się popierać dążenia i aspiracje gospodarzy indywidualnych, dostrzegając w nich „twórców chleba”. Stara się też ukazać prawdziwy obraz wsi i sytuację chłopów. Wciąż jednak jeszcze niewiedza, niezrozumienie, a nawet wynikająca z tego niechęć utrzymują się w szerokich, nieuświadomionych kręgach społeczeństwa miejskiego. Ponadto w opinii publicznej utrzymuje się obraz chłopów jako producenta, natomiast nie jest dostrzegany obraz jego aspiracji kulturalnych i społecznych. Zniszczona została niemal doszczętnie, tak niegdyś bujna, wiejska twórczość kulturalna i wiejskie więzi kulturalno-społeczne. Dalsze utrzymywanie tego stanu i rezygnacja z zaspokajania tego rodzaju potrzeb wsi stać się mogą źródłem poważnych konfliktów.

Inne obszary konfliktów

Każde społeczeństwo jest i będzie zróżnicowane w dziedzinie położenia materialnego. Jest to wynik naturalnych różnic między poszczególnymi ludźmi wynikających z ich cech biologicznych, psychicznych czy środowiskowych. Takie różnice nie rodzą na ogół konfliktów w skali społecznej. Konflikty pomiędzy umownie nazwanymi grupami bogatych i biednych mogą natomiast wynikać z dwóch przyczyn: po pierwsze — na tle sposobów do-

chodzenia do majątku, po drugie — na tle nadmiernej rozpiętości dochodów występującej w społeczeństwie. Pierwsze źródło tkwi w zasadach rozdziału dóbr w społeczeństwie, innymi słowy zależy od stopnia przestrzegania i realizacji podstawowej wartości ideologii socjalistycznej — równości i sprawiedliwości społecznej.

Jest to jedna z wartości tej ideologii, która przyjęła się najłatwiej i zakorzeniła najmocniej. Konflikt bogaci-biedni rodzi się więc wówczas, gdy owa wartość zostaje podeptana, a zasady sprawiedliwego podziału dóbr — złamane. W zorientowanym egalitarnie społeczeństwie — a takim jest społeczeństwo polskie — prowadzi to do silnych napięć.

Dotychczas reguły rozdziału dóbr poważnie odbiegały od koncepcji sprawiedliwości i równości społecznej. Nie stosowano fundamentalnej zasady: „Każdemu według jego pracy”, a system płac był efektem pozycji przetargowej grup mających na uwadze przede wszystkim własne, egoistyczne interesy. W tej sytuacji grupy słabsze, choć ważne społecznie (na przykład nauczyciele, pracownicy służby zdrowia czy kultury) były systematycznie spychane na koniec tabeli. Z drugiej zaś strony, rozbudowany był system przywilejów i dochodów niejawnych.

Drugie źródło napięć wynika z braku wyraźnych ustaleń co do wielkości dopuszczalnych różnic w dziedzinie położenia materialnego. W praktyce pozostawiono tę sprawę kształtowaniu żywiłowemu, co przyniosło w końcu nadmierne i nieakceptowane przez społeczeństwo nierówności. Trzeba przy tym podkreślić, że opór i wzburzenie społeczne budzą nie tyle dochody wysokie, ale jawne, oparte na zrozumiałych zasadach (dotyczy to zarówno producentów pomidorów, czy pieczarek, jak i znanych idoli kultury masowej) — ile dochody niejawne, uzyskiwane w wyniku wykorzystywania pozycji służbowej, dostępu do dóbr deficytowych itp. nie mówiąc już o licznej grupie ludzi, których wysokie dochody nie dają się w ogóle wytłumaczyć inaczej, niż poprzez rozmaite odmiany korupcji.

Utrzymywanie tego stanu rzeczy doprowadziło do protestu społecznego, a jego trwanie będzie dalej kumulować frustracje. I znowu trzeba wyjaśnić, że chodzi nie tyle o to, że niektórzy dysponują ogromnymi dochodami, ile o to, że na drugim biegunie tej skali znajdują się liczne grupy ludzi, których zarobki wyraźnie nie wystarczają nawet na minimum egzystencji. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że wiele tysięcy emerytów, rencistów, ludzi najniższych kategorii płacowych w najgorzej płatnych zawodach — wegetuje na poziomie głodowym. Dopiero w zestawieniu z tymi faktami nadmierne i nieuzasadnione dochody budzą prawdziwe wzburzenie społeczne.

Dlatego istnieje pilna potrzeba nie tylko określenia minimum socjalnego, ale również wyraźnego stwierdzenia jaki jest dopuszczalny pułap najwyższych płac uzyskiwanych z pracy w gospodarce uspołecznionej i administracji. Rozwiązanie konfliktu umownie nazwanego przez nas „biedni-bogaci” jest zatem możliwe tylko wówczas, gdy przywróci się zasadę sprawiedliwości społecznej w rozdziale dochodów i wyraźnie określi wielkość minimum i maksimum socjalnego.



Większość socjologów, działaczy, publicystów i innych obserwatorów naszego życia społecznego jest zdania, że nie ma u nas ostrego konfliktu międzypokoleniowego, że większość problemów z którymi mają do czynienia starsi, dotyczy również młodzieży — i odwrotnie. Chociaż stanowisko takie wydaje się nam generalnie słuszne, to jednak nie można pominąć pewnych ważkich problemów, które dotyczą przede wszystkim ludzi młodych.

Warunki życiowego startu młodego pokolenia są obecnie inne od tych, w jakich zaczynali swe dorosłe życie ich rodzice. Wśród starszych często pokutuje przeświadczenie, że obecnie młodzież ma życie łatwiejsze. Rzeczywistość jest bardziej złożona. Młode pokolenie, zwłaszcza zaś młodzież z wyższym wykształceniem trudniej dziś znajduje pracę, kiedy zaś ją otrzyma — musi przez długi okres stażu zadawać się płacą nie gwarantującą możliwości utrzymania się, nie mówiąc już o poprawie warunków i założeniu domu. Co gorsze — liczne roczniki wkraczające obecnie w samodzielne życie mają coraz mniejsze szanse otrzymania mieszkania, a co za tym idzie — założenia rodziny.

Młode pokolenie jest lepiej wykształcone od pokolenia swych ojców, a w bagażu swych doświadczeń nie nosi bolesnych urazów wczesnych lat pięćdziesiątych. Nie jest więc przypadkiem, że właśnie ludzie młodzi często stawali w roku 1980 na czele ruchu strajkowego i z takim zapałem w nim uczestniczyli.

Wyrażali tym protest przeciwko istniejącemu w naszym kraju upośledzeniu młodzieży, polegającemu na tym, że młodzież jest u nas niewiarygodnie długo traktowana jako niedojrzała i wyłączana z normalnego współzawodnictwa na polu działalności zawodowej i społecznej. Młodzi ludzie rozpoczynając swe dorosłe życie coraz częściej przekonują się, że wszystkie miejsca są zajęte i to często przez takich, którzy ustępują im pod względem kwalifikacji, a zawdzięczają swą pozycję przeszłym zasługom, albo zamkniętym dla nowoprzybyłych układom personalnym. Szczególnie dotkliwie odczuwają to absolwenci wyższych uczelni, którzy (jeśli w ogóle znajdują pracę w wyuczonym zawodzie) przez całe

lata czują się niepotrzebni i bywają traktowani jak intruzi.

Te wszystkie okoliczności sprawiają, że stopień niecierpliwości młodego pokolenia jest wyższy, niż to było w pokoleniu ich ojców. Każde pokolenie poszukuje na wstępie własnej formuły świata, własnej oceny zastanej rzeczywistości, własnej koncepcji ułożenia sobie życia. Nic dziwnego, że młodzież ma bardziej krytyczne spojrzenie na to co się wokół dzieje, silniejsze też poczucie konieczności reform społecznych, gospodarczych i politycznych. Nie bez znaczenia jest także wiedza o nadziejach pokolenia ojców i konfrontacja tej wiedzy z rzeczywistością.

Dalsze lekceważenie tych prawdziwych, a nie wymyślonych problemów młodzieży, przynosić nam będzie rosnące szkody społeczne; już samo opóźnianie startu ludzi młodych jest niewybaczalnym marnotrawstwem. W tym jednak miejscu opracowania chodzi nam o co innego: o wskazanie, że rosnąca niecierpliwość młodzieży może stanowić dodatkowe źródło groźnych konfliktów.



Tak przedstawia się — naszym zdaniem — ujęta w największym skrócie sytuacja, z jaką będziemy mieli do czynienia w nadchodzących miesiącach, a nawet latach. Na zakończenie tego rozdziału chcemy jeszcze raz powrócić do twierdzenia, które już parokrotnie przewijało się na tych stronach: całe społeczeństwo, a więc zarówno rządzący, jak i rządzeni (dotyczy to również tych, którzy podjęli walkę o uzyskanie pełni obywatelskiego prawa do współudziału i współrządzenia) muszą być świadomi tego, że przyjdzie nam przez dłuższy czas żyć w nowych trudnych warunkach. Oznacza to zmniejszoną stabilizację, a zwiększone zagrożenie. Oznacza też konieczność stałego poszukiwania najlepszych rozwiązań, wprowadzania reform, wypróbowywania nieznanych jeszcze form organizacji życia publicznego, wreszcie konieczność ciągłego i upartego poszukiwania porozumienia społecznego.

Rozdział III

GŁÓWNE KIERUNKI ZMIAN

Po latach przemilczeń, ukrywania prawdy i przedstawiania fałszywego obrazu osiągnięć i sukcesów społeczeństwo polskie stanęło twarzą w twarz z kryzysem gospodarczym, który przybrał obecnie rozmiary katastrofy. Najważniejszymi objawami tego kryzysu są:

— ogromne zadłużenie zagraniczne, sięgające 24 miliardów dolarów (które nadal się powiększa) przy rocznych płatnościach przewyższających wartość całego rocznego eksportu polskiego na rynki dewizowe. Istnieje realna perspektywa, że państwo nasze stanie się całkowicie niewypłacalne, a właściwie już się nim stało, ponieważ spłata długów jest dziś możliwa tylko pod warunkiem zaciągnięcia dalszych pożyczek;

— zaangażowanie około 1.500 miliardów złotych w niedokończonych inwestycjach, w tym również niejednego miliarda w importowanym sprzęcie i urządzeniach;

— dotkliwy brak towarów na rynku dotyczący również produktów najbardziej podstawowych, co grozi fatalnymi konsekwencjami dla całego społeczeństwa, a zwłaszcza dla dzieci;

— rosnący niedobór energii elektrycznej powodujący rosnące trudności produkcyjne, coraz częstsze wyłączenia całych gałęzi przemysłu, godzący także dotkliwie w wieś;

— utrzymujące się, a nawet pogłębiające, zjawisko niskiej produktywności przemysłu przy jednoczesnym wysokim zużyciu energii, surowców, urządzeń, czasu i wysiłku ludzkiego na jednostkę produkcji;

— realny spadek dochodu narodowego przy jednoczesnym powiększaniu się zapasów towarów nie sprzedanych;

— spowodowane wieloletnimi błędami w polityce rolnej załamanie produkcji rolniczej. Polska, która była tradycyjnym eksporterem żywności stała się obecnie zależna pod względem żywności od źródeł zagranicznych, a import rolny znacznie przekracza eksport;

— rosnąca inflacja, powodująca spadek siły nabywczej, a co za tym idzie — spadek zainteresowania pracowników podnoszeniem wydajności. Groźba gwałtownego spadku wartości pieniądza (w tym również odłożonych przez obywateli oszczędności) może spowodować dodatkowe zaburzenia rozmaitego charakteru;

— chaos organizacyjny i prawny, który paraliżuje wysiłki i próby poprawienia sytuacji na poszczególnych odcinkach. Fachowcy zwracają uwagę, że gospodarka przestała w ogóle reagować na bodźce natury administracyjnej i nakazowej.

Stan gospodarki niesie w sobie bardzo poważne groźby. Warto jednak podkreślić, że kryzysu nie można powstrzymać czy przełamać ani z zewnątrz ani środkami siły, ponieważ nie mogą one usunąć, czy choćby osłabić żadnego z opisanych wyżej zjawisk. Przewyciężyć kryzys mogą jedynie sami Polacy i to środkami uzgodnionymi przez wszystkie liczące się siły społeczne.

Polityka

Warunkiem przezwyciężenia kryzysu gospodarczego jest uprzednie przełamanie kryzysu politycznego, który wciąż jeszcze trwa. Przejawia się on przede wszystkim w dwóch kluczowych dziedzinach. Po pierwsze: we wciąż jeszcze nieskrystalizowanym, pełnym tarć, chropowatości i zgrzytów stosunku między władzą a „Solidarnością”; po drugie: w słabości samej władzy, w jej często niekonsekwentnym postępowaniu, w napięciach powstających wewnątrz partii i w samej ekipie rządzącej. W rezultacie dla dużych odłamów społeczeństwa nadal nie jest jasne czy przy dalszych starciach, oporach i wahnięciach proces zmian politycznych potoczy się w oczekiwanym przez społeczeństwo kierunku. Niepewność ta pogłębia destabilizację polityczną. Zarówno władzy, jak i społeczeństwu brak wypróbowanych doświadczeń i metod radzenia sobie z podobną sytuacją. Dziś łatwo już przewidzieć, że podobny stan może jeszcze trwać przez wiele miesięcy, należy więc opracować a przynajmniej uporczywie poszukiwać skutecznej filozofii radzenia sobie w warunkach niepewności. Należy szukać skutecznych w tych warunkach metod działania.

W poprzednich dokumentach Konwersatorium „DiP” zawarto próbę analizy sposobów uprawiania polityki w naszym kraju oraz zasad funkcjonowania władzy politycznej i zarządzania gospodarką. Przedstawiono również konkretne propozycje uczestników „DiP” co do niezbędnych reform we wszystkich dziedzinach życia politycznego. Propozycje te, naszym zdaniem, zachowały w pełni aktualność. W sierpniu bieżącego roku dokonała się jednak zasadnicza zmiana społecznych warunków sprawowania władzy w Polsce. Trawiący ją od dłuższego czasu kryzys przybrał charakter otwarty. Reformy stały się bardziej jeszcze konieczne, ale wypadnie przeprowadzić je w zupełnie odmiennych warunkach.

Zmieniona sytuacja przedstawia wielką szansę dla przyszłości kraju. Ujawniły się siły społeczne i uruchomione zostały procesy, które w sprzyjających warunkach mogą się stać podstawą nowego ładu publicznego i gospodarczego. Równocześnie jednak u wszystkich stron uczestniczących w toczącej się na scenie politycznej grze funkcjonują nadal stare reguły tej gry, stare nawyki myślowe i stare wzory zachowań.

Po stronie społeczeństwa obudzone zostały wielkie nadzieje, których zasadnicza treść jest taka: oto otwiera się możliwość

ukształtowania bardziej sprawiedliwych, zgodnych z aspiracjami narodowymi, z narodowym charakterem i tradycjami warunków życia; warunków, w których prawo będzie prawem, a odpowiedzialność odpowiedzialnością; w których niemożliwe się stanie ciągle powtarzanie tych samych błędów, stałe lekceważenie logiki i zdrowego rozsądku, w których słowo socjalizm odzyska blask i znaczenie humanistyczne. Lecz jednocześnie tym nadziejom często towarzyszy jeszcze rezerwa wobec perspektyw angażowania się w życie społeczne i gospodarcze i rozumiały brak zaufania do trwałości przemian. Są także środowiska, w których pojawia się coś w rodzaju lęku przed porzuceniem krytykowanych wprawdzie, czy nawet skompromitowanych, ale przecież dobrze znanych i przez to bezpieczniejszych reguł gry. Prócz tego istnieją oczywiście niemałe grupy zainteresowane zachowaniem dotychczasowych reguł.

Po stronie władzy, która nie cieszy się zaufaniem społecznym i nie dysponuje przekonującymi środkami oddziaływania, obserwujemy różnorodność postaw wobec przemian, różne rodzaje reakcji; sprawia to, że poszczególne jej ogniwa podejmują nieraz sprzeczne działania i z trudem przychodzi im sformułowanie koherentnego programu. Obserwujemy tam również lęk przed nowymi ludźmi — instynktowną wręcz skłonność do opierania się na ludziach znanych, choćby ich nieprzydatność została udowodniona. Dotyczy to zarówno partii i jej aparatu, jak i wszystkich instytucji, agend i służb państwowych. Spotyka się też często nieufność wobec wszelkich prób aktywizacji grup społecznych i środowisk, nieufny i niechętny stosunek wobec idei przyciągnięcia tych grup do współodpowiedzialności i współzrządzenia. A także: nieufność i niechęć do wszelkich działań nieszablonowych, brak nawyków i umiejętności takiego działania, lęk przed praktyką negocjacji, przed zawieraniem porozumień i udzielaniem trwałych gwarancji.

Doświadczenie poprzednich wielkich kryzysów (rok 1956 i 1970) wskazywało, że każde z tych wydarzeń mogło być tłumaczone klęską określonej ekipy rządowej. Zarówno w roku 1956, jak i 1970 odejściu starej ekipy towarzyszyła natychmiastowa i odczuwana przez wszystkich poprawa warunków życia. Pozwalało to niejako ukryć fakt, że w obu przypadkach chodziło w rzeczywistości nie tylko o kryzys ściśle polityczny, ale i o kryzys struktur. Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Ograniczenie zmian do zabiegów kosmetycznych i przemęblowania personalnego nie może niczego rozwiązać. Zaszły doniosłe fakty społeczne, których nie uda się wymazać. Niczego podobnego dotychczas nie doświadczaliśmy. Pogłębia to jednak niepewność u obu partnerów. To, że przyjdzie nam wszystkim — władzy i społeczeństwu — żyć przez

dłuższy czas w stanie stałego poszukiwania, niepewności, nawet ryzyka — z wielkim trudem przenika do świadomości ludzi.

Wprawdzie tylko władze państwowe mogą stworzyć i wprowadzić w życie szczegółowy, a zarazem całościowy, program zmian i reform zdolnych wydobyć kraj z kryzysu, ale w nowej sytuacji społeczno-politycznej powodzenie przedsięwzięć reformatorskich zależy od tego, czy i w jakiej mierze społeczeństwo zaakceptuje je i udzieli im swego poparcia. Wymaga to nie tylko gruntownej informacji o toku prac nad reformą, ale także czynnego udziału opinii publicznej, wszystkich grup społecznych i zawodowych w przygotowywaniu i opiniowaniu projektów zmian w różnych fazach ich opracowywania i w różnych ich wariantach.

Ogólny kierunek najważniejszych reform wyłania się wyraźnie z postulatów formułowanych zarówno w ankietach „DiP” jak i innych dokumentach i opracowaniach. Pokrywają się one w znacznej mierze z ustaleniami zawartymi w porozumieniu gdańskim i akceptowanymi przez obecne kierownictwo państwa. Przypomnijmy główne kierunki tych zmian.

1. Reforma systemu kierowania państwem polegająca na ścisłym rozdzieleniu aparatu i władz partyjnych oraz organów przedstawicielskich od organów wykonawczych i tych, które są powołane do zarządzania gospodarką.

2. Umocnienie pozycji organów przedstawicielskich poprzez konstytucyjne rozszerzenia i praktyczne wykorzystanie ich prerogatyw, zapewniających rzeczywiste zwierzchnictwo nad władzą wykonawczą oraz sprawowanie nadzoru i kontroli administracji.

3. Reforma systemu wyborczego, gwarantująca autentyczną wybieralność organów przedstawicielskich przy możliwości bieżących porozumień między partiami politycznymi i organizacjami społecznymi dla zachowania zasad ustrojowych.

4. Zapewnienie pełnej niezawisłości sądów i stworzenie warunków umożliwiających im sprawowanie niezależnej i skutecznej kontroli nad przestrzeganiem prawa, w szczególności nad przestrzeganiem politycznych praw obywatelskich oraz sprawowanie nadzoru nad legalnością aktów prawodawczych i działań administracji, w tym także aparatu ścigania. Wymaga to rozszerzenia kompetencji sądownictwa administracyjnego oraz powołania do życia sądownictwa konstytucyjnego i Trybunału Stanu.

5. Zapewnienie masowym środkom przekazu właściwej pozycji w układzie struktur politycznych, tak aby przy ustawowym ograniczeniu cenzury uwolnić je od dyktatu niekompetentnych zawodowo urzędników i nadać im rolę autentycznych środków kontaktu między władzą a społeczeństwem, jak również w obrębie samego społeczeństwa.

6. Potwierdzenie i utrwalenie przy pomocy odpowiedniej ustawy faktu powstania autentycznej i samorządnej reprezentacji zawodowej robotników, zapewnienie jej pełnej możliwości działania.

7. Reforma gospodarcza, która po dyskusji ogólnospołecznej powinna zostać uwieńczona ustawą o ustroju gospodarczym PRL, regulującą i stabilizującą system gospodarczy kraju.

8. Zapewnienie rolnikom trwałości ich posiadania poprzez pełne zrównanie praw gospodarstw rodzinnych z własnością spółdzielczą i państwową. Powinno to również zostać potwierdzone ustawą o ustroju rolnym PRL. Konieczna jest dalej odbudowa samorządu wiejskiego potwierdzona zaakceptowaną społecznie (a nie pozorną) ustawą o samorządzie wiejskim. I wreszcie: zmiana polityki rolnej w kierunku zapewniania rolnictwu rodzinnemu pełnej w praktyce równoprawności z sektorem państwowym w rolnictwie.

9. Eliminacja przywilejów oraz formalnej i faktycznej nierówności wobec prawa.

10. Zapewnienie pełnej możliwości samorządnego działania organizacjom społecznym stojącym na gruncie Konstytucji PRL.

11. Zmiana polityki kadrowej przy obsadzie stanowisk w administracji i gospodarce, zmierzająca do oparcia decyzji kadrowych na kwalifikacjach i sprawdzonych umiejętnościach kandydata. Radykalne ograniczenie tzw. „nomenklatury” i praktyk utrudniających, lub uniemożliwiających udział bezpartyjnych w sprawowaniu funkcji kierowniczych.

Trzeba podkreślić, że jedynie równoległe i łączne podjęcie reform i zmian we wszystkich tych dziedzinach może przynieść pożądany rezultat. Rzecz prosta, urzeczywistnienie wielu z wymienionych postulatów wymaga czasu, a na wyniki niektórych z tych zmian trzeba będzie poczekać parę lat. Jest jednak ważne, aby niezwłocznie podjąć kroki przekonujące społeczeństwo, że decyzje w sprawie tych zmian są nieodwołalne i że tym razem reformy nie zostaną zaniechane, jak to bywało dotąd, nie utkną w pół drogi, lub nie rozbiją się o bierny opór ciągle jeszcze silnych (i nie pozabawionych rozlicznych możliwości i środków działania) żywiołów konserwatywnych.

Innym ważnym warunkiem powodzenia przedsięwzięć reformatorskich jest przeprowadzenie wnikliwej analizy przyczyn obecnej katastrofy gospodarczej, publiczne przedstawienie pełnych wyników tej analizy oraz wyciągnięcie konsekwencji o charakterze politycznym wobec osób odpowiedzialnych za niedbalstwo, marnotrawstwo i szkodnictwo, a także konsekwencji prawnych i karnych wobec winnych nadużyć i innych przestępstw kryminalnych, dotąd bezkarnych, lub tuszowanych ze względu na stanowisko zajmo-

wane przez winnego. Ważne jest przy tym, aby postawienie winnych w stan oskarżenia nie służyło jedynie za alibi dla innych, lepiej ukrytych, lecz posłużyło do ujawnienia głównej przyczyny zła, to znaczy takiego funkcjonowania mechanizmów, w których gubiła się indywidualna odpowiedzialność za podejmowane decyzje i za ich wprowadzenie w życie. Tylko wtedy rozrachunek za popełnione błędy i przestępstwa służyć będzie jako przestroga, stając zarazem gwarancją, że zjawiska te więcej się nie powtórzą.

Nie będziemy tu rozwijać problematyki zasygnalizowanej w wymienionych wyżej punktach. Zostały one szerzej omówione w poprzednich raportach „DiP”, a w szczególności w opracowaniu ankiety pt. „Jak z tego wyjść?”. Ze względu jednak na podstawowe znaczenie jakie dla przywrócenia społeczeństwu jego suwerennych praw ma sprawa wyłaniania i funkcjonowania organów przedstawicielskich, pragniemy przytoczyć tu odnośne fragmenty tego dokumentu.

„Uczestnicy ankiety — czytamy w tym tekście — są zgodni, iż nie może być skutecznej i trwałej naprawy państwa *bez nadania autentycznego charakteru najwyższemu organom przedstawicielskim, bez zmian zasad i sposobów funkcjonowania najwyższych władz państwowych*. Zaproponowano wiele rozmaitych rozwiązań... Jeden z uczestników ankiety następująco przedstawił minimum oczekiwań pod tym względem: 'Konieczne wydaje się wprowadzenie elementów rzeczywistej wybieralności do Sejmu, rad narodowych i innych ciał przedstawicielskich (np. alfabetyczny układ nazwisk kandydatów na listach wyborczych i obowiązek skreślenia pewnej liczby nazwisk). Dalej, rozszerzenie bazy rekrutacyjnej kandydatów na posłów do Sejmu, rad narodowych i innych ciał przedstawicielskich tak aby zapewnić szerszą reprezentację i rzeczywiste ściernie się poglądów (dotyczy to np. zwiększenia przedstawicielstwa środowisk katolickich, bezpartyjnych specjalistów itp.). Wreszcie wprowadzenie rzeczywistej odpowiedzialności władz wykonawczych przed wyłaniającymi je ciałami przedstawicielskimi. Chodzi w szczególności o odwoływalność źle pracujących przedstawicieli władz wykonawczych wysokiego i średniego szczebla, jak i o społeczną kontrolę działania tych władz'.

Jest to jednak zaledwie minimum, które — jak uczy doświadczenie — nie gwarantuje prawdziwej autentyczności Sejmu i rad, łatwo może zostać przekształcone w grę pozorów. Dlatego wielu respondentów idzie w swych propozycjach dalej, domagając się poważnych zmian w ordynacji wyborczej. Prócz układu alfabetycznego list i wprowadzenia obowiązku skreślenia, proponowane jest utworzenie okręgów o mniejszej liczbie mandatów, a nawet jednomandatowych, co nadałoby wyborom większą autentyczność. Przede wszystkim jednak propozycje dotyczą try-

bu zgłaszania kandydatur. Za minimum uważane jest przywrócenie prawa poszczególnym grupom obywateli wprowadzenia kandydatów na listy w FJN (jak to miało miejsce w roku 1957) i wprowadzenie bardziej wiarygodnej kontroli prawidłowości wyborów przez społeczeństwo. Chodzi również o stworzenie możliwości wystawiania kandydatur przez legalne i prawnie zarejestrowane organizacje społeczne i stowarzyszenia, a także przez grupy poszczególnych obywateli”.

Gospodarka

Śmiałość i rozmach przedsięwzięć reformatorskich będzie decydować o przyszłości kraju. Odnotowując fakt opublikowania projektu reformy gospodarczej, nie odnosimy się na razie do jego treści, wyrażamy jedynie przekonanie, że projektu tego nie można oceniać w oderwaniu od kontekstu społecznego i politycznego. Nawet najlepiej pomyślana i przygotowana reforma struktur nie może stanowić panaceum na obecne trudności, od razu nie uwolni się kraju od głębokiego kryzysu, w którym jest zagrożony. Jej zadaniem jest stworzenie ram, w których będą się mogły wyzwalać energie społeczne i gospodarcze tłumione i paraliżowane przez dotychczasowy system biurokratyczno-nakazowy. Wykorzystanie zmian instytucjonalnych i systemowych zależne będzie od praktyki a więc w pierwszym rzędzie od działań ludzi zarówno kierujących, jak i tworzących załogi i zespoły pracownicze. Od tego czy i w jakiej mierze potrafią oni sprostać nowej sytuacji otwierającej ogromne możliwości, ale równocześnie wymagającej wyobraźni i poczucia odpowiedzialności. Urzeczywistnienie reformy będzie więc procesem złożonym, przebiegającym w ostrej walce między siłami demokratycznymi, prącymi do zmian a siłami konserwatyizmu i rutyny. Front tej walki nie przebiega bynajmniej wzdłuż starych podziałów, które przeciwstawiły kierujących i kierowanych, czy też w innej płaszczyźnie — partyjnych i bezpartyjnych. Po obu stronach tej dawnej linii podziału znajdują się zwolennicy zmian, świadomi szansy jaką one otwierają, obok ludzi biernych, niezdolnych do przystosowania się do nowych warunków lub zainteresowanych w utrzymaniu starego porządku. Powodzenie reformy zależy od mobilizacji wszystkich sił postępowych i demokratycznych, od szerokości koalicji sił dążących do zmian i gotowych konsekwentnie wcielać je w życie.

Sytuacja gospodarcza będzie kształtowana w najbliższych latach przez obecny stan niebilansowania gospodarki, przez sprawność polityki gospodarczej w zakresie przywracania równowagi, przez jakość zmian sytuacji funkcjonowania gospodarki oraz przez

czynniki niezależne, przede wszystkim w rolnictwie i w handlu zagranicznym.

Powszechna jest świadomość, że w latach siedemdziesiątych doprowadzono do głębokich i rozległych dysproporcji w gospodarce. Będą one gniotącym nas ciężarem w nadchodzącej dekadzie, zwłaszcza w pierwszych latach osiemdziesiątych. Ale świadomość tego balastu nie jest dotąd oparta na dobrym rozpoznaniu stopnia niebilansowania gospodarki jako całości. Znana jest nieźle sytuacja w poszczególnych segmentach gospodarki, co jednak nie jest wystarczające, gdyż potencjał gospodarczy kraju zależy od wzajemnego zharmonizowania z sobą poszczególnych segmentów. Wszelkie działania, które nie uwzględniają wzajemnych związków w gospodarce lub biorą pod uwagę tylko najłatwiej zauważalne związki, nie tylko nie muszą poprawić ogólnej sytuacji, ale mogą ją niebezpiecznie pogarszać. Dlatego pilnie oczekiwany jest raport rządu w tej sprawie. Każda zwłoka w pełnej ocenie stanu naszych możliwości grozi ich obniżeniem z powodu niewłaściwych decyzji. Wystrzegać się należy w szczególności formułowania niedość przemyślanych priorytetów.

Oparta na rozpoznaniu rzeczywistych możliwości gospodarki narodowej doraźna polityka gospodarcza rządu powinna zmierzać do możliwie szybkich korzystnych rezultatów, ale nie kosztem pogłębiania trudności w następnych miesiącach i latach. Podkreślamy to silnie, ponieważ wspomniane kryterium było do niedawna całkowicie ignorowane, a obecne warunki sprzyjają pokusie, aby rozwiązywać obecne trudności bez niezbędnej troski o jutro. Każdy krok w ramach programu doraźnego powinien stanowić etap trwałej poprawy.

Z ogólnych zasad, na których powinna być oparta doraźna polityka gospodarcza rządu, należy jeszcze wskazać przynajmniej na dwie: pilność i jawność. W odczuciu społecznym postawa rządu jest nazbyt kunktatorska, a w każdym razie jego aktywność nie jest na miarę istniejących trudności i oczekiwań. W tej sytuacji musi się rodzić niepokój o to, czy rząd rzeczywiście skupia wysiłki na sprawach najważniejszych i całościowych. Tylko rzeczowa, bieżąca informacja mogłaby się przyczynić do osłabienia tego niepokoju.

W programie doraźnym zawarte być powinny działania, które jednocześnie hamowałyby wzrost popytu konsumpcyjnego i inwestycyjnego oraz przyspieszały wzrost podaży dóbr.

Hamowanie wzrostu dochodów pieniężnych ludności i wynikającego stąd popytu rynkowego wymaga jak najszybszego utworzenia komisji mieszanych, złożonych z przedstawicieli rządu i związków zawodowych, które uzgodniłyby zasady i kierunki polityki dochodowej na okres 2-3 lat. Podstawę negocjacji powinny

stanowić: a) raport rządu o stanie niebilansowania gospodarki; b) rządowy projekt doraźnej polityki gospodarczej na okres do 1983 roku. Przedmiotem zaś negocjacji byłyby: dochody pieniężne (płace, renty, emerytury), zaopatrzenie rynku i ceny. Należałoby przy tym ustalić także formy i zasady kontroli społecznej nad realizacją uzgodnionych przedsięwzięć. Uzgodnienia byłyby wiążące dla wszystkich stron prowadzących rozmowy.

Szczegółnej uwagi wymagają: formy, zakres i długotrwałość systemu reglamentacji artykułów żywnościowych oraz problemu cen. Proponowana reglamentacja może tylko tymczasowo rozwiązać uciążliwe trudności dnia codziennego, jednocześnie jednak stwarza płaszczyznę niezadowolenia i działalności przestępczej oraz stoi w sprzeczności z główną ideą reformy systemu ekonomicznego, która idzie w kierunku uniezależnienia gospodarki od metod administracyjnych, w tym także od reglamentacji, tak w sferze produkcji jak i konsumpcji. Co więcej, wprowadzenie reglamentacji w warunkach tak trudnych jak nasze grozi utrwaleniem się tego rozwiązania na bardzo długi czas. Dlatego potrzebne są ustalenia dotyczące nie tylko wprowadzania systemu kartkowego, ale i programu przywracania swobody konsumentów w kształtowaniu struktury spożycia.

Chaotyczne i rażące poczucie sprawiedliwości społecznej proporcje produkcyjne nie pozwalały nam nigdy dotąd ukształtować poziomu i relacji cen w sposób właściwy. Panuje w tej dziedzinie anarchia i brak racjonalnej, a zarazem realnej, koncepcji naprawy. Potrzebny jest w tej sprawie przełom. Jego odwlekanie grozi największymi niebezpieczeństwami gospodarczymi i społecznymi. Wyrażamy przekonanie, że w ramach uzgodnień społecznych możliwe są: a) zmiana relacji cen zarówno zaopatrzeniowych jak i detalicznych, b) wprowadzenie systemu elastycznych cen, uzupełnionego mechanizmem dodatku drożyznianego, tak obliczonego aby osoby mniej zarabiające otrzymały więcej niż pełną rekompensatę, a osoby o wyższych zarobkach — mniej.

Odpowiednikiem związków zawodowych, strzegących praw pracowniczych, powinien być ruch obrony konsumenta. Ruch ten powinien być również niezależny i samorządny. Jego głównym przedmiotem zainteresowania byłoby funkcjonowanie rynku i kształtowanie się zmiennych rynkowych: cen i podaży. Ruch obrony konsumenta powinien także spowodować kontrolę nad realizacją ustalonych zadań i metod reglamentacji podstawowych artykułów żywnościowych.

Węzłowymi elementami programu doraźnego w części dotyczącej podaży będą niewątpliwie: przedstawienia w strukturze inwestycji oraz import zaopatrzeniowy (materiałów, surowców

i części zamiennych), związany z dodatkowymi kredytami zagranicznymi.

W działalności inwestycyjnej najtrudniejsze sprawy, wymagające jednocześnie podejmowania bezzwłocznych decyzji, dotyczą spuścizny lat siedemdziesiątych. W inwestycjach będących w toku realizacji zamrożone są środki o wartości równej trzeciej części dochodu narodowego, a z punktu widzenia stopnia zaawansowania tych inwestycji — nie osiągnęły one, przeciętnie rzecz biorąc, nawet półmetka. Choć każda rezygnacja z rozpoczętych już działań oznacza niewątpliwą stratę, nie mamy szans, aby wszystkie kontynuować. Trzeba wybrać przede wszystkim te, które przyniosą najszybciej największy przyrost produkcji w skali gospodarki narodowej. Kryterium wyboru kontynuowanych obiektów musi być sumą bezpośrednich i pośrednich korzyści netto (z potrąceniem strat) w całej gospodarce.

Wraz z wyborem inwestycji kontynuowanych niezbędne jest ustalenie, które z pozostałych zostaną całkowicie zaniechane, a które zostaną po pewnym czasie ponownie włączone do realizacji. Dla tej ostatniej grupy trzeba opracować przybliżony terminarz ponownego włączenia obiektów do procesu inwestycyjnego, kierując się wspomnianym wyżej kryterium korzyści ogólnych netto.

Całkowita lub czasowa rezygnacja z pewnych inwestycji będących w toku powinna obniżyć ogólną sumę rocznych wydatków inwestycyjnych, mimo że jednocześnie będą rozpoczęte pilne inwestycje o krótkim okresie realizacji. Te nowe inwestycje powinny przyczynić się do usuwania wąskich gardeł w gospodarce oraz do takich zmian w strukturze majątku trwałego, aby możliwe były pożądane zmiany w strukturze produkcji finalnej, to jest kierowanej na rynek konsumpcyjny i na eksport oraz — w postaci sprzętu technicznego i innych środków produkcji — do rolnictwa.

W programie przedstawienia procesu inwestycyjnego na inne tory konieczne jest także rozwiązanie problemu zagospodarowania nowych maszyn i urządzeń o wartości około 50 mld zł, znalezienie dróg zapewniających, że zapas ten nie będzie się marnował. Wymaga to rezygnacji lub przesunięcia w czasie realizacji złożonych już u dostawców zagranicznych zamówień oraz odpowiedniego dostosowania planów produkcji w dziale wytwarzającym dobra inwestycyjne.

Znalezienie nie tyle najlepszej, co najmniej złej ścieżki czasowej procesów inwestycyjnych na najbliższe lata nie jest problemem czysto gospodarczym. Można się spodziewać, że regionalne i branżowe grupy interesów będą wywierały presję zarówno na ludzi przygotowujących program, jak i na podejmujących decyzje. Jedyną metodą skutecznego przeciwdziałania tym naciskom jest

kontrola społeczna, co wymaga jawności całego przedsięwzięcia.

Jawność powinna także towarzyszyć tworzeniu projektów oraz podejmowaniu decyzji i działań w handlu zagranicznym. Społeczeństwo wie, że w tej dziedzinie sytuacja jest również niezwykle trudna. Ale chce i ma pełne prawo wiedzieć, jak się ta sytuacja rozwija. I tu bowiem nie można, niestety, wykluczyć, że pewne decyzje będą podejmowane pod naciskiem chwili, pogłębiając trudności w bliskiej przyszłości i wydłużając okres wychodzenia z kryzysu. Nadal jednak o naszych staraniach o kredyty zagraniczne i o uzyskanych pożyczkach — więcej wiedzą ze swojej prasy Anglicy czy Francuzi, niż Polacy — z naszych środków masowego przekazu. Dysponenci tych środków uważają, że polskiej społeczności wystarczy podawać, ile ton cytryn zakupiliśmy „na nasze stoły”, natomiast nie trzeba im zaprzętać głowy np. tym, o jaką kwotę roczne spłaty z tytułu naszego zadłużenia — przewyższają wartość eksportu. Zerwanie z tą skompromitowaną praktyką informacyjną jest niezbędne dla przywracania podmiotowości społeczeństwa, bez czego nie może ono „patrzeć na ręce władzy”. A bez tego nie ma mowy o uzyskiwaniu zaufania społecznego.

Trudności w naszym bilansie płatniczym nie powinny być rozwiązywane doraźnie. Konieczne jest opracowanie i ciągłe aktualizowanie programów obejmujących m.in.: a) starania o odkładanie i rozkładanie na dłuższy czas spłat niektórych należności zagranicznych, b) starania o nowe kredyty i koncepcje ich wykorzystywania, c) programowanie spłat w okresach wieloletnich w konfrontacji z możliwościami eksportowymi.

Kształtowanie się możliwości eksportowych uzależnione jest w znacznym stopniu od kierunków i skali przestawień w strukturze inwestycji i produkcji, i wiąże się ściśle ze skalą i strukturą importu. Powinien być powołany stały i operatywnie działający zespół fachowców pracujących dla rządu, a mający za zadanie projektowanie bieżących posunięć, uwzględniających ich przyszłe skutki. Obecnie planowany wzrost eksportu sprawia wrażenie, że nie bierze się w nim pod uwagę naszych możliwości, lecz jedynie potrzeby. Wiadomo, że struktura naszego majątku produkcyjnego jest zorientowana proimportowo, lecz nie proeksportowo. Wiadomo, że sposób w jaki chciano unowocześnić technicznie naszą gospodarkę doprowadził do tego, że sytuacja nasza bardziej jest uzależniona od eksportu surowców niż w przeszłości (udział paliw i energii w całym eksporcie wynosił w 1970 roku 12,5 % a w 1979 roku 14,9 %). Wiadomo wreszcie, że produkcja i dochód narodowy malały w ostatnich latach. W tych warunkach realność planowania bardzo wysokiej dynamiki wzrostu eksportu może budzić poważne wątpliwości. Rodzą się obawy, że

w pewnym stopniu może to być planowanie „życzeniowe”, którego skutków doświadczyliśmy w minionej dekadzie. Gromkie zawołanie, że „będziemy płuć krwią, ale wywiązywać się będziemy z naszych obowiązków płatniczych” może uspokajać naszych wierzących, ale nie społeczeństwo.

Z pilnych spraw wymagających podjęcia w programie doraźnym wymienimy jeszcze rynek pracy. Rysuje się przed nami konieczność zmian w strukturze zatrudnienia na skalę nie mającą precedensu w naszej gospodarce. Pozostaje to w związku z: a) potrzebą przywrócenia właściwych proporcji wewnątrzprodukcyjnych i zmiany struktury produkcji finalnej, narzucającą potrzebę przesunięcia z administracji do sfery produkcji, handlu i usług — dużej armii ludzi.

Są to problemy niełatwe organizacyjnie, a ponadto mają skomplikowaną stronę społeczną. Są one jednak możliwe do rozwiązania mimo napięć psychologicznych, które będą im towarzyszyć. Chodzi o to, aby prace przygotowawcze zostały podjęte natychmiast. Nie rozwijamy tej sprawy, na jeden jej aspekt chcemy jednak zwrócić uwagę. W programie generalnej reformy systemu ekonomicznego mieści się m.in. poważne ograniczenie zatrudnienia w branżowych pionach administracji gospodarczej. Nie wszyscy będą musieli przejść do sfery produkcyjnej. Część zmieni miejsce i charakter swej pracy, przechodząc do tzw. instytucji funkcjonalnych, do bankowości, komórek finansowych, analitycznych, planistycznych, itd. Powinni, oczywiście, przejść do tej pracy ci, którzy potrafią najlepiej podjąć nowe zadania. Będzie to dla wielu ludzi sprawdzian zdolności do przestawienia się na nowy sposób myślenia o gospodarce, odpowiadający potrzebom zreformowanego systemu ekonomicznego.

Rolnictwo

Wież odczuła szczególnie silnie skutki wszechogarniającego kryzysu, co zaostriżyło jego przebieg i wydłużyło czas jego przezwyciężenia. Rolnictwo należy bowiem do najbardziej wrażliwych działów gospodarki. Chodzi tu o wrażliwość nie tylko na drastyczny spadek dostaw środków produkcji — od maszyn i narzędzi poczynając na paszach i nawozach kończąc, ale o szczególną wrażliwość na wyraźne pogorszenie jakości, rytmiczności i terminowości dostaw poszczególnych środków produkcji. Wynika to po prostu z tego, że warunki przyrodnicze ściśle określają terminy wykonania poszczególnych prac i określone wymogi jakościowe wobec dostarczanych środków. Tak samo bardzo ostre wymogi stawiają warunki technologiczne produkcji rolnej wobec dotrzymywania terminów skupu poszczególnych produktów rolnych.

W tej sytuacji głęboka dezintegracja i dezorganizacja otoczenia rolnictwa, a także jego skorumpowanie (na jego wejściu i na jego wyjściu) stanowi jedną z głównych przyczyn negatywnych zjawisk obserwowanych w rolnictwie. Na rozwój produkcji rolnej wpływa ujemnie: nawis inflacyjny, dezorganizacja obiegu pieniężnego i bardzo wadliwy system cen artykułów żywnościowych, który jest jednym z ważnych elementów tego wszystkiego, co nazwalibyśmy tu umownie „otoczeniem rolnictwa”.

Ale równocześnie, na tle ponurego obrazu całości naszej gospodarki, rolnictwo rodzinne — przy wszystkich swoich słabościach — jest chyba tym działem naszej gospodarki, który uległ w najmniejszym stopniu dezorganizacji i w chwili obecnej jest stosunkowo zdrowym ogniwem naszego chorego organizmu gospodarczego.

A dzieje się tak mimo silnej dyskryminacji prawnej i ekonomicznej gospodarstw rodzinnych, które są — i pozostaną — w naszych warunkach rzeczywistym „twórcą chleba”. Polityka ekonomicznego niszczenia indywidualnej gospodarki rolnej sprawiła, że rolnik nie mógł produkować więcej i lepiej. Zniszczyła ona jednak także i motywację produkcyjną: rolnik nie miał powodu, by dążyć do zwiększenia produkcji.

Warunkiem nadania polityce rolnej stabilnego i budzącego zaufanie charakteru jest zapewnienie gospodarstwu rodzinnemu — w formie ustawy o ustroju rolnym, a nawet normy konstytucyjnej — równoprawnego charakteru. Uwiarygodni to tezę, że gospodarstwo indywidualne jest — i pozostanie — trwałym elementem prawno-ustrojowym naszego państwa.

Gospodarstwa rodzinne muszą mieć zapewniony równy — pozostałym dwóm sektorom — dostęp do środków produkcji, gruntów pozostających w dyspozycji PFZ i nie mogą być w żaden sposób dyskryminowane — ani ekonomicznie (np. przydział środków obrotowych na rzecz gospodarki uspołecznionej był — w przeliczeniu na hektar użytków — blisko 2,5 raza wyższy niż na rzecz gospodarki chłopskiej), ani prawnie (np. w kwietniu 1974 roku wydano nieopublikowane zarządzenie Ministerstwa Rolnictwa ustalające priorytet gospodarstw uspołecznionych w dostępie do ziemi będącej w dyspozycji państwa).

Problemem szczególnie pilnym i ważnym jest reorientacja przemysłu pracującego na rzecz rolnictwa, który w chwili obecnej nie może sprostać jego potrzebom. Koniecznym jest więc zwiększenie — a w części wznowienie już zaniechanej — produkcji maszyn i narzędzi rolniczych, zwłaszcza tych przeznaczonych dla średnich, dominujących przecież w naszym rolnictwie, gospodarstw (np. zaprzestano produkcji kultywatorów konnych i siewników zbożowych, trzykrotnie zmniejszono produkcję kosiarek i

kopaczek konnych), oraz zaniechanie eksportu (np. nawozów). Dotyczy to również materiałów budowlanych, których brak wies odczuwa szczególnie silnie.

Pilnym zadaniem o znaczeniu długofalowym — ale mającym także znaczenie doraźne — jest nastawienie działania instrumentów ekonomicznych na przeciętne gospodarstwo rolne i zapewnienie mu opłacalności produkcji. Musi to być połączone ze zmianami w strukturze cen rolnych i relacjach tych cen do cen środków produkcji i cen detalicznych żywności.

Sprawą niezwykle ważną przywrócenie zawodowi rolnika odpowiedniej rangi społecznej oraz zapewnienie mieszkańcom wsi odpowiednich warunków życia. Problemem wykraczającym daleko poza politykę społeczną jest łagodzenie — a w przyszłości likwidacja — istniejących, jakże drastycznych, dysproporcji, zwłaszcza w dostępie ludności wiejskiej do oświaty, kultury i ochrony zdrowia.

Zdanie sobie sprawy z rzeczywistego potencjału rolnictwa — zarówno gospodarki rodzinnej, jak też sektora państwowego — wymaga możliwie pilnego przeprowadzenia „przeглядów gmin”. Podjąć i przeprowadzić lub nadzorować takie „przeгляды gmin” mogłyby ciała społeczne złożone z członków komisji rad gminnych obok innych cieszących się zaufaniem osób, wybranych przez mieszkańców wsi i PGR-ów. Chodziłoby o szczegółowe zbadanie stanu posiadania, możliwości i potrzeb, a także — o opracowanie lokalnych programów rozwoju, nie czekając na uformowanie się samorządu wiejskiego i na skutki reformy gospodarczej. Pozwoli to nie tylko na postępowanie w samoorganizacji środowiska wiejskiego, ale na pełną jasność co do kroków, które należy podjąć. Będzie to miało również znaczenie dla gospodarki w skali całego kraju. W chwili obecnej nieznana jest ani powierzchnia gruntów pozostających bez uprawy, ani — z drugiej strony — szczegółowa wielkość potrzeb w zakresie sprzętu, pasz i nawozów, uzasadniona spodziewanym wzrostem produkcji. Wszystkie te dane mogłyby w przyszłości gromadzić samorządne, cieszące się zaufaniem członków przyszłe organizacje rolników, które mogłyby następnie organizować różne formy współdziałania samych rolników, jak też współdziałania ich z przemysłem.

Wśród rolników polskich nie brak dobrych fachowców i doświadczonych przedsiębiorców. Nie trzeba ich pouczać. Jest też złudzeniem sądzić, że można ich nabrać czy wywieść w pole. Młodemu pokoleniu rolników potrzeba oczywiście dobrej i sprawnej oświaty rolniczej, całemu rolnictwu — rzeczowego doradztwa agronomicznego i zootechnicznego, pomocy służb weterynaryjnych, ale wątpię o kompetencji zawodowej chłopów polskich — nie ma podstaw.

To samo dotyczy kadry kierowniczej i pracowników PGR. System zarządzania z jego gigantomanią organizacyjną, przeinwestowanie PGR-ów przymusowymi „podarunkami” i gigantomania inwestycyjna — nie ich obciążają. Likwidacja rozbudowanych a zbędnych szczebli organizacyjnych i powrót rzeszy fachowców, zasiadających dziś w agendach administracji, do praktycznego uprawiania rolnictwa — stworzą korzystniejsze przesłanki dla polityki kadrowej, jednakże decydujące będą zmiany systemowe, które stworzą drogę do efektywnego gospodarowania. Także przed załogami PGR-ów stoi zadanie przeprowadzenia „przeглядów gospodarstw”. Być może nie mają one tego znaczenia co w przemyśle i w gminach wiejskich, ponieważ dyrekcje PGR na ogół znają stan swoich gospodarstw, niemniej reprezentanci załóg, ewentualni przyszli członkowie rad pracowniczych czy rad nadzorczych swoich gospodarstw, powinni zyskać równie szczegółową znajomość ich stanu. Dla przyszłej samodzielności wielkich gospodarstw rolnych dużą wagę będzie miała wartość majątku trwałego, tak więc istotne jest dla nich wcześniejsze ustalenie, co ze stanu posiadania warto przekazać lub sprzedać innym użytkownikom a czym inaczej gospodarować.

Przypisywanie — jak czynią niektórzy — polskiemu rolnictwu chęci spekulowania na trudnościach kraju, jest niczym nieuzasadnione. Ani oczekiwania ani postulaty rolnictwa nie wykraczają poza zdrowy rozsądek. Rolnicy nie chcą zagłodzić kraju, ani szantażować go głodem. Chcą móc rozsądnie gospodarować. Według opinii fachowców prawidłowo prowadzona gospodarka rolna w Polsce może w stosunkowo krótkim czasie zaowocować skokowym wręcz wzrostem produkcji, a następnie — osiągnięciem w ciągu około 5 lat — samowystarczalności Polski w zakresie zapotrzebowania na artykuły rolne. Alternatywą dla takiej możliwości są dalsze trudności, ich narastanie aż po groźbę niedożywienia i głodu. Przy dalszej fałszywej polityce rolnej i złej gospodarce — rokiem głodu może być już rok bieżący.

Rozdział IV

ODDZIAŁYWANIE ZORGANIZOWANYCH GRUP I SIŁ SPOŁECZNYCH

Partia

W polskich warunkach ustrojowych sprawą o kluczowym znaczeniu jest rozwój sytuacji w PZPR, której przewodnią rolą

w społeczeństwie znajduje się z geopolitycznej konieczności oraz z powodu uwarunkowań historycznych poza dyskusją, chociaż ciągle brak jasności, jak mogłaby ona i powinna być pełniona w zasadniczo zmienionej sytuacji społecznej. Osobliwością tej sytuacji jest uznanie przewodniej roli partii jako zasady ustrojowej — bez wiary, że jest ona do odgrywania takiej roli zdolna. Argumenty na rzecz uznania zasady ustrojowej bardzo rzadko odwołują się do aktualnych zalet czy zasług PZPR, która przeżywa okres głębokiego kryzysu. Kryzys ten uzewnętrznia się w odchodzeniu z szeregów partii wielu ludzi, w okresowym nasilaniu się sprzeczności wewnętrznych, w niedostatku zdecydowanego i akceptowanego społecznie działania tam, gdzie niezbędne jest stawienie czoła nowym problemom i znalezienie *modus vivendi* z nowymi siłami społecznymi.

Kryzys ten ma niewątpliwie wiele źródeł. Jednym z nich jest niedostateczna lub kierowana jednostronnie na zmniejszanie tempa przemian energia instancji kierowniczych w ciągu ostatnich miesięcy, a także ich przeciągająca się niezdolność do opracowania przekonującego programu, który pozwoliłby na przynajmniej częściowe przejęcie inicjatywy w procesach społecznej rekonstrukcji. Taki program zostanie w najlepszym wypadku przedstawiony dopiero na IX Zjeździe, który dochodzi do skutku z niepokojącym wielu członków partii opóźnieniem.

Kryzys ma jednak także źródła — i to zapewne źródła najważniejsze — w przeszłości zarówno całego ruchu komunistycznego, który w praktyce zwykł uwydatniać raczej centralistyczne niż demokratyczne aspekty leninowskiej formuły „partii nowego typu”, jak i samej PZPR, która tylko w bardzo krótkich okresach potrafiła stworzyć szeroką platformę dialogu ze społeczeństwem, na co dzień oczekując od niego wyłącznie braku aktywnego sprzeciwu. W rezultacie, mamy do czynienia nie tylko z przejściową niewydolnością organizacyjną, skądinąd zrozumiałą w warunkach społecznej destabilizacji, lecz również z zasadniczymi problemami strukturalnymi. Najważniejsze z tych problemów są następujące:

1. Przed długie lata partia była zorientowana na uzyskanie drobiazgowej kontroli nad całością życia społecznego od szczebla ogólnopaństwowego do szczebla osiedla czy wioski, klubu czy fabryki; obecnie musi ona liczyć się z rosnącymi obszarami niezależności i samorządności;

2. Przez długie lata partia skłaniała się w istocie do faktycznego sprawowania rządów, zacierając różnicę między sobą a administracją państwową; musiało to obecnie doprowadzić do — usprawiedliwionego lub nie — obciążenia jej przez opinię pu-

bliczną winą za wszelkie błędy w zarządzaniu, a także za jawne wykroczenia przeciwko zasadom prawa, moralności i sprawiedliwości społecznej. Przypisując sobie wszelkie możliwe zasługi, partia naraziła się tym samym na przypisanie jej wszelkich możliwych przewin;

3. Przez długie lata partia była kierowana w sposób na poły wojskowy, przy pomocy rozkazów idących z góry, których nie mogła korygować wątpliwości i najczęściej pozorowana dyskusja; ta metoda kierowania musiała okazać się całkowicie nieskuteczna w sytuacji, którą charakteryzuje rozwój autentycznej dyskusji i daleko posunięta nieufność wobec nakazów kierownictwa;

4. Przez długie lata członkowie partii byli przyuczeni nade wszystko do bezkrytycznego popierania i realizowania aktualnej polityki wyższych instancji, obecnie natomiast — wobec kompromitacji polityki przedsierpniowej i niepełnego jeszcze wyklarowania się polityki nowej — są zmuszeni włączyć w znaczną mierze samodzielnie na podstawie własnego rozumienia potrzeb kraju i wymogów ideologii socjalistycznej, chociaż w większości nie są do takiej samodzielności przygotowani;

5. Przez długie lata ideologia socjalistyczna była traktowana głównie jako podstawa i usprawiedliwienie polityki bieżącej, nie zaś narzędzie jej oceniania i korygowania; musiało to — obok innych czynników — doprowadzić do spadku znaczenia ideologii, a nawet do zwątpienia w jej ponadetapową wartość i moc inspiacyjną przy tworzeniu nowej linii politycznej;

6. Na koniec wreszcie, przez długie lata głównym układem odniesienia dla działalności kierowniczej partii były nie tyle potrzeby i aspiracje polskiego społeczeństwa, ile interesy własne, wymogi doktryny i cele polityczne ustalane bez jego udziału; musiało to doprowadzić do wytworzenia się w szerokich kręgach społecznych poczucia obcości w stosunku do partii traktowanej — mimo jej liczebności — jako coś zewnętrznego wobec zarówno społeczeństwa jako całości, jak i klasy robotniczej i szeregowych członków PZPR.

Wszystko to sprawia, że PZPR nie staje na ogół na poziomie swych deklarowanych zadań, działając opieszale, niekonsekwentnie i nieskutecznie. Dodatkowym czynnikiem utrudniającym jej adaptację do nowych warunków jest obecność w jej instancjach ludzi zasadniczo niechętnych zmianom, identyfikujących się raczej z zagrożeniami przez nie ośrodkami biurokratycznymi niż z klasą, od której partia bierze swoją nazwę, raczej z zagranicznymi krytykami polskich przemian demokratycznych niż z własnym narodem, dla którego te przemiany są jedyną nadzieją na lepsze życie. Ludzie ci zdolni są co najwyżej do przejściowych ustępstw, ale nie do zasadniczej reorientacji.

Ten kryzys PZPR bywa uważany za jej wewnętrzną sprawę, która nie dotyczy społeczeństwa jako całości, bezpartyjnych obywateli i pozapartyjnych organizacji. Oczywiście, znalezienie sposobów odrodzenia partii jest zadaniem jej członków, których nikt nie może w tej sprawie pouczać ani wyręczać. Niemniej jednak sytuacja w partii jest sprawą ogólnospołeczną, z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze, w naszych warunkach ustrojowych stosunki wewnątrz PZPR stają się nieuchronnie prefiguracją stosunków w aparacie państwowym i pozostających pod wpływem partii organizacji społecznych, albowiem ukształtowane w niej skłonności i przyzwyczajenia są przez jej członków przenoszone na inne tereny ich działalności. Po drugie, koncepcje powstające w PZPR są i muszą być na mocy konstytucji wcielane w życie nie tylko przez jej członków, a liczyć się z nimi muszą wszyscy obywatele, takie są bowiem realia ustrojowe Polski współczesnej. Z tego powodu nie będzie w naszym kraju demokracji bez demokracji w PZPR, żadna zaś zmiana, która nie zostanie potwierdzona przez odpowiednie zmiany w partii, nie będzie zmianą trwałą. Okoliczność ta upoważnia każdego, ktokolwiek interesuje się przyszłością naszego kraju, do formułowania opinii i postulatów co do pożądanego kierunku przemian PZPR.

Formułowanie takich opinii i postulatów nie jest rzeczą łatwą. Z jednej strony, budzą uznanie i nadzieje demokratyczne tendencje w PZPR, zmierzające do przekształcenia jej w partię polityczną, której linia polityczna byłaby wytyczana w toku nieskrępowanej dyskusji przez ogół członków; na podobne uznanie i zrozumienie zasługują próby nawiązania więzi poziomych między organizacjami partyjnymi — więzi, stanowiących odpowiednik odradzających się poza partią więzi społecznych i porozumień międzyśrodowiskowych, będących jedyną gwarancją przeciwko dominacji centralizmu, który Gramsci nazywa biurokratycznym. Z drugiej strony, trzeba zdawać sobie sprawę, jakim niebezpieczeństwem byłby dla kraju nagły rozkład istniejącej struktury organizacyjnej PZPR, stanowiącej — wobec braku wyraźnego profilu ideologicznego — główną ostoję jej jedności, i w oczach wielu partii komunistycznych symbolizującej trwałość socjalizmu w Polsce. Trzeba przeto wyraźnie powiedzieć, iż przemiany PZPR — jakkolwiek niezbędne i pilne — nie mogą mieć charakteru gwałtownego i żywiołowego. Partia musi stopniowo przekonywać społeczeństwo, że nie chce stać ani ponad państwem ani ponad prawem, że nie chce być ciałem obcym społeczeństwu i nadrzędnym w stosunku do niego.

Z ogólnospołecznego punktu widzenia, kluczowe znaczenie ma opracowanie nowej koncepcji przewodniej roli partii — prze-

wodniej roli, która — aczkolwiek konstytucyjnie zagwarantowana — wymaga uprzątnienia przez świadomość społeczną. Bardzo fortunne wydaje się coraz częstsze zastępowanie tradycyjnej formuły „kierownictwa” formułą „przewodnictwa”, rzecz jednak w tym, aby nie było ono wyłącznie zmianą terminologiczną. Słowo „kierownictwo” sugeruje nade wszystko posłuszeństwo płynącym z góry nakazom, zaleceniom i radom, podporządkowanie się komuś, komu to podporządkowanie należy się z racji samej tylko hierarchicznej wyższości. Słowo „przewodnictwo” sugeruje raczej wskazywanie drogi, której wybór przez wędrowców wymaga uznania przez nich kompetencji wskazującego i zaufania do jego dobrej woli. Posłuszeństwo i dyscyplina są tu pochodne od autorytetu, który został nie tyle zadekretowany, ile zapracowany. Do wyboru takiego a nie innego „przewodnika” można człowieka przekonać, ale nie zmusić.

Jeżeli zatem brać dosłownie ideę przewodniej roli partii, na pierwszy plan wysuwa się sprawa jej zdolności do tworzenia programu, który przemawiałby do przekonania większości społeczeństwa i respektowałby jego dążenie do suwerenności — programu zdolnego mobilizować siły społeczne niezbędne do jego realizacji. Nie musi to i nie może oznaczać bezwzględnego podporządkowania sobie przez partię wszystkich i wszystkiego, co zresztą byłoby w chwili obecnej zadaniem zgoła nierealistycznym i zasadniczo sprzecznym z tendencjami zwoju społecznego, które wielokrotnie ujawniały się w naszym kraju. Problem polega raczej na umiejętnym kojarzeniu różnorodnych dążeń i interesów, inicjatyw i aspiracji, na organizowaniu współpracy i doprowadzaniu do porozumień między siłami społecznymi, które nie mieszczą się, być może, w schemacie jedności moralno-politycznej, ale respektują zasady ustroju socjalistycznego i gotowe są współdziałać dla dobra kraju. Pełnienie przewodniej roli nie pociąga za sobą konieczności sprawowania drobiazgowej kontroli nad wszystkimi dziedzinami życia, która w praktyce oznaczała tak często paraliżowanie wszelkiej inicjatywy, wymaga natomiast wytyczania strategicznych celów i wychodzenia naprzeciw wszystkim, którzy — takimi lub innymi racjami powodowani — skłonni są przy urzeczywistnianiu tych celów współpracować. Warunkiem pełnienia przewodniej roli jest również uznanie się partii — niezależnie od więzi łączących ją z innymi partiami komunistycznymi — nade wszystko za reprezentację polskich mas pracujących, których uczucia narodowe są silne i zasługują na szacunek.

Takie określenie zadań partii wymaga przemyślenia od nowa zarówno jej struktury organizacyjnej, jak i jej miejsca w systemie społeczno-politycznym. Niezbędne wydaje się w szczególności:

1. Nadanie wyższej rangi pracom koncepcyjnym w porównaniu z funkcjami wykonawczymi, które w znacznej swej części mogą zostać przekazane odpowiednim ogniom aparatu państwowego, samorządowi i organizacjom społecznym;
2. Wyraźne oddzielenie od siebie kompetencji instancji partyjnych i administracji państwowej, na której winna spoczywać wyłączna odpowiedzialność za właściwą realizację bieżących zadań społeczno-gospodarczych;
3. Ograniczenie wpływu etatowego aparatu partyjnego i zdecydowane podporządkowanie go instancjom wybieralnym, które z natury rzeczy mogą pozostawać w ściślejszym związku z poszczególnymi środowiskami społecznymi, w tym również — z podstawowymi organizacjami partyjnymi;
4. Wprowadzenie statutowego ograniczenia czasu pełnienia funkcji kierowniczych do dwóch kadencji;
5. Stworzenie możliwości wypowiedzi tym członkom partii, którzy odnoszą się krytycznie do aktualnej polityki kierownictwa, a więc stworzenie wewnątrz-partyjnych mechanizmów jej korygowania;
6. Zniesienie wszelkich przywilejów, które mogłyby ze stanowisk partyjnych czynić źródło korzyści materialnych, nieosiągalnych na drodze zwykłej kariery zawodowej;
7. Podjęcie starań o ideologiczną odnowę partii i przywrócenie należnego miejsca demokratycznym i samorządowym tradycjom polskiego socjalizmu, które uległy przytłumieniu po 1948 roku przez jednostronnie rozumianą tradycję komunistyczną.

Nie ulega wątpliwości, że odpowiednie przemiany strukturalne w PZPR będą wymagały przezwyciężenia wielu nawyków i dogmatów. O wiele łatwiejszą i tym samym bardziej pociągającą drogą są „rozliczenia” personalne, pozostawiające bez istotniejszych zmian warunki, które wytykane dziś powszechnie błędy i wykroczenia uczyniły możliwymi, a zapewne i nieuchronnymi. Nie brak zapewne w partii ludzi, którzy — w najlepszej mierze — chcieliby jak najszybciej powrócić do „wypróbowanych” metod pracy. Wielu z nich inaczej pracować nie potrafi. Otóż trzeba koniecznie zdać sobie sprawę, iż w obecnych warunkach społecznych uleganie tym konserwatywnym tendencjom grozi partii politycznym samobójstwem, oznaczać bowiem musi rezygnację z pełnienia przewodniej roli w społeczeństwie na rzecz

wymuszania respektu dla swych decyzji, których nikt nie jest skłonny zaakceptować na kredyt.

Ruch związkowy

Jak już pisaliśmy wyżej, pojawienie się niezależnego i samorządowego ruchu związkowego zmieniło radykalnie i w sposób nieodwracalny układ sił społecznych i politycznych w Polsce. Nagłość tej zmiany stawia zarówno różne ośrodki władzy jak i organizujący się ruch związkowy wobec nieznanych z dotychczasowej praktyki problemów, rodząc napięcia i konflikty. Istota tych trudności nie tkwi w konkretnych, rzeczowych konfliktach, które przeciwstawiają i nadal zapewne będą przeciwstawiać załogi pracownicze administracji gospodarczej. Jest naturalne, że dyrektorzy zakładów pracy z pewną obawą patrzą na wszystko, co może ograniczać ich „wolną rękę”, i że nie wszyscy od razu są zdolni dostrzec szansę, jaką stwarza współpraca z autentyczną reprezentacją pracowników. Ale wielu z nich, jak to pokazały ostatnie miesiące, potrafiło ułożyć sobie dobre stosunki z nowymi związkami zawodowymi.

Nie w tym więc tkwi główny problem. Wynika on z rezerwy, a często z jawnej niechęci i wrogości licznych ośrodków władzy różnych szczebli do organizującego się nowego ruchu związkowego. Wykazując zupełny brak wyobraźni politycznej i niezdolność do oceny skali nowych zjawisk społecznych, postępują one tak, jakby można było dynamiczny ruch masowy, ogarniający miliony ludzi, rozgrywać na płaszczyźnie czysto taktycznej, przy pomocy skompromitowanych metod manipulacji propagandowej czy kruczków prawnych.

Brak wyobraźni, o której tu mowa, ujawnia się również w postawach deklaracyjnych zwolenników odnowy, którzy wyrażając dla niej poparcie dają równocześnie do zrozumienia, że kraj stoi przed alternatywą i musi wybrać jedną z wykluczających się dróg, albo wzmocnienie władzy i przywrócenie dyscypliny, pozwalające wyjść z kryzysu, albo demokratyzację, grożącą chaosem. Jest to alternatywa z gruntu fałszywa, gdyż jedynie konsekwentna demokratyzacja może wzmocnić władzę, uczynić ją zdolną do stawienia czoła politycznemu, społecznemu i gospodarczemu kryzysowi.

Stosunek władz do NSZZ „Solidarność”, skupiającej przytłaczającą większość robotników i pracowników, jest podstawowym probierzem woli demokratyzacji i zarazem jedyną drogą, na której władza może uzyskać minimum zaufania społeczeństwa. Natomiast trwały konflikt partii określającej się mianem robotniczej

z masowym, autentycznie robotniczym ruchem, a nawet jakakolwiek dwuznaczność czy niedomówienia w jej stosunku do tego ruchu godzi bezpośrednio w racje ideologiczne i polityczne, którymi uzasadnia ona swą dotychczasową rolę w państwie.

Okoliczności, jakie towarzyszyły rejestracji NSZZ „Solidarność” oraz liczne utrudnienia i szykany ze strony najróżniejszych organów władzy nie tylko naruszyły poważnie autorytet wymiaru sprawiedliwości i podkopały wiarę w wolę dotrzymania przez władzę porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. Miały one i ten efekt, że zmusiły nowo formujący się ruch do działań obronnych i wewnątrzorganizacyjnych, opóźniając podjęcie zadań ogólnospołecznych, niezbędnych wobec niezwykle trudnej sytuacji kraju.

Od początku istnienia „Solidarności”, w wielu jej deklaracjach i działaniach wyrażała się świadomość, że najszustniejsze rewindykacje płacowe i socjalne nie przyniosą spodziewanych rezultatów, a nawet mogą obrócić się przeciw pracownikom, jeżeli społeczeństwo jako całość nie podejmie wspólnego wysiłku zmierzającego do usprawnienia gospodarki i do pomnożenia przypadającego do podziału produktu narodowego. Zależy to w pierwszym rzędzie od poczynań reformatorskich, które podjąć i przeprowadzić mogą tylko władze państwowe. Ale sukces tych przedsięwzięć zależy w znacznym stopniu od takiego sformułowania celów i zasad reformy, by klasa robotnicza i ogół pracowników uznały je za swoje. Wielokrotne doświadczenia wskazują, że reformy typu manadżerskiego, nie angażujące robotników, kończą się nieuchronnie fiaskiem.

Dlatego też udział „Solidarności” w przygotowaniu, a później w przeprowadzaniu reformy jest niezbędny i to nie tylko udział formalny; poprzedzony on być musi gruntowniejszą niż to ma miejsce dotychczas pracą programowo-koncepcyjną, jak również pracą przygotowującą poszczególne grupy i ogniwa związku do zadań podejmowanych w mikroskali na wszystkich obszarach życia społecznego i gospodarczego. Wiele z tego typu cennych inicjatyw zostało podjętych przez załogi zorganizowane w nowych związkach zawodowych. Wolno wszakże oczekiwać, że po ich organizacyjnym okrzepnięciu, staną się one prawdziwą szkołą obywatelskiego myślenia, stając się ośrodkiem dynamicznego i szerokiego ruchu społecznego na rzecz efektywności gospodarczej, przeciwko różnym postaciom marnotrawstwa sił ludzkich i środków materialnych. Konsekwentne działanie pełnoprawnych gospodarzy uspołecznionych warsztatów pracy pozwoli osiągnąć to czego nie były w stanie osiągnąć ani apele ani biurokratyczna kontrola dająca skutki pozorne lub wręcz odwrotne do zamierzonych.

„Solidarność” ze zrozumiałych względów wewnętrznych i zewnętrznych odcina się od polityki i nie chce brać współodpowiedzialności za kierowanie państwem. Jasne postawienie sprawy w tym zakresie wyklucza niebezpieczeństwo uwikłania jej w walkę o władzę. Nie zmienia to jednak faktu, że pojawienie się autentycznej i niezależnej reprezentacji pracowniczej zmienia układ stosunków politycznych w naszym kraju. Po wstępnym okresie organizacji, ruch związkowy wchodząc w fazę normalnego działania stanąć musi przed trudnymi problemami także natury politycznej, tymi w szczególności, które wiążą się z dystrybucją dochodu narodowego i udziałem w nim różnych grup społecznych i zawodowych.

Dotychczas władza państwowa przesądzała o tym podziale w sposób całkowicie arbitralny, co prowadziło do zwichnięcia równowagi i głębokich dysproporcji, stanowiących jedno z głównych źródeł kryzysu. Przewycięzenie tych dysproporcji wymaga rozbicia potężnych grup interesów, zdolnych wymuszać na państwie ogromne środki ze szkodą dla innych dziedzin gospodarki. Jednakże niezbędne przywrócenie właściwych proporcji w naszej gospodarce nie może nie dotknąć również interesów licznych grup pracowniczych. Istnienie „Solidarności” i zwycięstwo zasady negocjowanych porozumień pozwalają żywić nadzieję, że konflikty mogące przeciwstawiać interesy różnych grup społecznych będą w przyszłości znajdować zadawalające rozwiązanie, przy maksimum aprobaty społecznej. Stawiać to jednak będzie ruch związkowy wobec trudnych problemów. To samo dotyczy szerokiego kręgu spraw dotyczących racjonalizacji zatrudnienia. Jest ono niezbędnym wymogiem uzdrowienia naszej gospodarki. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, że proces tej racjonalizacji nie będzie przebiegał bez uszczerbku interesów pewnych grup pracowniczych. Same zabiegi organizacyjne nie zdołają tych problemów rozwiązać, konieczny jest tu udział samych zainteresowanych i ich organizacji związkowej. Swój ogromny autorytet zawdzięcza „Solidarność” temu, że jej poczynaniom przewodziła troska o dobro całej wspólnoty narodowej, stawiana ponad interesami poszczególnych grup. Pozwała to wierzyć, że w czekających nas trudnych latach ten sam duch będzie przejawiać się w trwałych i systematycznych działaniach tego ruchu zmierzających do godzenia interesów partykularnych i ogólnospołecznych.

Zrozumiała euforia towarzysząca powstaniu i pierwszej fazie istnienia „Solidarności” przesłaniała często ogromne problemy strukturalne i organizacyjne, przed którymi ta młoda organizacja stoi. Mamy tu na myśli w szczególności konieczność godzenia sprzecznych nieraz wymogów: z jednej strony zachowania federalnego charakteru ruchu i swobody działania poszczególnych

jego ogniów, z drugiej — niezbędnej jedności i sprawności działania ruchu jako całości. Innym, nie mniej trudnym problemem, jest drażliwa w pierwszym okresie sprawa ułożenia się stosunków ze związkami branżowymi. Pozostaną one zapewne trwałym elementem w naszym życiu społecznym, choć ich charakter i funkcja jest niejednolita i może budzić wątpliwości i obawy.

Trzeba też powiedzieć coś więcej. „Solidarność” jest na razie jedynym w pełni autentycznym, a zarazem skutecznym środkiem, poprzez który społeczeństwo wyraża swoje aspiracje i formułuje swoje żądania. Inne stowarzyszenia, organizacje, czy instytucje, które w normalnie funkcjonującym społeczeństwie winny realizować na swoich odcinkach te same zadania — walczą dopiero o uzyskanie samorządowego i autentycznego charakteru. Nie zostały również, jak dotąd, zreformowane oficjalne ciała przedstawicielskie: sejm, rady narodowe itd. Nie spełniają dostatecznie swoich zadań ani wymiar sprawiedliwości, ani oficjalne organizacje kontrolne, ani środki masowego przekazu. W tej sytuacji organizacje „Solidarności” podejmują nieraz problematykę, która wykracza poza zwykły zakres działania związków zawodowych, jej zaś instancje kierownicze, zwłaszcza KPP, zmuszone są działać w charakterze „straży pożarnej” i adwokata wszystkich zaniedbanych, lekceważonych dotąd, lub wadliwie rozwiązywanych problemów społecznych.

Utrudnia to „Solidarności” organizację i umocnienie struktur związkowych, skupienie się na właściwej pracy związkowej, opracowanie zgodnych ze statutem programów działania. W niejednym przypadku sprzyja wytwarzaniu się chaosu, rodzi też nieporozumienia co do zakresu działania tej organizacji.



Zupełnie odrębnym zjawiskiem stanowiącym jedną ze „stref nadziei” jest rodzący się na wsi ruch inicjatyw społecznych o skali i natężeniu w dziejach powojennych nie notowanych. Chodzi tu zwłaszcza o „Solidarność Wiejską”, która liczy już dziś przeszło pół miliona członków, a także mający nieco inny charakter Związek Producentów Rolnych.

Zwłoka, odmowa ich rejestracji, a także szykany władz lokalnych — stać się mogą przyczyną konfliktu społecznego o groźnych dla państwa następstwach. Rozwój samorządności wiejskiej (zwłaszcza reforma gminy), ale bez narzucania jej formy, reaktywowanie autentycznej spółdzielczości — od mleczarskiej poczynając na zdrowiu kończąc — sprzyjać będzie przywracaniu podmiotowości mieszkańcom wsi, których wszechwładnie panująca biurokracja ubezwłasnowolniła, a zarazem wpłynie na rozwój rolnictwa.

Tak aktualny na wsi obecnie — przez środki masowego przekazu wobec istniejącego zapisu cenzury przemilczany, a poruszający, jak nigdy dotąd jej mieszkańców — problem ruchu związkowego jest trudny i złożony. Z zagadnienia społecznego i prawnego uczyniono zeń zagadnienie przede wszystkim — i tylko — polityczne. Złe się też stało, że kierownictwo polityczne dokonało takiej oceny przed zakończeniem postępowania w Sądzie Najwyższym.

To prawda, że historycznie rzecz biorąc związki zawodowe tworzyli pracownicy najemni. Ale od tego czasu wiele się zmieniło. W ratyfikowanym przez Polskę w 1977 roku Międzynarodowym Pakcie Praw Społecznych, Gospodarczych i Kulturalnych gwarantuje się (art. 8) prawo każdego do tworzenia niezależnych związków zawodowych. Specjalna zaś konwencja Międzynarodowej Organizacji Pracy (nr 141 z 23. VI. 1975 roku) — co prawda przez Polskę dotąd nie ratyfikowana — dotycząca organizacji pracowników rolnych i ich roli w rozwoju ekonomicznym i społecznym, wyraźnie stanowi, że pojęcie „pracownika rolnego” oznacza zarówno osoby zatrudnione na podstawie stosunku pracy, jak i osoby pracujące na własny rachunek (farme-rzy, dzierżawcy i drobni właściciele gospodarstw).

Funkcje postulowanych związków rolników polegać powinny — analogicznie do niezależnego i samorządowego ruchu związkowego środowisk pracowniczych — na tworzeniu organizacyjnej przeciwwagi dla onnipotencji państwa. Byłyby one negocjatorem w sprawach cen rolnych, warunków kontraktacji i skupu produktów rolnych, byłyby społecznym kontrolerem w zakresie funkcjonowania instytucji wiejskich, animatorem inicjatyw społecznych samych rolników, przede wszystkim zaś — obrońcą ich praw, interesów i aspiracji.

Oczywiście samo istnienie takich związków musiałyby prowadzić do naruszenia istniejących zbiurokratyzowanych struktur. I tu chyba leży jedna z głównych przyczyn kontrakcji jaką administracja i aparat władzy podjęły.

Samorząd

Demokratyczny charakter przemian dokonujących się w naszym kraju aktualizuje problem form społecznej kontroli nad życiem gospodarczym. Dotykaliśmy już tego problemu wcześniej, widząc w jego właściwym rozwiązaniu jeden z ważnych warunków powodzenia reformy ekonomicznej. Niezmiernie ważnym aspektem tego problemu jest sprawa samorządu pracowniczego, chociaż z łatwych do wyjaśnienia przyczyn opinia publicz-

na nie przywiązuje do niej tak wielkiego znaczenia jak w okresie reform państwowych. Konstytucyjnie zagwarantowane uczestnictwo załóg w zarządzaniu przedsiębiorstwami okazało się — po faktycznej likwidacji rad robotniczych i zastąpieniu ich KSR-ami — biurokratyczną fikcją, która przyczyniła się do kompromitacji idei samorządu pracowniczego w nie mniejszym stopniu niż stosowany przez stare związki zawodowe frazes o współuczestnictwie. Fikcyjność ta była zresztą nieuchronną konsekwencją centralistyczno-nakazowego systemu zarządzania gospodarką. Nic dziwnego, że NSZZ „Solidarność” w swych deklaracjach programowych aż do przesady odżegnuje się od odpowiedzialności za sprawy produkcji, rezerwując dla siebie kontrolę działań administracji o tyle, o ile dotyczą one interesów pracowniczych. Powściągliwość ta wydaje się cokolwiek uzasadniona — w każdym razie tak długo, jak długo zachęca się pracowników do współodpowiedzialności, nie proponując jednocześnie żadnego realnego udziału w podejmowaniu decyzji. Tego rodzaju „współodpowiedzialność” oznaczałaby w praktyce jedynie zamazywanie odpowiedzialności tych, którzy powinni ją ponosić, jako że posiadają monopol w zakresie wszystkich istotnych decyzji ekonomicznych. Pracownicy zbyt dobrze zdają sobie sprawę z fałszywości istniejących form „współudziału” w zarządzaniu, aby mogli o choczko przystać na ich kontynuację, którą się im od czasu do czasu proponuje. W chwili obecnej nie można nawet mieć pewności, czy sama idea samorządu pracowniczego jest w skali masowej atrakcyjna.

Niemniej jednak sprawa ma zasadnicze znaczenie zarówno dla „realizacji społecznych wartości socjalizmu”, o której, w związku z samorządem robotniczym, pisał przed laty Oskar Lange oraz dla stopniowego przechodzenia od upaństwowienia do społecznienia środków produkcji, jak i dla rozwiązywania aktualnych problemów społeczno-gospodarczych. Wolno sądzić, iż wraz ze zwiększeniem samodzielności przedsiębiorstw znaczenie to jeszcze wzrośnie. Za podjęciem na nowo idei samorządu pracowniczego przemawiają racje najzupełniej praktycznej natury, chodzi bowiem o jeden z mechanizmów intensyfikowania aktywności gospodarczej i korygowania planistycznych błędów. Zapowiadana i realizowana przez nowe związki zawodowe obrona interesów pracowniczych będzie przypuszczalnie wywierała korzystny wpływ na cały nasz system gospodarczy, stanowiąc skuteczną zaporę przeciwko przerostom akumulacji, stanowiącym jedno z głównych schorzeń znanych do tej pory form gospodarki socjalistycznej. Zlikwiduje też ona demoralizującą dla kierowników życia gospodarczego sytuację, w której kosztami trudności i błędów można bezkarnie obciążać masy pracujące, nie troszcząc się w praktyce

o oszczędności w innych dziedzinach. Jakkolwiek tych obronnych funkcji związków zawodowych nie sposób przecenić (i absurdem jest widzenie w nich wyłącznie utrudnień rozwoju gospodarczego), łatwo zauważyć, iż wiążą się z nimi pewne niebezpieczeństwa, a ponadto szereg istotnych problemów pozostaje bez rozwiązania. Jedno ze wspomnianych niebezpieczeństw polega na utrwalaniu się zabójczego dla aktywności społecznej podziału na „my” i „oni” oraz kształtowaniu się stosunków pomiędzy pracującymi i administracją na zasadzie „kto kogo” w walce o podział ograniczonych z konieczności środków. Jest to z pewnością lepsze od arbitralnego decydowania o wszystkim przez warstwę kierowniczą, ale nie stwarza żadnych trwałych gwarancji przeciwko nawrotom takiej arbitralności, pozostawia bowiem bez zmian społeczną strukturę życia gospodarczego. Omawiane rozwiązanie nie stwarza też niezbędnych przesłanek dla rozszerzenia rozbudzonej aktywności społecznej na teren samej produkcji, gdzie wielu pracowników widzi w sobie wyłącznie wykonawców, jeżeli nawet na innych polach wykazują oni zdolność do inicjatywy. Zbędne wydaje się omawianie negatywnych skutków tego stanu rzeczy, ponieważ były one wiele razy opisywane zarówno przez filozoficznych krytyków alienacji pracy, jak i przez praktyków gospodarki. Poszukiwanie środków zaradczych zostało podjęte nawet w krajach kapitalistycznych. Tym bardziej jest ono niezbędne w ustroju opartym na społecznej własności środków produkcji i sytuacji wymagającej mobilizacji wszystkich sił. Kształtujący się po sierpniu model polskiej demokracji zdaje się cechować dysproporcja między rozwojem przedstawicielstwa pracowników jako konsumentów i rozwojem przedstawicielstwa pracowników jako producentów.

Celowe wydaje się tedy podjęcie na nowo idei samorządu robotniczego, która uzyskała w Polsce taką popularność przed ćwierćwieczem. Nie znaczy to, oczywiście, że możliwe jest dzisiaj wskrzeszenie istniejących podówczas rad robotniczych, czy też proste naśladowanie jakichś gotowych wzorów. Zastanawiając się nad przyszłością samorządu pracowniczego, trzeba uwzględnić przynajmniej trzy okoliczności:

1. Istnienie silnych związków zawodowych, czyniących — jak już powiedzieliśmy — swym głównym zadaniem obronę interesów pracowniczych, co różni sytuację polską od jugosłowiańskiej i wymaga najpewniej odmiennych rozwiązań organizacyjnych;

2. Pojawienie się perspektywy reformy gospodarczej, która zakłada znaczne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw, a tym samym zakresu decyzji podejmowanych w polu widzenia i bezpośrednich doświadczeń załóg;

3. Skompromitowanie się ceremonialnych i fasadowych form samorządności. Jest rzeczą oczywistą, iż w obecnych warunkach przyszłość ma przed sobą jedynie taki samorząd pracowniczy, który potrafi efektywnie wpływać na działalność przedsiębiorstwa, poprawiając jego wyniki produkcyjne w taki sposób, by pozostawały one w uchwytym związku ze wzrostem poziomu życia załogi. Jest również rzeczą oczywistą, że dobry samorząd pracowniczy nie może zostać zadekretowany, lecz musi powstać w wyniku autentycznego ruchu społecznego. Punktem wyjścia nie mogą być abstrakcyjne pomysły ekonomistów, socjologów, czy prawników; zaczynać trzeba od konkretnych doświadczeń, potrzeb i możliwości poszczególnych załóg. Najprawdopodobniej samorząd produkcyjny przybierze formę rad pracowniczych wyłanianych w drodze bezpośrednich i tajnych wyborów przez całe załogi, trudno jednak przesądzać z góry, jaki będzie zakres ich kompetencji, miejsce w strukturze organizacyjnej przedsiębiorstwa, czy też rodzaj powiązań z innymi organami przedstawicielskimi. W chwili obecnej trzeba stwarzać możliwie dużo zalet i jak najmniej formalnych ograniczeń.

Trzeba natomiast pokusić się o sformułowanie problemów, które samorząd pracowniczy — jakiegokolwiek formy organizacyjnej przybierze — będzie musiał rozwiązywać. Są to m.in. zadania następujące:

1. nadanie nowego kształtu (usankcjonowanego przez odpowiednią ustawę) przedsiębiorstwu produkcyjnemu jako podstawowej jednostce organizacyjnej życia gospodarczego, jako że reforma, jeśli nawet dojdzie w pełni do skutku, będzie reformą połowiczną bez zmiany dotychczasowego układu stosunków na linii: pracownicy — pracodawca, pracownicy — kierownictwo;

2. znalezienie form efektywnej kontroli działalności dyrekcji z punktu widzenia kryteriów racjonalności ekonomicznej;

3. dokonanie przeglądu aktualnych możliwości przedsiębiorstwa, zbadanie jego stanu posiadania i zobowiązań, analizę kosztów własnych i organizacji pracy itd. Inaczej mówiąc, chodzi o uczynienie reformy ekonomicznej ruchem społecznym i przygotowanie do nowych metod pracy ludzi na wszystkich stanowiskach pracy.

W wypadku zakładów przemysłu kluczowego należy rozważyć — jak postuluje się to coraz częściej — celowość powołania rad nadzorczych złożonych zarówno z przedstawicieli załóg, jak i z przedstawicieli samorządu terytorialnego, organizacji politycznych i zawodowych itd., a to po to, by ściślej wiązać takie przedsiębiorstwa z potrzebami miasta czy regionu, osłabiając tym samym silny ciągle partykularyzm branżowy. Jest to luźna jesz-

cze idea, godna jednak rozważania w kontekście przeobrażeń całego systemu społeczno-gospodarczego.

Odrębnym problemem jest samorząd wiejski. O konieczności demokratyzacji i racjonalizacji ustroju gminy wspominaliśmy. Temat ten znajdzie szersze rozwinięcie w przygotowywanym „Raporcie o stanie wsi i rolnictwa”.

Kościół i środowiska katolickie

Nie ma tu potrzeby omawiać szerzej oczywistego dla wszystkich znaczenia Kościoła dla zachowania i utwierdzenia polskiej tożsamości w ciągu ostatnich stu kilkudziesięciu lat. W warunkach, gdy różnorakie błędy władzy przez ostatnie 30 lat czyniły Kościół jedynym zorganizowanym oparciem dla podtrzymania tej tożsamości, stał się on czynnikiem prawie niezastąpionym, szczególnie w takich okresach trudnych i przełomowych jak obecny, gdy kraj staje przed ogromnym zadaniem głębokiej rekonstrukcji form życia zbiorowego. Wpływ i powaga Kościoła nabrały obecnie nowego charakteru i wymiaru międzynarodowego dzięki osobie polskiego papieża.

Ogromny wpływ Kościoła na sytuację społeczną w Polsce jest faktem oczywistym, przez nikogo nie kwestionowanym, ale natura i charakter tego wpływu bywają różnie interpretowane i różnie oceniane. Istnieje w szczególności dość uporczywa skłonność, której ulegają niekiedy sami katolicy, do traktowania Kościoła jako siły przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, politycznej. Ma to swoje źródło w wyżej opisanych stosunkach, które zmuszały Kościół do odgrywania roli wykraczającej poza jego religijne funkcje. Kościół do tej roli nie był przygotowany, ograniczając swe powołanie do ochrony instytucji rodziny, a z drugiej strony — do ochrony polskiej tożsamości w skali narodu. W nowych warunkach ustrojowych Kościół nie mógł natomiast wypracować i zastosować pełnego i spójnego programu zachowań społecznych, jakkolwiek katolicyzm polski na długo przed XX wiekiem próbował, zwłaszcza w zaborze pruskim, rozwijać etos pracy. Kościół oddziaływał jednak w okresie powojennym na życie społeczne i chronił prawa człowieka będąc naturalnym rzecznikiem autonomii życia społecznego.

Wiadomo z historii, że chrześcijaństwo inspirowało z jednej strony postawy i ruchy dążące do radykalnych przemian społecznych, z drugiej zaś dostarczało często motywacji tendencjom zachowawczym, a nawet skrajnie konserwatywnym. Paradoks ten był po prostu odbiciem natury procesu dziejowego z jego uwarunkowaniami społecznymi; zrodził on różnego rodzaju oczeki-

wania wobec Kościoła — w zależności od poglądów, czy sympatii tego, kto dane oczekiwania przejawiał.

W naszej epoce Kościół przeszedł istotną ewolucję, zwłaszcza od czasów Jana XXIII i II-go Soboru Watykańskiego. W okresie obecnego pontyfikatu Kościół jasno i wielokrotnie manifestuje wolę niewiązania się z żadną koncepcją polityczną i żadnym ustrojem oraz odżegnuje się oficjalnie od narzucania swym wyznawcom określonych poglądów politycznych. Nie zmienia to faktu, że obecny papież w swym nauczaniu społecznym odwołuje się do ideałów chrześcijaństwa ludowego, chrześcijaństwa ubogich, co przybliżyło to nauczanie do ideałów głoszonych przez lewicę społeczną. Zapewnia to wzrost wpływu — pośrednio także politycznego — Kościoła w całym świecie, wpływu opartego nie tyle na zwartości i dyscyplinie organizacyjnej, czy liczebności wyznawców, co na autorytecie moralnym uznawanym coraz powszechniej, również przez ludzi i siły społeczne tradycyjnie mu obce, a nawet przeciwstawne.

Przypomnienie tych ogólnych prawd wydaje się niezbędne dla właściwej oceny obecnej i przyszłej roli Kościoła w Polsce. Przede wszystkim wypada podkreślić, że nic obecnie nie upoważnia do traktowania Kościoła jako siły opozycyjnej w politycznym znaczeniu tego słowa, ani też do choćby częściowego utożsamiania go z jakimkolwiek ośrodkami niezależnymi. Na podobnych przekonaniach, rozpowszechnionych, choć nie zawsze wyrażonych, a mających swe źródło w przeszłości, opierają się nieuzasadnione oczekiwania, w konsekwencji zawody, pretensje, krytyki. Przy ocenie możliwej roli Kościoła trzeba oderwać się od spraw incydentalnych (od wypowiedzi jego poszczególnych przedstawicieli budzących sprzeciw lub krytykę), po to, by rozważyć jego swoistą rolę społeczną i przede wszystkim niezależność, która zapewnia mu pozycję czynnika równowagi społecznej, szczególnie potrzebnej krajowi w chwili obecnej.

Spółceństwo nasze stoi przed niezmiernie trudnym zadaniem wypracowania metod i dróg łagodzenia napięć i godzenia sprzecznych interesów, polubownego rozwiązywania konfliktów. Dla wszystkich tych dążeń i wysiłków, niezbędnych, a wymagających przezycięcia wielu urazów i zadawnionych pretensji Kościół może stanowić cenne oparcie jako rzecznik rozwagi, umiarkowania i pojednania, a równocześnie — jako czynnik inspirujący i udzielający poparcia zmianom demokratycznym.

Wpływ Kościoła odegrał niewątpliwie ważną rolę w osiągnięciu porozumienia w sierpniu 1980 roku, oddziałuje on nadal, pośrednio lub bezpośrednio, w sposób moderujący na konflikty, których zaognienie może w każdej chwili zagrozić zapoczątkowanemu procesowi przemian. Ta rola, swego rodzaju arbitra, na-

raża i zapewne narażać będzie Kościół na krytykę ze strony żywiołów niecierpliwych i skrajnych. Równocześnie jednak budzi nadzieje tych wszystkich, którzy są świadomi, że powodzenie procesu przemian zależy od tego, czy będzie on w dalszym ciągu przebiegać zgodnie z wymaganiami realizmu skojarzonego z nieustępliwą konsekwentną wolą obrony, utwierdzenia i rozszerzenia zdobyczy jakie przyniósł rok 1980.

Kościół posiada w swej dyspozycji potężne środki oddziaływania na ludzi, na ich indywidualną i społeczną moralność. Odrodzenie moralne społeczeństwa wymaga nie tylko głoszenia norm i zasad, pouczania i moralizowania, ale przede wszystkim tworzenia warunków sprzyjających praktykowaniu tych zasad w życiu indywidualnym i publicznym. Dlatego Kościół jest sojusznikiem wszystkich sił dążących do przywrócenia podmiotowej roli jednostkom i grupom społecznym.

Ogromny wzrost wpływów Kościoła w Polsce rodzi niekiedy lęk przed klerikalizacją znacznych obszarów naszego życia społecznego. Warto w związku z tym podkreślić, że jeśli taka obawa jest uzasadniona, to wiąże się raczej z ciężeniem przeszłości, której oddziaływanie słabnie dzięki posoborowej ewolucji Kościoła. Jednym z ważnych przejawów tej ewolucji jest emancypacja i rosnące znaczenie środowisk świeckich, którym Kościół pozostawia coraz większą swobodę działania społecznego, podejmowanego na własną odpowiedzialność bez angażowania autorytetu całej instytucji. Utrzymuje się jednak nadal nienormalna sytuacja, w której te spośród katolickich środowisk niezależnych, które cieszą się zaufaniem Kościoła, dysponują ciągle jeszcze nikłymi środkami oddziaływania, niewspółmiernymi do realnej roli, jaką odgrywają w życiu społecznym i intelektualnym. Ten stan rzeczy, jako jeden z przykładów fikcji ciężającej na naszym życiu zbiorowym, musi być zmieniony.

Srodowiska niezależne

Obejmujemy tą nazwą przytłaczającą większość grup określanych dotychczas jako „opozycyjne”. Termin ten mylnie sugeruje, że chodzi tu o zwartą i jednorodną formację polityczną, zmierzającą do obalenia istniejącej władzy i zajęcia jej miejsca. Jak wiadomo tak nie jest. Ruch sprzeciwu skupiający ludzi ukształtowanych przez różne kierunki polityczne i różne wpływy ideologiczne zrodził się i był ożywiony przede wszystkim wewnętrznym nakazem moralnym skłaniającym do wystąpienia z otwartą krytyką panującego stanu rzeczy. Przy czym istotne znaczenie miało tu — co dziś trzeba z naciskiem podkreślić — powstanie

KOR i jego śmiało w roku 1976 wystąpienie w obronie robotników.

Stosunkowo nieliczna grupa działaczy KOR-u odegrała ogromną rolę w przebudzeniu opinii publicznej, wpływając na przełamanie bariery lęku paralizującego krytykę i wszelkie śmielsze poczynania obywatelskie; działacze KOR, broniąc robotników przed represjami, pomagając im i organizując dla nich wymianę informacji zyskali sobie szerokie uznanie robotników, choć nie oni wywołali sierpniowy przełom, uwieńczone porozumieniami w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu i powstaniem niezależnego i samorządowego ruchu związkowego. Zasługi KOR, jak również zasługi wielu innych niezależnych ugrupowań, powinny być uznane także przez politycznych przeciwników KOR-u, obecnie, gdy z ust kierowników partii i państwa słyszymy niektóre stwierdzenia i postulaty, za których wysuwanie jeszcze niedawno niezależni działacze byli szkalowani i represjonowani.

Prześladowanie ośrodków niezależnych i prymitywne kampanie propagandowe przeciwko nim spychały niektóre z nich na pozycje skrajne, utrudniając jednocześnie rzeczową dyskusję i swobodne krystalizowanie się różnych nurtów opinii publicznej. Powódz insynuacji oraz doszukiwanie się wszędzie „wrogów socjalizmu” i dowolne ich kreowanie, zaciemniały systematycznie oczywistą prawdę, że większość Polaków uznaje zasady ustrojowe i jest świadoma realiów określających miejsce naszego kraju w świecie. Różnice poglądów dotyczą nie socjalizmu jako takiego, ale rozumienia tego pojęcia, które praktyka polityczna pozbawiła treści, dotyczą także motywacji i wizji jego przyszłego oblicza. Są to więc różnice naturalne i twórcze nie wykluczające, ale przeciwnie, warunkujące ogólnonarodowe porozumienie, polegające nie na narzuconej i sztucznej jedności lecz na świadomej zgodzie na wspólnie uznane zasady.

Niezmiernie trudne wewnętrznie i zewnętrznie położenie kraju każe dołożyć wszelkich starań, by ta podstawowa zgoda utwierdzała się i rozszerzała. By wszystkie niezależne ośrodki myśli i działania wykorzystywały swój wpływ na opinię publiczną, głosząc rozsądne, umiarkowane i poczucie odpowiedzialności. Działacze KOR-u, a także innych ośrodków niezależnych, dali niejednokrotnie dowody tego, że są tych obowiązków świadomi i że w trudnych momentach, które nas mogą jeszcze czekać można w tym zakresie na nich liczyć: jeśli niektórzy z działaczy KOR-u, zasłużeni zresztą dla konstruktywnego rozwiązywania poszczególnych konfliktowych problemów, wypowiadają czasem publicznie poglądy niebezpieczne dla stabilności sytuacji kraju, otwarta uczciwa dyskusja może, naszym zdaniem, doprowadzić do wyjaśnienia sytuacji. Środki represyjne takim rozwiązaniu nie służą.

Trzeba tu wszakże dodać, że w tej szerokiej wspólnotce porozumienia — na gruncie konstytucji i uznania realiów geopolitycznych — nie mieszczą się działania typu ściśle politycznego, zmierzające bezpośrednio do obalenia istniejącej władzy. Niepoważny charakter i brak szerszego poparcia tego rodzaju działań nie mogą prowadzić do zupełnego ich lekceważenia, gdyż w sprzyjających okolicznościach mogą one znaleźć posłuch, a rozszerzanie się nieodpowiedzialnej demagogii mogłoby zagrozić realizacji pomysłów zapowiadających się zmian społecznych i politycznych. Ten typ działalności wymaga zatem przeciwdziałania. Ale represje policyjne, z zasadniczych względów niedopuszczalne, mają ponadto ten skutek, że powiększają związane z tym niebezpieczeństwo, uniemożliwiając merytoryczną krytykę tych poczynania, stwarzając równocześnie warunki sprzyjające szerzeniu się postaw skrajnych i fanatycznych.

Zapoczątkowane po sierpniu zmiany i powstanie nowych płaszczyzn działalności społecznej i obywatelskiej nie odmieniły w sposób istotny sytuacji środowisk niezależnych i nie wpłynęły na zmianę ich oceny przez czynniki oficjalne. Wyraziły się jedynie złagodzeniem stosowanych środków i częściowym wyciszeniem ataków propagandowych. Częściowym, gdyż raz po raz ponawiane są napaści zarzucające, na przykład, KOR-owi związki z ruchami terrorystycznymi i inspiracje syjonistyczne lub też nazywające pogardliwie „tłumkiem” zwolenników „Solidarności” oczekujących na jej rejestrację. Chciałoby się zlekceważyć te wypowiedzi rzeczników przemocy, ludzi skompromitowanych. Nie sposób jednak zbyć ich milczeniem, skoro *Trybuna Ludu*, organ KC PZPR rozpowszechnia tego rodzaju opinie i skoro słyszą je miliony widzów w całym kraju. Trzeba więc je uznać za próby odwrócenia zmian i podkopania autorytetu kierownictwa partii, skompromitowanie dążeń do odzyskania przez partię wiarygodności w oczach społeczeństwa.

Podobnie trzeba ocenić ujawniony w listopadzie ub. roku dokument Prokuratury Generalnej, z którego niedowzmacznie wynika, że nadal, w dwa miesiące po gdańskim porozumieniu, organ ten uznaje za przestępczą „działalność antysocjalistyczną” wszelkie dążenie do obrony praworządności i do rozszerzania zakresu wolności obywatelskiej.

W okresie gdy zaczyna się przywracać autentyczne życie instytucjom wyrażającym potrzeby całego społeczeństwa i poszczególnych grup społecznych, nie wystarczy domagać się poskromienia praktyk nekających i szkalujących niezależne ośrodki myśli i działania, trzeba również domagać się, by obecność ich w życiu publicznym została uznana bez niedomówień i dwuznaczności.

Nie wypowiadamy się na temat konkretnych form i ram

instytucjonalnych, w których miałyby się rozwijać aktywność tych środowisk, zresztą zależeć one muszą w pierwszym rzędzie od zainteresowanych środowisk i grup. Z punktu widzenia ogólnospołecznego istotne jest, by w ogólnonarodowej debacie na temat funkcjonowania nowego układu stosunków społecznych i dróg demokratyzacji nie zabrakło ważkiego głosu tych środowisk, głosu prawdziwego — a nie tylko jego zdeformowanego echa.

Nikt nie może oczekiwać, że będzie to dialog łatwy i układny. Wymagać on będzie czasu i żmudnego wysiłku odkrywania i rozumienia racji strony przeciwnej. Jest to jedyna droga by, przy ostrych nawet różnicach poglądów, mógł rozszerzać się zakres spraw i obszarów współpracy w imię nadrzędnych interesów całej wspólnoty.

Tego rodzaju consensus jest podstawą wszelkiej demokracji a w naszych obecnych warunkach stanowi jedyną rękojmię przezwyciężenia kryzysu oraz normalizacji stosunków społecznych, opartych na trwałym przestrzeganiu przez wszystkich porządku prawnego.

Samorządność środowisk inteligentkich

Ten przegląd głównych sił społecznych działających i zaangażowanych w różny sposób w proces dokonujących się przemian byłby niepełny, gdybyśmy pominęli w nim rolę inteligencji. Podejmując ten temat pragniemy na wstępie podkreślić, że nie wydaje się uzasadnione traktowanie dziś inteligencji jako wyodrębnionej i samoistnej siły społecznej. Ogromny wzrost liczebności tej warstwy połączony ze znacznym jej zróżnicowaniem, podniesienie się poziomu wykształcenia całego społeczeństwa, zanikanie barier i dystansów społecznych i środowiskowych — wszystko to zmieniło radykalnie miejsce warstw wykształconych w strukturze społecznej.

Jeśli pominąć czynny udział stosunkowo wąskich grup intelektualistów, ogół inteligencji odegrał raczej uboczną i wtórną rolę w przełomie jaki dokonał się w roku 1980. Nie jest to zarzut, ale stwierdzenie faktu, będącego nieuchronnym wynikiem przemian cywilizacyjnych, które odebrały inteligencji jako całości przywódczą rolę i związane z nią poczucie szczególnej misji, odziedziczone po XIX wieku. Inteligencja w swej masie jest też bardziej bodaj niż inne grupy uzależniona i silniej przeżywała poczucie bezsilności i bezradności. Nie zmienia to jednak faktu, że liczne grupy zawodowe i społeczne, które zwykło się określać mianem inteligencji mają do odegrania różnorakie, doniosłe role w tych dziedzinach i na tych płaszczyznach, na których przychodzi im

działać. Funkcja społeczna coraz liczniejszych rzesz ludzi wykształconych zmienia się, ale bynajmniej nie traci na znaczeniu. Rośnie ona zwłaszcza w okresie, gdy hasła i postulaty społeczne, wytyczające ogólne kierunki zmian trzeba tłumaczyć na konkretny język programów działania, poszukiwać dróg i rozwiązań zapewniających najskuteczniejsze wcielenie ich w życie.

Różne grupy inteligencji, choć bynajmniej nie wyłącznie one, są też z natury rzeczy powołane do tego aby odgrywać ważną rolę w budzeniu nowej samoświadomości społeczeństwa a także w powoływaniu do życia wielorakich form autentycznej działalności społecznej, zarówno w obrębie własnych środowisk jak i na szerszej ogólnospołecznej płaszczyźnie. Ale ciągle jeszcze znaczna część inteligencji nie poczuwa się do ciężkiej na niej odpowiedzialności i nie rozumie nieodwracalnego charakteru zmian jakie się dokonały. Trwa w postawie oportunistycznego wyczekiwania. Nie ma żadnych złudzeń co do dotychczasowego systemu, ale nie ma też wiary w możliwości jego przekształcenia, co czyni ją często obiektywnym sojusznikiem sił konserwatywnych niechętnych wszelkim zmianom.

Nie sposób tu opisać ani nawet wymienić wszystkich postaci zaangażowania społecznego, odpowiadającego specyficznym rolom zawodowym pełnionym przez poszczególne środowiska.

Wśród nich na pierwszym miejscu należy wymienić środowiska twórcze, ze względu na ich znaczenie dla życia i rozwoju kultury narodowej. Aktywizacja związków twórczych jest jednym z ważnych przejawów ożywienia życia społecznego. Ich pierwszoplanowym zadaniem jest artykulacja potrzeb i dążeń reprezentowanych przez nie środowisk, walka o swobodę twórczą i warunki sprzyjające tworzeniu. Wolno wszakże oczekiwać, że będzie wzrastać ich rola opiniotwórcza, szeroko promieniująca na zewnątrz i dynamizująca życie społeczne i kulturalne całej zbiorowości.

W tym zakresie szczególne nadzieje wolno wiązać z Komitetem Porozumiewawczym Związków Twórczych i Naukowych. Uformowanie się tego ciała reprezentującego ogromny potencjał intelektualny i artystyczny kraju, stwarza zupełnie nową perspektywę, w której rozwój kultury narodowej, uwolniony od biurokratycznej reglamentacji i instrumentalnego traktowania, będzie mógł być poddany wpływowi rzeczowych podmiotów i sił sprawczych tego rozwoju, kształtujących w partnerskim dialogu z władzą dysponującą środkami jakie na sprawy kultury przeznacza społeczeństwo, zasady polityki kulturalnej i równocześnie sprawując kontrolę nad jej realizacją.

Równocześnie obserwujemy aktywizację różnego rodzaju stowarzyszeń zawodowych pozbawionych dotychczas możliwości

wpływania i szerszego oddziaływania. Rozległe pole działania otwiera się w naszej sytuacji przed inteligencją techniczną, bez której udziału niepodobna wyobrazić sobie racjonalizacji naszego życia gospodarczego i wyrwania go z bezwładu. Reprezentuje ona ogromny kapitał wiedzy i umiejętności bezprzykładnie marnotrawiony w dotychczasowym systemie kierowania gospodarką narodową. Przed środowiskami inteligencji technicznej, reprezentowanymi przez swe organizacje, stoi zadanie nie tylko odbudowy prestiżu zawodowego ale także zapewnienia sobie realnego wpływu na kształtowanie polityki gospodarczej i technicznej, nie w imię interesów partykularnych czy branżowych, lecz w interesie całego kraju.

Podobne problemy i zadania stoją przed wszystkimi innymi grupami i środowiskami zawodowymi inteligencji. Zmiany, które się w tym zakresie dokonały są istotne i ważne ale wymagają intensyfikacji. Dotyczy to szczególnie zadań dotyczących odbudowy autorytetu stowarzyszeń zawodowych, często w poprzednim okresie zdegradowanych, powołanych do pobudzania inicjatyw, obrony praw swych członków, czuwania nad ścisłym przestrzeganiem kodeksu moralności zawodowej. Upadek tej moralności jest wynikiem biurokratyzacji działalności społecznej i narzuconej zasady nieinterwencji czynnika społecznego w poczynania władz; odrodzenie etosu zawodowego może się dokonać tylko poprzez swego rodzaju samorządność „cechową”, ustanawiającą demokratycznie obowiązujące i egzekwowane przez środowisko normy i rodzaje zachowań.

Mówiąc o odradzaniu się życia społecznego mamy, rzecz prosta, na myśli nie tylko ugrupowania profesjonalne. Nie mniej ważne są tu inne formy spontanicznego zrzeszania się ludzi, czy to wokół konkretnych zadań i zainteresowań, czy też na zasadzie regionalnej czy lokalnej. Nie można też w tym ogólnym obrazie pominąć roli młodego pokolenia, które odegrało zasadniczą rolę w ubiegłorocznym przełomie. Od jego inicjatywy, zdolności organizacyjnych i bezinteresowności zależy w znacznym stopniu przebieg dalszych przemian.

Kilka propozycji na dziś

Sytuacja, jaka powstała w kraju po Sierpniu ujawniła schronienia naszego życia publicznego trudno dostrzegalne w okresie, gdy nie dochodziły do głosu autentyczne siły społeczne, bardzo zaś niebezpieczne w momencie, gdy następuje zderzenie rzeczywistych interesów różnych grup i warstw.

Z tego właśnie względu sądzimy, że niezależnie od przepro-

wadzonej wyżej analizy poszczególnych sił i grup działających w naszym kraju i niezależnie od propozycji, jakie zgłosiliśmy pod adresem każdej z tych grup z osobna, należy zastanowić się nad stosunkami zachodzącymi między tymi grupami. Przede wszystkim zaś należałoby rozważyć możliwe techniki rozwiązywania sytuacji konfliktowych. Okres po Sierpniu 1980 roku ukazał bowiem zarówno całkowity niemal brak doświadczeń w dziedzinie negocjacji i mediacji, jak i brak akceptowanych przez wszystkich reguł gry, czy technik lokalizowania konfliktów. Okazało się, że nie istnieją również żadne instytucje, których zadaniem byłoby amortyzowanie powstałych konfliktów i zapobieganie temu, by przekształcały się one za każdym razem w próbę sił. Mimo półrocznych blisko doświadczeń nadal wszyscy: władza, związki zawodowe, społeczeństwo — są niezwykle wrażliwi na każdy kolejny konflikt. Nadal każdy spór między władzą a związkami rozgrywa się według podobnego scenariusza, zgodnie z którym:

- rzeczywiste kluczowe problemy każdego sporu ujawniają się bardzo późno albo wcale;
- nie wykorzystuje się pierwszej fazy konfliktu, gdy spór najłatwiej zlokalizować i rozwiązywać;
- władza wykorzystuje posiadany monopol informacyjny na swoją korzyść, nie dopuszczając drugiej strony sporu do wiążącego przedstawiania swych poglądów i argumentów. Powoduje to dezorientację społeczeństwa i w konsekwencji wpływa na zaostrzenie sporu;
- każdy niewielki nawet konflikt w jakimś zakątku Polski po godzinach niemal staje się przedmiotem zderzenia na najwyższym szczeblu: np. między władzą centralną a całą „Solidarnością”.

Ta sytuacja wymaga — naszym zdaniem — sięgnięcia do działań i rozwiązań doraźnych, a także aktywnej postawy całego społeczeństwa, i tym sprawom pragniemy na zakończenie poświęcić nieco uwagi.

Lokalizacja i rozwiązywanie konfliktów. Sądzimy, że doraźną poprawę w tej dziedzinie mogłoby przynieść jak najszybsze powołanie całej sieci swego rodzaju „komisji porozumienia społecznego” na szczeblu gminy, miasta, województwa, niekiedy w ramach przedsiębiorstwa, które — tam gdzie to możliwe — podejmowałyby funkcję zapobiegania konfliktom. Tam zaś, gdzie takie konflikty by powstały, stawałyby się płaszczyzną mediacji.

Istnieją oczywiście konflikty, które pojawiając się w konkret-

ných miejscowościach, czy przedsiębiorstwach, są odbiciem konfliktów ogólnych (np. sprawa „Solidarności Wiejskiej”). Tych spraw samymi siłami lokalnymi rozwiązać się nie da. Istnieje jednak również szereg konfliktów lokalnych, które w oparciu o siły i autorytety lokalne rozwiązywać można i trzeba.

Inicjatywa powoływania tego rodzaju komisji porozumiewawczych z natury rzeczy należeć musi do władz i do odpowiednich ogniw „Solidarności”, ale w ich skład powinni wchodzić przedstawiciele wszystkich sił społecznych działających na danym terenie: reprezentanci różnych ciał samorządowych, związków zawodowych, Kościoła, organizacji politycznych, władz lokalnych, kierownictw przedsiębiorstw, a także przedstawiciele grup zawodowych — robotników, rolników etc. Byłaby to instytucja niewyposażona w żadne formalne prerogatywy i do jej obowiązków należałoby:

- periodyczne — częste — zbieranie się i dyskutowanie wszystkich spraw spornych jakie pojawiły się na obszarze objętym ich kompetencją;
- podejmowanie działań mediacyjnych;
- ogłaszanie w lokalnych środkach przekazu opinii i zaleceń.

Jest to oczywiście rozwiązanie doraźne, które zostałoby przyjęte na okres poprzedzający zakończenie pełnej reformy życia społecznego i gospodarczego. Przyczyny trudności w rozwiązywaniu konfliktów tkwią bowiem znacznie głębiej.

Ostatnie miesiące wykazały, że istniejący w naszym kraju pionowy układ wszystkich struktur życia publicznego nie jest dostosowany do nowej sytuacji kraju. W momencie, gdy powstała „Solidarność”, której poszczególne ogniewa wyposażone są w dużą autonomię, okazało się, że niższe szczeble tej organizacji po prostu nie znajdują partnerów o podobnym stopniu samodzielności. Dotyczy to zarówno przedsiębiorstwa, które nie dysponuje takimi prerogatywami, by móc rozwiązywać poważniejsze spory z organizacją związkową, jak i gminy, czy województwa, a także różnych ogniw partii.

Rzeczywistą zmianę sytuacji przyniosłaby taka reforma, która rozdysponowałaby kompetencje w gospodarce, aparacie władzy i partii, w taki sposób, by ważne nawet problemy danego terenu, czy przedsiębiorstwa mogły być w większości przypadków rozstrzygane na tym poziomie, na którym powstają.

Ważną rolę w rozwiązywaniu konfliktów mogłyby również odgrywać organy przedstawicielskie — jako forum publicznej debaty. W tym celu konieczne by jednak było podjęcie kroków, które owym ciałom przedstawicielskim pozwoliłyby, już obecnie przed nowymi wyborami, stać się forum, na którym reprezentowane są różne siły społeczne, działające w naszym kraju. Ode-

grałoby to zresztą w ogóle istotną rolę w budowie autorytetu Sejmu i rad narodowych. Sądzymy, że w chwili obecnej należałoby na okres przejściowy stworzyć instytucję „stałych rzeczników”, którzy — bez prawa udziału w głosowaniu, ale z prawem głosu zarówno na posiedzeniach plenarnych, jak i w komisjach — reprezentowaliby interesy powstających w kraju samorządnych organizacji. Dotyczy to przede wszystkim „Solidarności”, ale również samorządu rolników itp. Rzecznicy ci byłiby oczywiście delegowani przez zainteresowane organizacje.

Niezależnie od instytucji „stałych rzeczników”, których zadaniem byłoby reprezentowanie interesów swoich organizacji sądzimy, że na okres najbliższych lat, do nowych wyborów, należałoby uczynić obligatoryjnym stały udział w pracach komisji sejmowych zarówno niezależnych ekspertów danej dziedziny delegowanych przez odpowiednie towarzystwa naukowe i zawodowe jak i reprezentantów różnych organizacji samorządnych delegowanych przez te organizacje.

Na tych samych zasadach można by instytucję „stałych rzeczników” rozszerzyć również na rady narodowe szczebla wojewódzkiego.

W ten sposób Sejm i rady narodowe stałyby się w znacznie szerszym stopniu wyrazicielem opinii całego społeczeństwa, a zarazem pozwoliłoby to już obecnie włączyć znacznie szerszy i bardziej reprezentatywny krąg osób w procesy sprawowania władzy.

Zachowanie społeczne. W drugim Raporcie pt. „Jak z tego wyjąć?” poświęciliśmy zachowaniom społecznym odrębny rozdział. Wskazywaliśmy obszary możliwej i niezbędnej aktywności społecznej, takie jak:

- samowychowanie społeczne tj. rozwijanie postaw solidarności, umiejętności działania demokratycznego, obywatelskiej odpowiedzialności;
- prace diagnostyczno-programowe, tj. analiza stanu społeczeństwa i przygotowanie programu dla przyszłości;
- presję na rzecz zmian, tj. przeciwstawianie się manipulacji, odzyskiwanie podmiotowości, egzekwowanie uprawnień, które ustawowo przysługują obywatelom.

Pisaliśmy wówczas, cytując jedną z wypowiedzi ankietowych: „Zrób wszystko co możesz, żeby było lepiej. Jeśli możesz niewiele, zrób przynajmniej to, co możesz. Jeśli nie możesz nic, to przynajmniej dokładnie przemyśl, co należałoby zrobić, gdyby się dało i bądź gotów, by to zrobić”.

Zastrzegaliśmy jednocześnie, iż proponowane przez nas za-

chowania wymagają pokonania ogromnych barier wynikających z nieautentyczności życia publicznego, wymagają też zdolności do wyrzeczeń, a nieraz mogą wręcz drogo kosztować.

Obecnie znaleźliśmy się jako społeczeństwo w gzoła innej sytuacji:

- nasze propozycje zachowań społecznych zyskały konkretnego adresata — jest nim odradzający się w całym kraju ruch samorządny, w którym każdy może znaleźć dla siebie miejsce;
- propozycja, by egzekwować formalne uprawnienia działania i wypowiedania się w sprawach publicznych przystępujące — przynajmniej na papierze — różnym instytucjom, związkom, stowarzyszeniom, zyskała oparcie w porozumieniach z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia i sprzymierzeńca w postaci „Solidarności”;
- propozycja tworzenia programów na przyszłość została częściowo zinstytucjonalizowana; powstało wiele miejsc, gdzie — jak np. w różnego rodzaju towarzystwach naukowych — programy te można tworzyć.

W tej sytuacji wiele form aktywności, które jeszcze pół roku temu wymagały wyrzeczeń i postaw niemal heroicznych, a często były wręcz niemożliwe, dziś stają się po prostu obowiązkiem obywatelskim.

O niektórych formach tej aktywności pisaliśmy w poprzednich rozdziałach. Mamy tu na myśli np. proponowane wyżej przeglądy przedsiębiorstw i przeglądów gmin, tworzenie „rad nadzorczych” w przedsiębiorstwach. Szczególnie ważną w obecnych warunkach dziedziną aktywności obywatelskiej jest ruch ochrony konsumentów, który wobec istniejących i przewidywanych trudności rynkowych spełniać będzie funkcje nieco inne od tych, jakie wiąże się zazwyczaj z tym ruchem; stać się on powinien rzeczywistą formą kontroli społecznej nad dystrybucją a częściowo i produkcją podstawowych artykułów powszechnego użytku.

Są to tylko przykładowo wymienione dziedziny możliwej aktywności społecznej, każdy z nas może tę listę znacznie poszerzyć. Wszystkie one powinny stać się polem masowego udziału społeczeństwa w porządkowaniu jego spraw.

Przypomnijmy raz jeszcze słowa drugiego raportu DiP: „Społeczeństwo, które samo nie zechce stać się podmiotem, nie stanie się nim”.

Postępy demokratyzacji zależą od tego, czy ogólnie formułowane zasady umowy społecznej zdołają przeniknąć całą praktykę

życia zbiorowego, czy znajdują pełne urzeczywistnienie na różnych poziomach i w różnych ogniwach całego systemu społecznego. Społeczeństwo jako całość zostało już uznane — w każdym razie w sferze deklaracji — za równoprawnego partnera władzy i częściowo przynajmniej odzyskuje swe podmiotowe prawa, które dotychczasowa praktyka polityczna przekreślała. Jednakże suwerenność społeczeństwa nie jest niczym innym jak sumą suwerenności poszczególnych, wielkich i najmniejszych, także nieformalnych, grup społecznych powoływanych i działających nie za sprawą odgórných decyzji i dyrektyw, ale ożywionych wolą i inicjatywą uczestników. W żywiołowym procesie samoorganizowania się społeczeństwa egzekwującego swe podmiotowe prawa tkwi wielka nadzieja na uruchomienie energii, których marnotrawstwo jest najgłębszą przyczyną obecnej dramatycznej sytuacji. Zobowiązuje to każdego świadomego obywatela do walki o regenerację autentycznego życia społecznego wszelkimi dostępnymi środkami i na różnych obszarach życia zbiorowego.

Nie można lekceważyć trudności i przeszkód, jakie będą się piętrzyć na tej drodze. Jednak nic nie jest w stanie zatrzymać dynamiki raz rozbudzonych aspiracji społeczeństwa. Wobec tych sił taktyczne manewry władzy, jak uczy doświadczenie, okazują się na dłuższą metę bezsilne. Niezależnie od głęboko zakorzenionych nawyków i odruchów władzy jest ona zmuszona do liczenia się z rzeczywistością; można również mieć nadzieję, że część tej władzy, w przyszłości być może rosnąca, potrafi uczyć się na doświadczeniach i skłonna będzie dostrzec szansę jaka tkwi w komunikowaniu się ze społeczeństwem, a nie z wyznaczonymi przez siebie, rzekomymi jego przedstawicielami. Alternatywą bowiem takiego wyboru jest rosnące wyobcowanie władzy, jej bezsiła i kolejny, zapewne jeszcze gwałtowniejszy i bardziej dramatyczny, kryzys.

Być może niejednemu sceptycznemu czytelnikowi zaprezentowana tu wizja może wydać się wyidealizowana, a formułowane wyżej postulaty — nierealne. Uprzedzając te zastrzeżenia pozwalamy sobie przypomnieć, że gdy przed z górą dwoma laty Raport o stanie Rzeczypospolitej jako jedyną drogę wyjścia z krytycznej sytuacji wskazywał poszukiwanie szerokiego porozumienia społecznego, wydawało się to całkowitą utopią. Dziś osiągnięte w twardej negocjacji porozumienie stanowi podstawę nowego układu stosunków społecznych i politycznych.

WPŁATY NA T.K.N.

Anonimowo z Würzburgu (Bawaria, RFN) — ze zbiórki publicznej (nadesłał R. Reiss-Czemplik — DM 190,00	F. 337,00
Bezimiennie z Heidelbergu (RFN) — po raz 7-my	F. 240,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00	F. 230,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja)	F. 100,00

Na K.P.N. — Grzegorz Jezierski, Camden, N.J. (USA) — \$ 20,00	F. 114,00
Na obronę przywódców KPN — Tadeusz Brzostek, Paryż — F. 100,00 i St. Stankiewicz, Nancy — F. 100,00	F. 100,00

Na NOW-ą — Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 100,00	F. 370,00
--	-----------

Na Fundusz Pomocy Więźniom Politycznym w Polsce — Marek Tokar, Bloomfield, N.J. (USA) — \$ 37,00	F. 201,00
--	-----------

<i>Pomost</i> , Chicago, Ill. (USA) — \$ 80,00 z czego:	
— na Fundusz Pomocy Więźniom Politycznym w Polsce — \$ 20,00	F. 114,00
— na Ruch Młodej Polski — \$ 30,00	F. 171,00
— na NOW-ą — \$ 30,00	F. 171,00

Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja):	
— na NOW-ą	F. 100,00
— na PPN	F. 100,00
— na <i>Spotkania</i>	F. 100,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trim. 1981.

Imprimé en France



PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A. 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » I w księgarniach polskich w Paryżu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Kruski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 10,00 F. 20,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 115,00	\$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 210,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lillas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dzienawska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145, Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut St., Philadelphia, Pa. 19103. POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618, Tel. (312) 489-2554; E. I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, Tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674, Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene St., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.210; półroczna — F.115.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 337 — STANISŁAW BARAŃCZAK

TRYPTYK Z BETONU, ZMĘCZENIA I ŚNIEGU

Nowy tom wierszy

Str. 68.

Cena F. 25,00.



TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

TEKSTY I PRETEKSTY

Zbiór esejów
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.



TOM 341 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: Marcelego Handelsmana — *Absolutyzm oświecony*; Recenzja z Moskwy o polskich podręcznikach historii; Jana Ciecchanowskiego: *Armia Polska w Rosji w świetle dziennika szefa sztabu z 1942 r.*; obszernie dział: WSPOMNIENIA, CI, CO ODESZLI, RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



TOM 342 — JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

Szkice, wspomnienia, opowiadania
Część I — Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA.
Część II — TUMULT I WIDMA.
Część III — LUDZIE I KSIĄŻKI.

Str. 352.

Cena F. 85,00.